

FABRYCZNAZONA.PL

ZIEMIA ZŁYCH UROKÓW

TOM 1



fabrykasłów



STALKER

J A C E K K L O S S

J A C E K K L O S S
**ZIEMIA ZŁYCH
UROKÓW**

TOM 1



**ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA**

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

Copyright © by Jacek Kloss
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2018
Wydanie I
ISBN 978-83-7964-369-1

Eryk Górski
Robert Łakuta

Ilustracja okładce
Ivan Khivrenko Aleksandrovich

Projekt okładki
Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

Ilustracje
black gear Paweł Zaręba

Redakcja
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

Korekta
Agnieszka Pawlikowska

Wydawnictwo
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl

Dla Niej

Książki z serii:

Michał Gołkowski – Ołowiany świt

Michał Gołkowski – Drugi Brzeg

Michał Gołkowski – Droga donikąd

Michał Gołkowski – Sztywny

Michał Gołkowski – Powrót

Wiktor Noczkin – Ślepa plama

Wiktor Noczkin – Czerep mutanta

Wiktor Noczkin – Łańcuch pokarmowy

Krzysztof Haladyn – Na skraju Strefy – tom 1

Krzysztof Haladyn – Na skraju Strefy – tom 2

Sławomir Nieściur – Wedle zasług

Sławomir Nieściur – Ostatniego zeżrą psy

Sławomir Nieściur – Do zobaczenia w piekle

Joanna Kanicka – Bagno szaleńców

Jacek Kloss – Ziemia złych uroków

Rozdział 1



To zadziwiające, jak czasem jedna mała rzecz może zmienić rzeczywistość w koszmar.

Taka walizka na przykład: niewielka, aluminiowa, niepozorna. Może nie zabiła młodego bezpośrednio, a jednak to przez nią umiera. I nie trzeba nawet lekarza, żeby stwierdzić, że chłopak długo już nie pociągnie. Ciało z każdą, ciągnącą się niemiłosiernie minutą poddaje kolejne przyczółki, krew odpływa z twarzy, ręce dygoczą jak w febrze. I te nogi...

– Wody – jęczy Świetlik, podnosi lekko głowę i posykując z bólu, opiera ją o zimną, betonową ścianę. – Pić mi się chce strasznie.

Odkręcam bukłak, przystawiam mu go do ust. Młody bierze parę łyków, delikatnie odsuwa twarz na znak, że ma dość, i kaszle chorobliwie.

– Wyjdę z tego, prawda? – pyta cicho. – Prawda? Przecież bez nóg też można żyć. Mieliśmy takiego chłopaka w szkole, Aleksa. Jeszcze jak był mały, to wpadł pod samochód i mu odjęli stopy. Ale dawał sobie radę. Na wózku jeździł, ale dawał radę. Jak on mógł, to i ja mogę, prawda? Kojot?

Co mam mu powiedzieć? Spoglądam na resztki wyżartych przez kwas nogawek spodni i wystające spod nich krwawe kikuty, robi mi się niedobrze, z trudem powstrzymuję odruch wymiotny i wzdycham ciężko.

Gdybyśmy byli na Dużej Ziemi, może i byłaby jakaś szansa. Karetka, szpital, leki, profesjonalna opieka – tak, wtedy może udałoby się mu pomóc. A tutaj? Zużyłem wszystko, co mieliśmy w apteczkach, uśmierzyłem ból, założyłem opaski uciskowe, porobiłem zastrzyki, ale to nadal za mało.

– Dasz radę – kłamię mu prosto w oczy. – Dasz radę, ale musisz odpocząć.

– To już nawet nie boli. Chyba nawet mogę ruszać – mówi. Zaciska zęby i widzę, jak stara się unieść lewą nogę. – O, widzisz?

Kończyna drga lekko, wyżarte kwasem, przyklejone do spodni tkanki odklejają się cicho, krwista maź wypływa z ran jak ze źródelka. Wstaję błyskawicznie, odsuwam się kilka kroków i ostatkiem sił hamuję gorzką, rodzącą się gdzieś w żołądku kulę.

– Zostaw. Odpocznij. Jeśli mamy mieć jakąś szansę, musisz odpocząć.

Chłopak kiwa głową, opiera ją o podniszczony, wypchany sprzętem plecak i wzdycha.

– Matka zawsze mi mówiła, żebym szkołę skończył. Na studia poszedł. – Oddech Świetlika jest płytki i niepokojąco szybki. – Teraz chyba będę miał okazję. No nawet nie pójść, ale pojechać. – Śmieje się pokracznie, z trudem łapiąc haust powietrza. – Będę miał sporo czasu. Skończy się łożenie na piwo, imprezy do białego rana i podrywanie przyjezdnych dziewczyn. Która mnie zechce? Takiego inwalidę.

– Będziesz jeszcze pił zimne piwko. A i panny dasz radę zbałamucić – rzucam zapewnieniem, w które chyba Świetlik zaczyna wątpić.

Muszę się czymś zająć, bo inaczej zwariuję, myślę. Chłopakowi i tak bardziej nie pomogę. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Jego życie w rękach Zony.

Zdejmuję karabin z ramienia, opieram go o metalową barierkę technicznego chodnika i rozglądam się wokół.

Dwupiętrowa, betonowa konstrukcja, w której niegdyś pracowały taśmowe traki, potężne łuparki drewna i gdzie raz za razem podjeżdżały wypchane surowcem ciężarówki, jest martwa. Sprzęt zardzewiał, truchło potężnego kamaza legło pośrodku podjazdu, rzucone na sterty, przygotowane do obróbki drewno zbutwiało, zgniło i pokryło się dziwnym, opalizującym osadem. Kilkanaście metrów dalej, w zagłębieniu, do którego niegdyś wsypywano wióry, dostrzegam pulsującą, błyszczącą zielenią masę.



Przeklinam w myślach, wyciągam z kieszeni papierosa i zaśniedziałą, benzynową zapalniczkę. Zaciągam się mocno.

Mówiłem Świetlikowi, żeby uważał. Szedł przodem, rzucał mutry, przystawał co parę metrów i czujnie wypatrywał zagrożenia. Zdążyłem go za to nawet pochwalić. A później zobaczył artefakt. Mały, świecący, prawie niezauważalny w świetle dnia. Cholerny śluz.

Próbowałem go zatrzymać, krzyknąłem, ale było już za późno. Młody wlaźł na przegniłe deski, wrzasnął i zapadł się w anomalię. Byłem przy nim kilka sekund później, ale to nie wystarczyło. Galareta rozpuszcza wszystko; wrzuc do niej papier, szkło, metal, cokolwiek, a po chwili zniknie bez śladu. Ciało to żadna przeszkoda dla zielonej, syczącej masy.

Zdołałem chwycić młodego za kamizelkę, wyrzucić go na betonową posadzkę, ale anomalia przetrawiła stopy, łydki i już dobierała się do kolan. Gdybym nie puścił go przodem...

Z zamyślenia wrywa mnie ryk: basowy, ciężki, z pewnością

przepełniony nienawiścią i co najgorsze, dochodzący z całkiem niedaleka.

– Słyszałeś? – pyta Świetlik drżącym głosem. – Co to było?

Zbliża się wieczór, mutanty wychodzą na żer, a ja, zamiast poszukać schronienia, zatapiam się w myślach. Jak ostatni idiota i kretyn.

Wyrzucam niedopałek, klnę pod nosem i podbiegam do chłopaka.

– Musimy tam dotrzeć – mówię, zerkając na przeciwległą stronę kładki, i wskazuję na małe pomieszczenie. Kiedyś było tu zapewne jakieś biuro albo magazyn na sprzęt, ale teraz to mało istotne. Ważne, że w przypadku ataku to właśnie tam mamy największe szanse na przeżycie. – Przeniosę cię, ale to nie będzie przyjemne. Szlag, będzie pewnie bolało jak cholera, ale staraj się nie krzyczeć.

Świetlik kiwa głową, podnosi wciąż dygoczącą rękę. Chwytam za nią i starając się nie urazić wyżartych przez anomalię kikutów, zarzucam sobie jego ciało na plecy.

Na początku chłopak nawet nie jęczy, znosząc dzielnie moje kołysanie. Mogę sobie jedynie wyobrażać, co w tej chwili czuje i jak musi walczyć z samym sobą, by nie wrzasnąć. Może jest młody i niedoświadczony, ale też twardy i potrafi zaskoczyć uporem.

Krok za krokiem, w żółtym tempie, mijam kolejne elementy chodnika, słyszę, jak stalowe wsporniki jęczą pod naszym ciężarem. Świetlik dyszy jak parowóz.

Okolicę przesywa kolejny ryk, tym razem jakby bardziej stłumiony, choć w żadnym razie mniej przerażający.

Jeszcze parę metrów, tylko kilkanaście kroków, dwa czy trzy większe susy. To przecież tak niewiele.

Zgrzyt metalu przesywa powietrze, mostek z piskiem przechyla się ostro w prawo, tracę równowagę i z impetem wpadam na pordzewiałą barierkę. Uderzenie odbiera mi oddech, przed oczami tańczą miriady jasnych plam, kątem oka dostrzegam bulgoczącą pod nami anomalię. Cholera, że też musimy przechodzić właśnie nad nią. Przecież to takie oczywiste.

Świetlik oplata mnie rękami, ze strachu czy z bólu krzyczy wniebogłosy i w jednym momencie wiotczeje, jak pozbawiona sznurków marionetka.

Czuję nagłą, wypełniającą mnie od środka wściekłość i ostatkiem sił, do wtóru zwierzęcego (tym razem mojego) wrzasku, odrywam nogi od przechylającej się coraz bardziej kładki. Upadam na kolejny segment chodnika, ciało Świetlika przygniata mnie do zimnej, perforowanej stali. Za sobą słyszę okropny, metaliczny zgrzyt, potem brzdęk uderzającego o beton pomostu i cichy bulgot obudzonej nagle anomalii.

Łut szczęścia? Uśmiech losu? Czysty fart? Nazwa jest nieważna. Zona tym razem pozwoliła żyć. I dzięki Jej za to, bo następnym razem może nie być tak dobrze. Teraz liczy się tylko to, by dotoczyć nasze ciała do celu. Byle jak – byle do pomieszczenia.

Błyskawicznie wysuwam się spod nieruchomego Świetlika, opieram się na kolanach i sprawdzam oddech.

Jest – słaby, rzęzący, ale jest.

Łapię za uchwyt kamizelki i ciągnę chłopaka do pomieszczenia. Trzy metry, dwa, jeden, wparowuję przez pozbawioną drzwi futrynę, zostawiam nieprzytomnego Świetlika pod zakurzoną, pozbawioną tynku ścianą i odwracam się na pięcie. Wiem, że muszę zabrać nasze graty. Nie chodzi już nawet o plecaki czy aluminiową, widoczną nawet stąd walizeczkę, dla której weszliśmy na zakazaną ziemię. Moje myśli krążą wokół broni – nieodzownego i podstawowego elementu wyposażenia każdego, kto chce pożyć tutaj dłużej niż kilka godzin. Dostrzegam ją bez problemu: drewniane, ubabrane w błocie okładziny, oklejone niebieską taśmą magazynki, ramowa, składana kolba – karabin, najlepszy przyjaciel stalkera.

W wielu przypadkach jedyny przyjaciel.

Tak blisko, a jednak tak daleko.

Nienawistny ryk ponownie rozlewa się po okolicy, upewniając mnie, że bez broni ani rusz. Jeśli to coś zdoła tutaj dotrzeć, będzie po sprawie. Koniec, dziękuję, kurtyna leci w dół.

Ruszam w kierunku kładki i oceniam odległość. Trzy metry – niby nic trudnego. Rozpęd, skok, lądowanie – pewien wąsaty

skoczek narciarski umarłby ze śmiechu. Tylko że w Zonie nawet najłatwiejsza czynność może być tą ostatnią.

Czasem nie ma jednak rady. Jak powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć „b”.

Rozpędzam się, stal trzeszczy i skrzypi, wybijam się z samej krawędzi i lecę na drugą stronę. Upadam ciężko, zdzieram skórę na dłoniach, przytrzymuję się rudej barierki i pędzę w stronę naszego prowizorycznego obozowiska. Kątem oka rejestruję ruch na dole, dopadam do karabinu, zrzucam bezpiecznik w dół i szarpnięciem za uchwyt zamka. Komora wypływa pojedynczy pocisk i choć nie wolno marnować amunicji, ten jeden raz postanawiam sobie wybaczyć. Lepiej wiedzieć, że automat jest gotowy do strzału, niż dramatycznie się pomylić i umrzeć z powodu głupoty.

W te pędy ruszam z powrotem do pomieszczenia, rzucam jeszcze okiem na pozostawione przy ścianie plecaki i walizkę, ale nie decyduję się zatrzymać. Cokolwiek weszło do tartaku, jest już zdecydowanie za blisko, bym miał martwić się o takie głupoty. Teraz liczy się przeżycie.

Uderzam o barierkę i lecę na złamanie karku w kierunku zniszczonego pomostu. Tuż za sobą słyszę wściekły, basowy ryk, odbijam się z krawędzi, zamykam oczy i lecę najdalej, jak potrafię. Buty trafiają na stały grunt, kolana odmawiają posłuszeństwa, koziółkują boleśnie, słyszę dźwięk rozrywanych spodni i zatrzymuję się tuż przed drzwiami. Odwracam się na plecy, czuję wypadający z kamizelki magazynek, ale nie zwracając na niego większej uwagi, przytulam stopkę automatu do ramienia. Palec bez trudu naciska na mały, metalowy ogryzek, iglica uderza w spłonkę, ta inicjuje wybuch prochu w łusce, tym samym posyłając ważący niemal trzy i pół grama pocisk w przestrzeń.

Huk jak tsunami przelewa się po tartaku, zamek cofa się błyskawicznie, kolejny nabój kalibru pięć czterdzieści pięć wpada do komory i czeka na swoją kolej. Nie celuję, nie czekam na odgłos trafienia, w ogóle niewiele myślę. Jedyne, co robię, to odliczam strzały. Jeden poszedł, teraz drugi, potem trzeci – działam jak automat. Raz za razem naciskam spust, kolba wbija

się w dołek strzelecki, zapach prochu uderza w nozdrza. Przy szóstym pocisku mam wrażenie, że w ułamku sekundy dostrzegam paskudne, nabite ostrymi zębami macki, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy to nie przywidzenie. Niemniej dopiero po dziesiątym naboju decyduję się na odpoczynek i rozeznanie w sytuacji. W uszach nadal rozbrzmiewa echo wystrzałów, muszę więc polegać na wzroku. Wycieram zakrwawioną dłoń o kombinezon. Podnoszę się powoli, ostrożnie, jednocześnie cały czas obserwując oddaloną o trzy metry kładkę.

Pusto.

Przenoszę spojrzenie na parter, tam przelewa się rozbudzona galareta, lekki, wieczorny wiatr kołysze kawałkami starych, przegniłych szmat, które zwisają swobodnie z drewnianych belek i resztek wsporników. Słońce zdążyło już zejść nisko nad horyzont i niewiele jestem w stanie dojrzeć. Gdyby nie dziury w ścianach i nadgryziony poważnie zębem czasu dach, panowałby tu kompletny mrok.

Jestem niemal pewien, że mam do czynienia z pijawką. Ponad dwa metry wzrostu, silne jak cholera, szybkie, a w półmroku wręcz niewidzialne. Jeśli dołożymy do tego pysk uzbrojony w ohydne macki, ogromne, ostre jak brzytwa zęby i pazury, zdolne przeciąć stalową blachę, dostajemy wyjątkowo paskudną maszynę do zabijania.

Tylko raz miałem okazję podziwiać to monstrum z bliska. Wtedy było martwe. A teraz? No właśnie, gdzie mogła się ta gadzina podziać?

Rozglądam się wokół siebie, starając się złapać jakąś wskazówkę, dostrzegam ruch na jednym z fragmentów technicznego chodnika, podnoszę automat i nie myśląc wiele, wypalam w tamtym kierunku.

Cielsko mutanta pojawia się nagle w powietrzu, jakby zmaterializowało się znikąd.

Skoczył, przelatuje mi przez głowę.

Mam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Błyskają wściekle, rozjarzone czerwienią ślepia, wyrastające z

pyska macki wyprężają się w moim kierunku. Mutant nie ryczy, nie warczy, ale atakuje w kompletnej ciszy.

Naciskam spust, automat wypluwa pocisk, który uderza w błąd, pokrytą zielonkawym nalotem skórę i przebija ją na wylot. Monstrum upada, wsporniki pomostu jęczą pod naszym ciężarem, zapowiadając wszem wobec swój rychły upadek.

Tracę równowagę, uderzam tyłkiem o chodnik, patrzę w zalane czerwienią ślepią i z pomocą rozdygotanej do granic możliwości ręki przrzucam bezpiecznik automatu na ogień ciągły.

Jak umierać, to z przytupem. Nic więcej przecież nie poradzę.

Bestia rzuca się na mnie, nabite zębami macki suną w moim kierunku, dwa metry, metr, wrzeszczę jak opętany, zamykam oczy i z całej siły napieram na spust. Broń rzyga ogniem, z trudem utrzymuję w ryzach podskakujący korpus, drę się na całe gardło, trzymając jednocześnie metalowy, osłaniany kabłąkiem cyngiel. Nie mam pojęcia, czy trafiam, nie słyszę ryku potwora, zza zamkniętych powiek dobiega do mnie jedynie blask wystrzałów.

I nagle koniec – ostatni nabój z magazynka leci w przestrzeń, a karabin milknie niespodziewanie. Czekam na wyrok, mija sekunda, potem kolejna i następna. Tępy, wwiercający się w uszy pisk gaśnie miarowo, ustępując miejsca nienaturalnej, zalegającej w Zonie ciszy.

Otwieram oczy, z niedowierzaniem spoglądam przed siebie i nie widząc mutantą, zastygam w bezruchu. W głowie mam mętlik, pytania pojawiają się i znikają, nie czekając, aż zdołam na nie odpowiedzieć. Udało mi się? Zabiłem gnoja? A może potwór znów narzucił kamuflaż i skrył się gdzieś, by wyleczyć rany? Może jest tuż za mną, obok Świetlika? Co mam robić? Co, do cholery, mam robić?

O ile działanie może cię zabić, bezczynność zrobi to na pewno.

Starając się zignorować natłok myśli, wstaję, odpinam pusty magazynek, zastępuję go nowym, chwytam za zamek i wprowadzam nabój do komory. Rozglądam się uważnie i trzymając zszargane nerwy na wodzy, ruszam do miejsca, w którym zostawiłem nieprzytomnego chłopaka. Jeśli mutant

zdołał mnie ominąć, a nie jest to znowu tak nieprawdopodobne, Świetlik może stać się kolacją dla pijawki. Wiem, że dni młodego są już policzone, ale jeśli jest coś, co mogę dla niego zrobić, to na pewno nie pozwolę mu skończyć jako posiłek potwora.

Brnę w kierunku pomieszczenia, każdy zgrzyt, uderzenie o metal czy głośniejszy oddech przyprawia mnie o palpacje, ręce telepią się jak u chorego na parkinsona, nieskładne myśli lecą całymi kluczami, nie dając mi szans na dłuższy, logiczny wywód.

Zerkam za siebie, coś na dole przykuwa moją uwagę, więc przystaję w pół kroku i przyglądam się zjawisku.

Rozbudzona galareta pulsuje żywiołowo, miota się i syczy, tworząc na powierzchni fale, które raz za razem przesuwają się po gęstej, lepkiej toni. Jedna z nich, wyższa od pozostałych, wylewa się z prostokątnej, betonowej niecki i pożera kawałki pordzewiałej blachy, resztki tynku i zalegające obok drewniane wióry.

Jest w tym coś niesamowitego, wręcz hipnotyzującego. Stoję tak przez chwilę zafascynowany widowiskiem, gdy tuż obok sadzawki w blasku zielonkawej poświaty spostrzegam długą, pazurzastą łapę. Elementy układanki wskakują na miejsce, a wydarzenia ostatnich kilku minut szybko tworzą logiczny łańcuch przyczyn i skutków.

Mutant skoczył, oberwał, nie utrzymał równowagi i runął wprost w objęcia śmiertcionośnej anomalii. Galareta zrobiła swoje i chociaż mam wrażenie, że nie zadziałała tak skutecznie, jak w przypadku nóg Świetlika, mimo wszystko dopięła swego i pochłonęła pijawkę. Szczęście w nieszczęściu, jak to mówią.

Adrenalina powoli kończy działanie, wyczerpane po potyczce i całym dniu marszu ciało wyraźnie zaczyna domagać się odpoczynku, więc zwieszam karabin na ramieniu i ruszam w stronę Świetlika.

Wiem, że nie jesteśmy bezpieczni. W Strefie, z daleka od cywilizacji, nie można być beztróskim. Jeden martwy potwór wcale nie oznacza końca. Noc za pasem, ostatnie promyki słońca za chwilę zgasną, mrok pożre okolice i jedna Zona raczy wiedzieć, czy zdołamy przetrwać do rana. Mutantów może być

przecież więcej.

Wchodzę do pomieszczenia, młodziak leży pod ścianą w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiłem, skryte w półmroku, zardzewiałe sprzęty zdają się łypać na mnie nieprzychylnie.

Kłękam przy Świetliku i sprawdzam mu puls. Kręcę głową, czując delikatne uderzenia serca. Wzdycham ciężko i zmuszam się do wysiłku.

Przez pierwsze kilka minut mam wrażenie, jakbym brnął w błocie. Ruchy mam powolne, ociężałe, ledwo radzę sobie z ponownym pokonaniem kładki i przyniesieniem gratów. Ciężkie to wszystko, niewygodne, a jednocześnie tak cholernie potrzebne. Ustawiam nasze rzeczy pod ścianą, rozpalam wąty, delikatny ogień, mija pół godziny, potem godzina, zbieram zapasy, zastawiam drzwi niemal całkowicie spróchniałym stołem. Żadna to ochrona, ale jeśli coś będzie chciało tu wejść, przynajmniej nie będę musiał się certolić z porządnym celowaniem. Rach-ciach przez osłonę i tyle.

Jest już całkiem ciemno, gdy z bólem każdego pojedynczego mięśnia siadam przy małym ognisku. Nadzwyczaj ciepły i pogodny dzień zmienia się w chłodną noc, wiatr przybiera na sile, w oddali słychać ujadanie ślepych psów.

Piętno chorobliwego zmęczenia chwytą mnie za kark, głowa mi raz po raz opada i tylko dzięki resztkom świadomości jestem w stanie unieść ją z powrotem do pionu. Powieki mam jak z ołowiu, w gębie pustynię, nie czuję już nawet przetartych do krwi dłoni – jest jedynie znużenie i bezsilność.

Świetlik umiera. Niby to wiem, logika podpowiada mi przecież, że nie mam szans go uratować. W końcu to on popędził po artefakt, nie zwrócił uwagi na otoczenie, pognął za zarobkiem, nie zważając na konsekwencje. To jego krzyż. Ale nawet mimo tego gdzieś w środku, głęboko w trzewiach, zalega mi ciężki, cholernie brudny i śmierdzący głąz z wrytym napisem: „poczucie winy”. Bo kto zaproponował młodemu zlecenie? Nie Grabarz, nie Żyła ani Kłapa – ja go w to wciągnąłem.

A teraz leży bez życia, oddycha z trudem, z ran leje się krwista

maż. Gdyby się poharatał albo dostał kulkę – jakoś byśmy sobie poradzili. Ale nie. To musiała być ta cholerna, zielona galareta.

Odpalam papierosa, patrzę w stronę Świetlika i czuję, jak wbrew sobie odpływam gdzieś daleko.

* * *

– Kojot. Proszę. Boli.

Zrywam się na równe nogi, łapię za karabin i dopiero gdy natrafiam wzrokiem na pełgające ostatkiem sił płomyki ogniska, orientuję się, gdzie jestem.

– Kojot. Coś na ból. Tak okropnie boli.

Zimny pot zlewa mnie od góry do dołu, odstawiam karabin i przysuwam się do młodego.

– Gdzie boli?

– Wszędzie. Nie czuję nóg. Jest ciemno, prawda? Bo nic nie widzę.

Łapię za latarkę, pstrykam włącznikiem i spoglądam Świetlikowi w oczy.

Białka ma przekrwione, źrenice niemal nie reagują na bodźce, tęczówki wydają się zasnute mgłą. Jest źle.

– Widzisz coś?

– Plamy jakieś. Proszę, Kojot. Powiedz, że zostało coś przeciwbólowego.

Sięgam do plecaka, z bocznej kieszeni wyciągam opatrzone czerwonym krzyżykiem pudełko, odpinam zatrzaski i lustruję zawartość. Jałowe opatrunki, mały, chirurgiczny stapler, środki dezynfekujące, bandaże – słowem wszystko, tylko nie to, czego potrzebuję.

Chłopak jęczy z bólu, stara się przekręcić na bok, ale rezygnuje i z sykiem opada na plecy.

– Ja wiem... – zaczyna Świetlik, z trudem łapiąc oddech – ja wiem, że nie dam rady. Czuję przecież. Już wcześniej wiedziałem. Nie mam szans. Do Kordonu jeszcze dwa dni drogi. Nie będziesz mnie przecież niósł. – Chłopak zaczyna płakać. – Ale to tak cholernie boli...

Odkładam pudełko na posadzkę i zastygam w bezruchu.

– Mój pierwszy artefakt i od razu to. Ogryzek prawdę mówił, że Zona nie jest miejscem na pazerność. A ja byłem pazerny. – Młody bierze oddech, charczy i spluwa w półmrok. – Mogłeś mnie zatrzymać albo wejść przodem. Przecież wiesz, jaki jestem? Jaki byłem.

Wciążam powietrze i przecieram twarz dłonią, starając się uspokoić. Wściekłość miesza się z wyrzutami sumienia, dłonie same zaciskają się w pięści. Szukam jakiegoś wytłumaczenia albo powodu, dla którego puściłem przodem niedoświadczonego młodzika. Znajduję je, jak najbardziej, ale milczę. Bo co mam powiedzieć? Że tak jest zawsze? Że młody szedł na szpicy dla mojego bezpieczeństwa? To też nie do końca prawda.

– Świetlik. Nie chciałem, żebyś się władował w coś takiego. Chłopie, przecież nie o to chodzi. Chciałem cię zatrzymać, krzyczałem, żebyś dał spokój.

– Wiem, kurwa, wiem.

Siedzimy w ciszy, trzaskają ostatnie szczapki drewna, chłodny wiatr wpada do pomieszczenia, omiata nas i leci gdzieś dalej, nie odzywając się wcale. Spoglądam na zegarek i kręcę głową, widząc, jak niewiele zdołałem przespać.

– Nie ma nic przeciwbólowego?

– Nie – odpowiadam. – Wszystko zużyłem.

– Co jest w walizce? – pyta Świetlik po chwili milczenia.

– Nie wiem.

– Nigdy cię nie korciło, żeby sprawdzić? – Chłopak mówi powoli, z trudem, jakby siłował się z własnym aparatem mowy. – Ładujesz się w największe gówno pod słońcem, ryzykujesz życie i nigdy nie wpadłeś na to, że możesz przynieść coś, co ustawiłoby cię do końca życia? Daj zapalić – prosi.

Bierzemy po papierosie, Świetlik zaciąga się i kaszle chorobliwie, więc odpinam manierkę i pomagam mu wypić parę łyków.

– Nie – mówię po chwili.

– Co „nie”?

– Pamiętasz, jak szliśmy pierwszy raz? We dwójkę? Co ci wtedy powiedziałem? Że nie wiem, co przynoszę. Tak jest łatwiej.

- I nigdy...

- Nie - przerywam mu. - Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Dlatego jeszcze mam tę robotę.

Chłopak wzdycha i odrzuca niedopałek.

- Zimno tu strasznie. Dasz mi coś do przykrycia?

Wstaję i wyciągam z plecaka gruby, pokryty brezentem koc. Ciężkie to straszliwie, niewygodne w przenoszeniu, ale z doświadczenia wiem, że lepiej się czasem trochę natrudzić, niż później żałować. Szczelnie okrywam chłopaka i widząc, jak ten trzaska zębami, przykładam mu rękę do czoła. Nawet bez pomocy termometru jestem w stanie stwierdzić, że ma wysoką gorączkę. A nie mam nawet głupiej aspiryny.

- Dzięki - mówi cicho Świetlik. - I przepraszam. Nie twoja wina.

Usadawiam się pod ścianą i patrzę w mrok. Powinienem coś zjeść, ale na samą myśl o naładowanej tłuszczem konserwie robi mi się niedobrze. Może to przez stres? A może z powodu tej zalegającej w żołądku kuli goryczy? Jeden pies, i tak nic nie przełknę. Muszę poczekać do rana.

Zerkam ukosem na stojącą tuż obok Świetlika walizkę, biję się z myślami i gdy już mam po nią sięgać, zdaję sobie sprawę z własnej głupoty. Ryzykuję życie, łażę po tej przeklętej ziemi i nawet nie wiem dlaczego. Rozumiem wynoszenie artefaktów. Niektórzy są w stanie zapłacić za nie mnóstwo pieniędzy. Czy to do badań, czy do kolekcji - o ile kasa się zgadza, można ryzykować. A ja? Dostaję informację: bądź tu i tu, odbierz towar, wróć jak najszybciej. No więc idę, czasem czekam na kogoś, niekiedy po prostu znajduję skrytkę, biorę ładunek i wracam. Nie mam pojęcia, co jest w paczkach, ale na pewno nie artefakty. Więc co? Jakie sekrety mogą skrywać?

Korci mnie, żeby zająrzeć. Pierwszy raz odkąd załapałem tę robotę, mam dziwną, perwersyjną wręcz chęć zbadania pakunku. W nim leży przyczyna. Dla tej walizeczki umiera Świetlik.

No jasne, myślę, uśmiechając się szyderczo pod nosem. Rozwalę to cholerne pudło, wyciągnę zawartość, a potem będę oglądał się przez ramię co dziesięć kroków i drżał przy każdym napotkanym człowieku. Ci, którzy mnie zatrudniają, nie bawią się w wesołe

przedszkole. Skoro dobrze płacą i nalegają na niewnikanie w szczegóły, domyślam się, że w środku walizeczki nie znajdę przepisu na bezglutenowy kisiel albo idealny spód do pizzy hawajskiej. Tutaj gra idzie o większą stawkę. I nie wątpię, że jeśli dowiem się więcej, niż chcieliby tego moi mocodawcy, zostanę odstrzelony przy pierwszej lepszej okazji.

Nie. Nie spieprzę tego.

Świetlik wiedział, na co się pisze. Ja też miałem pełną świadomość, że mogę nie wrócić. Takie jest życie.

* * *

Uciskam.

Raz, drugi, trzeci – brak reakcji.

Na nic się tu zda pierwsza pomoc. Chłopak jest chłodny. Nie zimny, nie ciepły, ale właśnie chłodny. Jak ta cholerna Zona o poranku.

Kłęczę przed Świetlikiem, nie mając pojęcia, co robić. Wydawało mi się, że jestem na to przygotowany. Nie było wątpliwości, że umierał. Nie miałem szans mu pomóc. A jednak, kiedy przyszło co do czego, nie jestem w stanie zebrać myśli.

Więc co teraz? Odejść jak najszybciej? Pochować go? I co ze sprzętem? Dwóch plecaków nie udźwignę, a jest jeszcze walizka.

Spoglądam na chłopaka, jest blady na twarzy, oczy zamknięte i podkrążone, w kąciakach lekko uchylonych ust widzę zakrzepłą strużkę wymieszanej ze śliną krwi. Świetlik ma ręce ugięte w łokciach, dłonie zaciśnięte w pięści.

Powinienem był go pilnować, przechodzi mi przez myśl. Przecież wiedziałem, że nie zostało mu dużo czasu. Mogłem go czymś zająć, dać złudzenie, że wszystko będzie dobrze.

Tyle że on by tego nie kupił.

Chciał ze mną iść. To nie tak, że go zmusiłem. Nie miał kasy, na poprzednich rajdach w głąb Strefy było spokojnie. Żadnych problemów. Wchodziliśmy, braliśmy towar i z powrotem na Dużą Ziemię. Raz-dwa i po sprawie. Kto mógł przypuszczać, że teraz będzie inaczej?

Ja. Tylko i wyłącznie ja.

Tym razem szliśmy dalej. Niedużo, jakiś kilometr, może dwa. Tutaj, w Strefie, czasem kilkanaście metrów może mieć znaczenie. Przekraczasz cienką granicę i zdajesz sobie sprawę, że wszedłeś w miejsce, gdzie psy zawracają, a wrony dupami szczekają. I to dosłownie.

Teraz już mu tego nie wytłumaczę. Młody jest martwy i chociażbym chciał, żeby było inaczej, nic ani nikt tego nie zmieni. Zona daje, Zona odbiera – taka stara zasada.

Zaciskam powieki, wzdycham ciężko, uderzam pięściami o strzaskaną posadzkę i niespodziewanie ogarnia mnie spokój. Klik! – i nagle wszystko staje się jasne. Zupełnie jakby ktoś przestawił jakąś dźwignię w mózgu.

Obydwaj wiedzieliśmy, gdzie idziemy i jakie jest ryzyko. Gdyby nie łut szczęścia, leżałbym teraz gdzieś w pobliżu z rozszarpanym gardłem i bez kropli krwi w żyłach. Mutant nie dał mi forów. Atakował tak, aby zabić, i tylko fartem udało mi się przeżyć. Świetlik miał mniej szczęścia – to wszystko. Szkoda go, ale to nie oznacza, że mam teraz płakać, wyć i zgrzytać zębami. Muszę się ruszyć, ogarnąć i jak najszybciej stąd uciec. Byle za Kordon.

Podnoszę się z miejsca, rozglądam wokoło i zaczynam układać plan. Kawalek po kawalku dopasowuję porozrzucane po pomieszczeniu elementy wyposażenia, ustalę, co przyda mi się teraz, co w niedalekiej przyszłości, i biorę się do pracy. Niewykorzystane bandażę, opatrunki, amunicja – wszystko to może mieć kluczowe znaczenie. Przede mną jeszcze dwa dni drogi, a kto wie co może mnie spotkać.

Krzątam się, sprawdzam oporządzenie, w końcu dopinam pakunek, stawiam walizkę obok plecaka i spoglądam na ciało Świetlika. W gardle ścisk, do oczu napływają łzy. Zwykły ludzki odruch. Ale tutaj nie ma na to czasu. Jeśli chcesz przeżyć w terenie, w którym nie ma miejsca na sentymenty, musisz się dostosować. Grać według zasad i poczekać. Jeszcze przyjdzie pora na wyrzuty sumienia. Teraz byłyby tylko balastem.

Układałem młodego pod ścianą, przykrywam kocem (a pal go lichu), unoszę plecak i odstawiam go przy wyjściu. Chłopakowi

już się nie przyda, a schowana przed wścibskimi oczami skrytka może mi się kiedyś przysłużyć.

Wychodzę na kładkę, rozglądam się w poszukiwaniu dogodnego miejsca na zamelinowanie rzeczy. Przez dziury i szczeliny betonowej konstrukcji dostrzegam zasnucone chmurami niebo, pode mną majaczy bajorko galarety, wiatr wzmógł się jeszcze bardziej i trąca starymi, zwisającymi bezwładnie szmatami.

Jest.

Pordzewiały, nieużywany zapewne od osiemdziesiątego szóstego rozdrabniacz trocin. A właściwie jego wnętrze. Nic nie wskazuje, by maszyna miała jeszcze szansę ruszyć, więc miejsce, do którego niegdyś wrzucano masę drobnego surowca, będzie idealne. Żeby zobaczyć, co jest w środku, trzeba by wejść na kładkę, wychylić się niebezpiecznie i spojrzeć akurat w tamtą stronę. Marne szanse, że ktoś będzie aż tak dociekliwy.

Przechodzę kawałek, wystawiam plecak za barierkę i licząc, że wszystko pójdzie po mojej myśli, rzucam nim do środka. Stelaż uderza o blachę, trzeszczy rwany materiał, ale ładunek ląduje dokładnie tam, gdzie chciałem.

Wracam do pomieszczenia, zbieram własny sprzęt i przystaję na moment.

Głupio tak odchodzić bez pożegnania. Światlik był stalkerem. Powinienem wykopać mu grób, krzyż chociaż ustawić.

Zrzucam wszystko na posadzkę, podchodzę do młodego, odczepiam mu od kamizelki maskę przeciwgazową i nasuwam ją na zastygłą twarz. Taki symbol. Niech mu Zona lekka będzie. Prędzej czy później się spotkamy.

Chłopak był prawosławny, więc żegnaj się jeszcze od prawej do lewej, zbieram sprzęt i wychodzę na pomost.

Jeszcze kilka kilometrów i stąd wyjdę. Zostawię przeklętą, wiecznie głodną ziemię.

* * *

Kordon – szara, upstrzona strażnicami, wznosząca się na kilka metrów w górę nitka betonu, okalająca ukraińską część Zony.

Dla tych, którzy próbują wejść do Strefy, to ostatnie miejsce, by zawrócić. Mogą się rozmyślić, poddać wojskowym, przeżyć objawienie i zrezygnować z dalszego marszu. Przy Kordonie mają jeszcze taką możliwość. Jeśli go przekroczą, z automatu staną się stalkerami – wyrzutkami, do których żołnierze nie zawahają się wypruć kilku magazynków.

Kordon powstał po to, by chronić tych na Dużej Ziemi przed wszystkim, co ma ochotę wypełznąć z trzewi Strefy i zakłócić spokój zdrowych, normalnych obywateli. Nieważne, czy jesteś człowiekiem, czy paskudnym mutantem – dla uzbrojonych po zęby wojaków jesteś śmieciem, który nie zasługuje na życie. „W Zonie nie ma żywych ludzi, wszyscy tutaj są martwi” – powiedział mi kiedyś żołnierz, który zdezerterował ze stanowiska. Każdy, kto choć zbliży się do muru od tej przeklętej strony, momentalnie przerabiany jest na sito. Nie ma apelacji ani innych instancji. Ołów nie zna litości.

Wiem to doskonale, dlatego ani mi się śni poruszyć, gdy skanujący okolicę szperacz powoli przesuwa się po pobliskich krzakach. Zimny pot oblewa kark, oddech przyspiesza, w myślach przewala się cały tabun scenariuszy, z których żaden nie kończy się dla mnie dobrze.

Od Kordonu dzieli mnie około trzystu metrów, ale to żadne pocieszenie. Zamontowany na murze sprzęt niestety nie jest pamiętającym zimną wojnę odrzutem z magazynów. To najnowocześniejsze i cholernie drogie instalacje, których przydatność sprawdza się właśnie tutaj – na pasie ziemi niczyjej. W końcu po co ryzykować straty i wysyłać technologię do krajów ogarniętych konfliktem, jeśli ma się na podorędziu taki poligon doświadczalny?

Chmary komarów lądują mi na dłoniach i z rozkoszą zatapiają swoje igiełki w skórze. Przegoniłbym je, ale każdy gwałtowniejszy ruch może zdradzić moją pozycję.

Czuję, że jestem blisko Dużej Ziemi. Nie chodzi już nawet o obecność owadów, odległy śpiew ptaków czy zdrowszą, bardziej zieloną trawę porastającą okoliczne pagórki – to oznaki, które można usłyszeć i zobaczyć. Świadomość bliskości normalnego

świata siedzi gdzieś głębiej i nawet nie jestem w stanie jej zrozumieć. Jakby odsuwając się od matecznika Zony, człowiek mógł wziąć głębszy, nieskrępowany oddech. Niczym wynurzający się z wody nurek.

Z zamyślenia wyrывa mnie nagły błysk. Oślepiająca plama światła gwałtownie zmienia położenie, przesuwając się po ziemi, zastyga kilkadziesiąt metrów na prawo od mojej pozycji i nieruchomieje.

Oho, będę miał szansę.

Huk przebiega po równinie, w blasku promienia szperacza dostrzegam rozpryskujące się na kawałki ciało kabana albo mięsaka, więc podnoszę się w miejscu i pochyłony niemal do samej ziemi, trawersuję w lewo.

Serce tłucze jak oszalałe, plecak, z przywiązaną do niego sznurkiem walizką, docięża plecy, zawieszony na ramieniu karabin uderza miarowo w udo.

Muszę biec. Muszę zdążyć.

Kolejny wystrzał i kwik przerażonego mutanta zlewają się w jeden przeraźliwy ton, mimowolnie zerkam na prawo, w świetle reflektora migają mi potężne sylwetki dwóch czy trzech kabanów, które najwyraźniej nie rozumiejąc, skąd nadszedł atak, rzucają się do ucieczki.

Wprost w moją stronę.

Przeklinam w myślach głupotę radioaktywnej dziczyzny, zwiększam tempo i rozglądam się panicznie w poszukiwaniu włazu. Przecież musi gdzieś tu być! Nie wyparował nagle przez te kilka dni.

Biegnę ile sił w nogach, przepatruję teren najskrupulatniej, jak tylko mogę, ale mrok skutecznie maskuje wszelkie szczegóły. Gdybym chociaż mógł zapalić latarkę... Nie, przecież to wyrok śmierci.

Wydawało mi się, że dam radę dobiec na czuja. Przecież nie raz już tędy łąziłem. Poza tym, leżąc jeszcze w krzakach, miałem wrażenie, że widzę to płytkie zagłębienie otoczone zmutowanym ostrokrzewem.

Dziki są coraz bliżej, tętent racic miesza się z wysokimi,

przerazonymi kwiknięciami. Jeszcze paręnaście metrów i będę ugotowany, przebiega mi przez myśl. Jeśli za kilka sekund nie dojrzę tego pieprzonego włazu, będę jak kaczką na strzelnicy. Wieża wypluje pociski, ruch ustanie i zgniję tutaj, jak wielu przede mną.

Dziesięć kroków – tyle decyduję się zrobić, następnie zrzucam z siebie plecak i daję nura na wilgotną ziemię. Kabany są tuż-tuż, jeden pędzi prosto na mnie, dostrzegam sunący za nim okrąg światła, bydlę chyba w końcu mnie dostrzega, ryczy wściekle i przyspiesza jeszcze bardziej. Zginął stratowany przez kabana, przebiega mi przez myśl. Niezbyt to bohaterskie.

Huk wystrzału, mutant, nie tracąc pędu, ryje długą paszczą w ziemię, ryk milknie gwałtownie, a cielsko przewraca się na bok i zastyga.

Każda cząstka ciała i duszy mówi mi, że bym uciekał.

Zostawić sprzęt, olać zadanie i ratować życie. Gnać do nieużywanego od dawien dawna kanału, wydostać się stąd jak najszybciej i zająć coś innym. Byle dalej od Zony.

Ale to pułapka – błędne przeświadczenie, że mam szansę umknąć ołowianym kulom, miotanym przez jakąś horrendalnie wielką haubicę.

Okrąg światła przelewa się przez moją pozycję. Pomimo zawałowego tętna ze wszystkich sił zamieram, próbuję nawet nie oddychać i przytulam policzek do mokrej gleby. Tylko spokojnie, powtarzam w myślach. Tylko spokój może mnie teraz uratować.

Monstrualne działo gra pieśń swego ludu i kulę się w sobie, gdy leżące obok mnie ciało kabana wybucha korażem krwi, kości i tkanek. Rusz się, a zginiesz – mówi logika, kłócąc się z podszeptami zwykłego, zwierzęcego instynktu.

Następny strzał będzie dla ciebie. Nawet go nie poczujesz. Kula przerobi cię na mielone, zanim zdążysz pomyśleć o bólu.

Okrąg światła rusza nagle, niemal czuję na sobie elektroniczne ślepią wszystkich układów scalonych, które zawiadują zautomatyzowanym karabinem, wstrzymuję oddech i czekam, aż okolicą ponownie zawładnie mrok. Promień szperacza pełźnie po trawie, w końcu ześlizguje się ze mnie całkowicie i pozwala

chwycić parę haustów powietrza. Przez chwilę nie jestem w stanie dojrzeć nawet czubka własnego nosa. Mrugam nerwowo, próbując z powrotem przyzwyczaić się do ciemności i kiedy zaczynam dostrzegać liche kontury najbliższego otoczenia, podnoszę głowę.

Nie mam szans znaleźć wjazdu. Mógłbym plątać się po okolicy, zdobywać każdą piędź ziemi, czołgając się mozolnie wzdłuż i wszerz, ale prędzej czy później czujniki w końcu zarejestrowałyby ruch i posłały mnie w diabły. Jeśli człowiek rusza się dostatecznie powoli, karabin nie powinien zareagować, ale wystarczy jeden maciupeński błąd, pojedynczy, niepotrzebny gest i stajesz się pokarmem dla robaków. A te przy Kordonie potrafiły urosnąć do niebotycznych rozmiarów.

Przeklinam w myślach całe przedsięwzięcie, zagryzam wargi i próbuję dojść do jakiegoś wewnętrznego konsensusu. Zostać – źle, ruszyć – jeszcze gorzej. Z drugiej strony, gdy tylko zrobi się jasno, jakiś ciekawski wartownik pewnie zerknie przez lornetkę, a człowieka już tak łatwo nie oszukam. W nocy są na to jeszcze jakieś szanse, ale co będzie potem, to już czysta loteria.

A więc trzeba zaryzykować teraz.

Rozglądam się jeszcze raz, tym razem powoli, dokładnie, łowiąc każdy możliwy detal. Analizuję w myślach swoją dotychczasową trasę. Schodziłem z pagórka, do Kordonu miałem jakieś trzysta metrów w linii prostej, więc powinienem był pójść w lewo. I tak właśnie zrobiłem. Przebiegłem jakieś pięćdziesiąt metrów, może odrobinę więcej, tak że wjazd powinien znajdować się kolejne pięćdziesiąt metrów dalej. To w teorii. A w praktyce? Zaraz się przekonam.

Łapię za uchwyt plecaka i powoli, niemalże z namaszczeniem, trę brzuchem o wilgotną glebę niczym pełnomorski okręt, drałujący w górę płytkiej rzeki.

Metr za metrem pełnę we wcześniej upatrzonym kierunku, zerkam co chwilę na przepływający po okolicy promień światła i gdy ten zbliża się zanadto, zamieram w bezruchu, by złać się z otoczeniem. Chwila na oddech i znów do przodu, centymetr po centymetrze wlokę się do celu, którego tak naprawdę może tam

wcale nie być.

Nie jestem w stanie stwierdzić, jak dużo czasu zabiera mi ta wędrówka. Godzinę? Dwie? Zgaduj-zgadula, bo zegarek przestał działać, zanim jeszcze na dobre opuściłem tartak. W końcu jednak przystaję i niemal płaczę ze szczęścia.

Witam niskie, zmutowane i tak dobrze znane ostrokrzewy niczym dobrego przyjaciela. Sprawdzam, jak daleko ode mnie zaległ słup światła, i nie zważając już na ostre niczym brzytwa kolce, przenikam przez chaszczę do upragnionego wjazdu.

Odrącam ułożone na płycie kamienie, łapię schowany w krzakach łom i podważam wieko. Dopiero teraz orientuję się, jak głośno jest naokoło. Brzęczą owady, gdzieś dalej stadko ptaków urządza sobie poranny koncert życzeń, z oddali przebijają się dźwięki spalinowych silników. Duża Ziemia jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy tylko ją chwycić.

Zrzucam plecak do tunelu, uśmiecham się szeroko i właśnie wtedy pada na mnie oślepiające światło.

Nie myślę, nie kombinuję, a po prostu łapię za szczebelek pordzewiałej, prowadzącej na dół drabinki i błyskawicznie wsuwam się w głąb przejścia. Lecę na łeb na szyję, nogi zostają z tyłu, czuję igiełki bólu przenikające prawą łydkę i mniej niż sekundę później leżę w betonowym ścieku.

Odwracam się na plecy, od razu sprawdzam swój stan i z ulgą dostrzegam, że zaliczyłem jedynie draśnięcie. Spodnie mam rozdarte, krew błyskawicznie wsiąka w materiał bojówek, ale nie mogę zwlekać. Fakt, że do tej pory wojsko nie zapieczętowało tego wejścia, świadczy jedynie o tym, iż żołnierze nie byli świadomi jego istnienia. A to znowu daje mi chwilę przewagi. Niedużą zapewne, bo ogolone na łysą pałę chłopaki szybko zorientują się, gdzie znajduje się przejście, ale mimo wszystko mam jeszcze jakieś szanse.

Nie zwracając uwagi na sypiące się z góry kawałki betonu, zakładam plecak, zapalam latarkę i czym prędzej ruszam przed siebie.

Jeszcze tylko kawałek.

* * *

Dyszę niczym parowóz, noga rwie coraz bardziej, śmierdę jak nieboskie stworzenie, a ten kretyn jeszcze ma czelność mi mówić, żebym poczekał. Niech no tam wejdę...

Pancerne drzwi otwierają się ze zgrzytem, ukazując prosty, urządzony w minimalistycznym stylu przedpokój: szare, gładzone ściany, kilka drewnianych komód, tu obrazek, tam lustro – prawie jak w rodzinnym Nałęczowie. Z tą różnicą, że tam mieszkanie było na piętrze, a tutaj jestem pod ziemią.

– Wejdz – mówi stojący na progu mężczyzna o twarzy przywodzącej na myśl włoski orzech. Pomarszczony, posiniaczony, ze szramami od noża i Bóg wie czego jeszcze. Wołają na niego Kostka.

– No dziękuję bardzo – mruczę pod nosem i nie wycierając butów, wchodzę do mieszkania.

Zrzucam plecak, zerkam na proste, stojące pod ścianą krzesło i czym prędzej usadowiam na nim swój tyłek. Kostka patrzy na mnie wymownie, domyślam się, że zająłem jego miejsce, ale ani mi się śni stać. Nie po tym, co właśnie przeżyłem.

– Wybacz, Kostka, ale nie ma chuja, żebym czekał na stojąco – mówię, nie zwracając zbyt wiele uwagi na podniesione brwi goryla. – Mam rozoraną łydkę. Szef wolny?

– Dopiero wstał – wyjaśnia krótko ochroniarz i rusza gdzieś w głąb mieszkania.

Zdejmuję but, układam nogę na nodze. Przypatruję się ranie i dochodzę do wniosku, że oficjalnie wyczerpałem życiowy zapas szczęścia. Kula musiała dosłownie mnie musnąć, bo postrzał tylko na pierwszy rzut oka wydaje się poważny. Spodnie do wymiany, tkanki trzeba co prawda zszyć, ale biorąc pod uwagę fakt, że pocisk z tamtej haubicy mógłby mi amputować nogę do kolana, nie jest wcale źle.

Kostka pojawia się jakby znikąd, podaje mi niebieską, nieodpieczętowaną jeszcze apteczkę i staje przy drzwiach.

No, no... tego się nie spodziewałem. Żeby ot tak częstować gości lekami... Czyżby Docent zmienił politykę?

– Młody gdzie? – pyta ochroniarz, opiera się o ścianę i wkłada

ręce do kieszeni. – Poleciał od razu do siebie?

Nie zwracam uwagi na pytanie, odpinam wieczko i zaczynam opatrywać ranę. Dezynfekcja, zastrzyk, potem gaza, szycie – niby nic trudnego. Każdy stalker prędzej czy później musi się tej sztuki nauczyć, ale przy moich drżących dłoniach idzie mi to co najmniej średnio.

Zerkam ukradkiem na Kostkę, ten przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek, ale głowę trzyma na kłódkę. Albo zauważył, że nie mam ochoty gadać, albo zrozumiał, w czym problem. Tak czy tak, oszczędza mi pytań i trwa w niezmienionej pozycji jak wykuty ze spiżu monument.

– Zapraszam – słyszę z głębi korytarza akurat w momencie, gdy kończę szycie.

– Chwila. Zaraz będę.

Szybkie cięcie, pętelka i noga jak nowa. No prawie, bo upłynie trochę wody w Prypeci, zanim przestanę kuśtykać.

Krzywiąc się niemiłosiernie, zakładam but, podnoszę plecak i powolutku zmierzam w kierunku biura. Mijam wywieszzone na ścianach obrazy, depczę włochaty, miękki dywan, przelotem zaglądam do kuchni, skąd dobiega dźwięk bulgoczącej w czajniku wody i śpiew jakiejś ukraińskiej gwiazdy pop. Zatrzymuję się przy drzwiach, stukam dwa razy i słysząc zaproszenie, naciskam klamkę.

– Masz? – pyta Docent. – Siadaj, siadaj. Kawy? Herbaty? – dodaje wskazując na krzesło.

Gdy pierwszy raz zobaczyłem tego starego, posiwiąłego mężczyznę, wydał mi się po prostu kolejnym nieszkodliwym dziadkiem. Takich na obrzeżach Zony jest pełno. Całe swoje życie przesiedzieli na miejscu, zajmowali się ziemią, warsztatem, otwierali małe, lokalne biznesy – nic nadzwyczajnego.

Ale Docent to inny typ człowieka. Głodny pieniędzy, z łbem na karku i potężnymi koneksjami, których źródła nawet nie chcę znać. Pracować dla kogoś takiego – ciężki kawałek chleba, ale mieć go za przyjaciela to luksus dostępny dla niewielu.

– To jak? Herbaty, tak? Pijesz mocną.

Kiwam głową, przysuwam plecak bliżej krzesła, przecinam

związane na setki sposobów linki i ustawiam walizkę na biurku.

- To na pewno to?

- Na pewno.

- Kostka, zrób nam herbaty! - woła Docent i aż dziw bierze, ile energii widać w małych, okrążonych zmarszczkami oczach. Zupełnie jakby miał dwadzieścia, a nie siedemdziesiąt lat. - I przynieś nam, jeśli możesz.

Siedzimy tak chwilę, Docent gładzi dłońią metalową powierzchnię pakunku, po czym zamiera na moment, twarz tężeje mu w ciągu sekundy i spogląda na mnie spode łba.

Coś jest nie tak! Cholera jasna!

Zimny pot zalewa mnie od stóp do głów, ale Docent, jak gdyby nigdy nic, częstuje mnie szerokim uśmiechem i czuję, że schodzi ze mnie cała para.

Kostka wchodzi do pokoju, odwracam się odrobinę na krześle i przejeżdżam wzrokiem po pomieszczeniu. Jasne, pokryte tapetą natryskową ściany, kilka przeszklonych szaf z wszelkiego rodzaju literaturą, dwie komody ze stojącymi na nich bibelotami, prosty, nierzucający się w oczy żyrandol, rozłożony na drewnianym parkiecie dywan - wszystko wygląda tak naturalnie i prosto, że nigdy nie przypuszczałbym, iż mieszkający tutaj dziadek ma coś wspólnego z przemytem. I chyba właśnie o to chodzi.

Odwracam się do Docenta, tekturowe podkładki łądują właśnie na blacie biurka, ochroniarz stawia na nich dwa kubki z parującą herbatą, nachyla się do szefa, szepcze mu coś do ucha i bez słowa wycofuje się z pokoju.

- Gdzie ten twój pomocnik? Świetlik chyba. Tak? Dobrze mówię?

Spoglądam na Docenta, ten łapie aluzję i wzdycha ciężko.

- Szybko?

- Nie. Wlaź w galarete.

Dziadek syczy przez resztkę zębów, wsypuje do herbaty łyżeczkę cukru i miesza energicznie.

- To złe miejsce jest. Wiesz, Kojot? Wielu moich znajomych tam leży. Po osiemdziesiątym szóstym jechali tam badać środowisko:

wpływ radiacji, mutacje, tego typu rzeczy. Niektórzy nawet się habilitowali z tego. A potem, jak już zabrakło funduszy, pakowali własne, ciężko zarobione pieniądze i zostawiali tam przekonani, że coś zmienią. A potem przyszła Druga Katastrofa, kto mógł, ten zawijał manatki i gnał poza Strefę. Większość moich znajomych jednak została. Myśleli, że Boga za nogi złapali. A teraz leżą gdzieś tam i nawet nikt się o nich nie upomina. Zapomnieli wszyscy i...

- No dobra, ale...

- Nie przerywaj - upomina mnie Docent, upija łyk herbaty i kontynuuje: - Chodzi mi o to, żeby nie zapomnieć. Popatrz na mnie. Mogłem tam być z nimi, ale się powstrzymałem. Trzeba o nich pamiętać, ale żyć dalej. Zona odebrała swój haracz i masz szczęście, że ci się udało. To taka mała rada.

Podnoszę kubek, upijam łyk naparu i nagle dociera do mnie, jak bardzo jestem zmęczony. Nawet nie samą akcją, ale tym, co robię. Ciągły stres, walka o życie, ucieczki. A przecież nie młodnieję. Czas gra na moją niekorzyść, a sensownego wyjścia nie widać i nie słyhać. Mógłbym zacząć życie gdzie indziej, rozpocząć nowy rozdział, wrócić do Polski i cieszyć się tym, co mam.

Mógłbym, gdyby nie przeszłość.

- Dzięki - mamrocę pod nosem.

Docent kiwa głową, wstaje z obitego skórą fotela i podchodzi do stojącej zaraz za nim pancерnej szafy. Cichy szcęk kłódki, zgrzyt metalu, potem kliknięcia elektronicznego zamka i szcęk stalowych, grubych jak przedramię prętów zabezpieczających.

- Rozliczmy się, bo nie mam za dużo czasu - mówi stary, wyciąga grube rulony banknotów, kładzie je w szafie i zamyka sejf. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Myślałem, że będziesz już wczoraj, dlatego dziś mam pozajmowane terminy, ale i tak dobrze, że wpadłeś. Kasa twoja i Świetlika.

Trzaska szafa, skrzypi skóra na fotelu, Docent kładzie rulony na stole i patrzy w moją stronę.

- Świetlika? - pytam zdziwiony.

- Po znajomości. W końcu stały klient jestem.

Coś mi nie pasuje.

Docent niby uśmiechnięty, zadowolony, ale to jedno, rzucone niby przypadkiem spojrzenie zmroziło mnie do szpiku kości.

– Jakież problemy? – pyta staruszek. – Oprócz wiadomego wypadku.

– Tunel przy starej cukrowni może być spalony. Przyuważyli, jak przechodziłem. Trzeba będzie korzystać z tego, którym przedostawał się Ogryzek. Skurwysyny mają tyle tego sprzętu, że coraz trudniej się przekraść. Trzeba będzie zacząć robić to, co na wschodzie.

– Chcesz płacić? Ryzykowne.

– Jeśli wszystkie wejścia okażą się spalone, to nie będzie innej możliwości. Albo wejdziemy tędy za łapówkę, albo będziemy dymać na Białoruś. A tamtych terenów kompletnie nie znam.

– Coś pomyślimy. – Dziadek dopija herbatę, sygnalizując tym samym, że audyencja skończona.

Wstaję z fotela, zerkam na aluminiową, leżącą na stole walizkę, przed oczami mam umierającego Świetlika.

– Docent? Co jest w tej walizce, że tak bardzo ją chciałeś mieć? – pytam, nie myśląc wiele.

Błąd! Duży błąd! Co mi do łba strzeliło? Pomyślałem o Świetliku, o jego dywagacjach w tartaku i zanim zdołałem się ugryźć w język, wyrzuciłem z siebie absurdalnie głupie pytanie.

Docent odstawia kubek na podstawkę, patrzy na mnie uważnie.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – cedzi lodowatym tonem. – Myślałem, że znasz tę maksymę. Idź już. I uważaj na emisję.

Kiwam pospiesznie głową, chwytam za plecak, wkładam pieniądze do kieszeni i czym prędzej ulatniam się z pokoju. Przy wyjściu zerkam jeszcze ostatni raz na pakunek i pogrążonego w myślach Docenta. Szybko pokonuję korytarz, podaję rękę Kostce, mimo bolącej nogi jak sprinter wybiegam z budynku i dysząc ciężko, zatrzymuję się na zewnątrz.

Macam się po kieszeniach, szukam papierosów i dopiero po kilku wyjątkowo długich minutach orientuję się, że zostawiłem je w kombinezonie. Ten oczywiście znajduje się w plecaku, więc bez grzebania w rzeczach się nie obejdzie. A na to nie mam ani

sił, ani chęci. Ze złości uderzam pięścią w ceglana ścianę, następnie poprawiam paski przy ramionach, wydaję z kieszeni rulony banknotów i przeliczam je ostrożnie.

– Skurwysyn – mówię cicho, przelatując kolejne nominały.

Niby zapłacił za Świetlika, to się zgadza, ale mogłem się domyślić, że Kostka nie dał mi apteczki z dobroci serca. A Docent policzył za nią, jakby była ze złota.

Chowam banknoty i ruszam przez błotnistą, wypełnioną śmieciami ulicę. Marzę o powrocie do domu, ale czeka mnie jeszcze jedna wizyta.

Z pewnością bardziej bolesna.

* * *

Ściągam ciężki plecak, ustawiam go pod poznaną setkami markerowych gryzmołów ścianą i wzdycham. Podchodzę do obdrapanych drzwi, metalowa zawieszka w kształcie cyfry 3 zwisa smętnie, trzymając się na resztkach kleju, wyraźnie ponadpalana w kilku miejscach podłoga skrzypi głośno i niemal zagłusza krzyżące na zewnątrz dzieci.

Może nie warto, przemyka mi w myślach. Może lepiej powiedzieć, że wyjechał albo został w Strefie? Zawsze to jakaś nadzieja. Z drugiej strony, czy mogę ją okłamywać? Prędeż czy później przecież się dowie. Na pewno chlapnę coś komuś po pijaku, a wieść zacznie żyć własnym życiem.

Nie. Lepiej, żeby usłyszała to ode mnie.

Z mieszkania naprzeciwko dobiegają głośne krzyki, trzask tłuczonych naczyń i płacz małego dziecka.

Bloki. U mnie było podobnie. Wystarczyło kichnąć, a sąsiad wiedział, że jestem w domu. Nie trzeba było nawet specjalnie się wysilać, by wiedzieć kto co robi.

Ręka wędruje na dzwonek, naciskam przycisk i czekam.

Rozglądam się dookoła, jasne światło poranka przebija się przez brudne szyby okien, chmury pędzą w sobie tylko znanym kierunku, ludzie powoli wyłaniają się z klatek schodowych, z minami godnymi więźniów obozów pracy mijają się na chodniku i drepczą gdzieś w dal.

Patrzę na drzwi, nikt nie odpowiada, orientuję się, że Świetlik wspominał coś o zepsutym dzwonku, więc stukam w obdrapane drewno.

Powolne kroki niemal giną w harmidrze otoczenia, szczęka zasuwa, klamka wędruje w dół, w głowie pojawia się chęć ucieczki, ale zatrzymuję ją siłą woli i spycham głęboko, by nie miała szans ponownie wyjść na zewnątrz.

– Kojot – stwierdza starsza, posiwiata kobieta.

Jest niska, krępa, na nosie trzyma niemodne od wielu lat okulary o szerokich oprawkach i grubych szklach.

Myślałem o tej chwili. Jeszcze kiedy wychodziłem z tartaku, miałem w głowie cały scenariusz tego spotkania. A teraz wszystko uciekło. Zniknęło pod grubą warstwą wyrzutów sumienia.

Kobieta patrzy na mnie, zza szkieł okularów widzę smutne, zmęczone oczy, dolna warga, muśnięta różową pomadką, drga delikatnie.

Ona już wie. Nawet gdybym kłamał, nie uwierzyłaby w ani jedno słowo. Przyszedłem sam. Bez jej syna. A to znaczy tylko jedno.

– Przepraszam – szepczę, nie mogąc znaleźć w głowie żadnego innego słowa. – Przepraszam.

Kobieta nie odpowiada. Stoi w bezruchu, patrzy na mnie i mam wrażenie, że cały świat zatrzymał się w miejscu – ludzie na ulicy, przejeżdżające raz po raz samochody. Ustały nawet wrzaski dzieci i prowadzona po sąsiedzku kłótnia.

– Wiedziałaś – mówi drżącym głosem. – Wiedziałaś. Kiedy... – głos kobiety łamie się niczym uderzony siekierą lód na rzece. – Kiedy to się stało?

– Dwa dni temu.

Słyszę jej ciężki oddech, widzę, jak kolana matki Świetlika słabną w ciągu sekundy, chcę pomóc jej ustać, ale ona odpycha mnie brutalnie i patrzy w moją stronę zeszlonymi od łez oczami.

– Poradzę sobie – mówi twardo. – Wszyscy jesteście tacy sami. Mówiłam mu, żeby przestał. Prosiłam, błagałam, groziłam. Ale on nie słuchał. Imponowaliście mu! A teraz co? – Kobieta zaczyna

krzyczeć. – No pytam się! Co teraz zrobisz? Mówił o tobie, taki wpatrzony był! Pamiętasz ostatnią rozmowę? No pytam się?

– Tak – odpowiadam, nie próbując nawet się bronić.

– Obiecywałeś, mówiłeś, ty kurwy synu, że nic się nie stanie. I co? Gdzie on jest? Gdzie jest mój syn! Ty wróciłeś, on nie! Pytam się, gdzie jest!

Tym razem nie odpowiadam. Nie mogę. Wiem, że to moja wina. Niepotrzebnie dałem się mu przekonać.

– Przepraszam.

– A na cholerę mi twoje przeprosiny. – Kobieta słuwa mi prosto w twarz. – Żebyś zdechł, Kojot. Żebyś zdechł, i to w męczarniach. Zabiłeś mi chłopca, sukinsynie!

Ocieram płwocinę rękawem, w gardle czuję ucisk, pragnę uciec stąd jak najszybciej, podnoszę plecak z podłogi.

– Przepraszam – powtarzam po raz enty.

– Obyś zdechł.

Drzwi trzaskają głośno, metalowy numerek odpada i z cichym brzdękiem ląduje na podłodze. Podnoszę go, czując odzywającą się bólem nogę, powoli kieruję się na schody i zastygam przy skrzynce na listy. Wyciągam z kieszeni pełną gażę Świetlika, wsuwam banknoty przez metalowy otwór i dorzucam do nich błyszczącą zawieszkę.

Muszę odpocząć.

A potem, jeśli pieniądze pozwolą, zachlać się w trupa.

Na amen.

Rozdział 2



Pięknie jest na Dominikanie o tej porze roku. Słońce praży, wiatr leniwie popycha żaglówki, piękne Latynoski przechadzają się po plaży. To jest życie...

Szkoda tylko, że nie moje.

Odkładam telefon na brudny, lepki od piwa stolik, chwytam kieliszek w dłoń i wychylam całą zawartość za jednym razem. Wódka jest ciepła, nieprzyjemna, drażni policzki i język igiełkami procentów, a co najgorsze – właśnie się kończy. Zakrętka łąduje na stole, wlewam resztkę alkoholu do kieliszka i od niechcienia stawiam butelkę z powrotem na miejsce.

Ostatnia setka leci do żołądka, szumiący w głowie etanol odpręża i maskuje niechciane myśli, dobiegająca z głośników muzyka odciąga od długich, niepotrzebnych rozważań. Rozglądam się po małej sali i wzdycham głośno w pijackim odruchu.

Czerwona, odłóżąca od ścian tapeta kłania mi się z ogarniętych półmrokiem kątów, klepki parkietu kołyszą się nieznacznie, kusząc i zapraszając do tańca. Wystające znad stolików ludzkie popiersia gestykują mocno, podnoszą do ust widelce albo trwają w bezruchu niczym rzeźby minionych liderów niechcianych partii bloku wschodniego.

Rozpływam się na miękkiej, sfatygowanej kanapie, alkohol obezwładnia kończyny, myśli mam nieskładne, kruche i ze wszech miar narażone na atak. Wystarczy jedno słowo, pojedynczy, nieprzemyślany gest, a wszystko rozsypie się w drobny mak. Wskazówki zawieszzonego naprzeciw mnie zegara bezgłośnie wędrują w prawo, w umiejscowionym nad

czasomierzem telewizorze dyskutują lewitujące głowy.

Wariuję. Od tygodnia jedyne, co robię, to śpię lub piję, i mam tego skutek. Nic już nie jest realne. Wszystko stało się jednym wielkim teatrem, w którym aktorzy zrejterowali ze sceny, pozostawiając Bogu ducha winnych widzów na pastwę własnego towarzystwa. Żeby jeszcze ktoś miał coś ciekawego do powiedzenia. Ale nie. Tylko poklepywanie po ramieniu albo pełne wściekłości spojrzenia.

Wszyscy znali Świetlika. Wiedzieli, że idę z nim do Zony. Za pierwszym razem też krzywo patrzyli, przekonywali do zmiany decyzji najpierw mnie, potem jego. Zdawali sobie sprawę, że młody chce zarobić, ale nikt mu nie pomógł. Mieli to głęboko w poważaniu. A teraz, kiedy już go nie ma, znaleźli sobie kozła ofiarnego. Bo to przecież moja wina – nie upilnowałem go. Najgorsze jest to, że po części mają rację, i nie mogę nic z tym zrobić. Życie musi toczyć się dalej.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że nawet pita na czysto wódka nie jest w stanie zagłuszyć sumienia. Uderzam pięścią w stół, pustka butelka kołysze się, przewraca, odtacza na skraj blatu, spada i z trzaskiem rozbija się na parkiecie. Zaciskam powieki, poprawiam się na kanapie i staram się przywrócić do porządku.

Problem z piciem jest taki, że kiedy już pochłoniesz pewną ilość alkoholu, nie jesteś w stanie ot tak wytrzeźwieć. Możesz się łudzić, że procenty jakimś cudem wyparowały nagle z organizmu, ale to tylko iluzja. Nadal jesteś nawalony i każdy dookoła może to stwierdzić gołym okiem.

– Idź na górę. – Olga materializuje się jakby z powietrza tuż przed moim stołem. – Pijany jesteś. Odpocznij, zjedz coś. Który to już dzień, co?

– Któryś – mówię pod nosem.

– I co ci to da? – Barmanka schyla się, zmiata potłuczone szkło, po czym siada na jednym z krzeseł. – Szef już mi suszy głowę, że zalegasz z płatnością. Jakoś go jeszcze uprosiłam, ale jego cierpliwość też ma swoje granice.

Sięgam do kieszeni spodni, wydaję pakiet banknotów i kładę go na blacie.

– Wystarczy?

Olga kręci głową, zabiera pieniądze i chowa je do kieszeni.

– Na razie wystarczy. To wszystko, co masz?

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Nawet nie zwróciłem uwagi, ile jej dałem. – Nikt nie rozumie...

– Przestań się zachowywać jak pijany nastolatek. Weź się w garść. Nie pij więcej, pójdź spać i weź się do roboty. Słyszałam, że Doroszenko szuka kogoś do sklepu. Pójdź, pogadaj, może ci się uda. Przecież nie jesteś głupi.

Podnoszę irracjonalnie ciężką głowę, spoglądam w piękne, zielone oczy. Olga uśmiecha się leciutko, poprawia jasne, błyszczące w delikatnym świetle włosy.

– Dasz radę. Tylko się postaraj – mówi.

Odwraca się na pięcie i do wtóru jakiejś rzewnej rockowej ballady, kołysząc lekko biodrami, odchodzi w kierunku baru.

– Dam radę – powtarzam pod nosem. – Muszę.

* * *

– No i co tam, Polaczku pieprzony?

Głos jest znajomy, choć w pierwszej chwili nie jestem w stanie skojarzyć go z konkretną osobą. Alkohol zdążył odrobinę wyparować, ale nie mam zamiaru się oszukiwać. Nadal jestem na rauszu i niedziwne, że neurony nie chcą ze sobą współpracować.

– Głuchy jesteś? He? – słyszę i już wiem, czym zakończy się to spotkanie.

Zapinam rozporek, odwracam się od pisuaru, w mrugającym miarowo świetle lampy widzę młodego, wysokiego blondyna w dresie i drugiego, stojącego za nim, skośnookiego i nieco niższego chłopaczka.

– Nie lubię rozmawiać w kiblu – odpowiadam, zgrywając bardziej trzeźwego, niż jestem w rzeczywistości. – Dziwnie tak jakoś. Chcesz pogadać, to idź do stolika.

Blondyn uśmiecha się szyderczo, skośnooki podchodzi do drzwi i opiera się o nie ostentacyjnie.

A więc tak chcecie to rozegrać, myślę, próbując wyczuć schowany za paskiem nóż.

– Myślisz, że my, kurwa, nie wiemy, jak żeś Świetlika zajebał? Idzie dwóch, przychodzi jeden i jeszcze szasta hajsem jak król. Za debili nas masz? Trzeba było, Polaczku, wypierdalać od razu.

Czuję uderzające do głowy ciśnienie, zgrzytają zęby, mózg mimo czasowego osłabienia zaczyna pracować na wysokich obrotach.

Ten blondyn to Druciak – dopiero teraz udaje mi się przypomnieć sobie jego ksywę. Znał się ze Świetlikiem, młody wspominał o nim kiedyś. Lokalny gopnik i moczymorda. Nie skończył szkoły, poszedł w dragi, a potem, kiedy zabrakło kasy od rodziców, zajął się kradzieżami i paserstwem. Próbował nawet wejść za Kordon, ale najwyraźniej nie poszło mu zbyt dobrze.

Drugiego, tego skośnookiego o ciemnej karnacji, nie kojarzę w ogóle. Albo jest nowy, albo jakimś cudem nie trafiłem na niego ani razu.

– Świetlik wpadł w galarete – odpowiadam przez zęby. – Więc odpierdol się łaskawie, rozejdźmy się w pokoju i zajmijmy swoimi sprawami. Paniał?

Wiem, że to bez sensu. Przyszli tu za mną nie po to, żeby rozmawiać, ale żeby się tłuc. I w tym momencie nic ani nikt tego nie zmieni.

Blondyn rusza bez słowa, błyskawicznie skraca dystans i częstuje mnie kopniakiem w żebra. To nie żaden boks ani tajemnicza wschodnia sztuka walki. Tak zaczyna się bójkę na ulicy.

Błąd.

Powinien był zacząć od pięści. Kopniak w tułów, mimo że boli, nie odcina świadomości. Po takim ciosie można jeszcze działać.

Uderzam w ścianę, żołądek buntuje się natychmiastowo i oddaje część wypitego alkoholu. Druciak, widząc trafienie, śmieje się i na pewniaka strzela prawym prostym.

Schodzę nisko, wymijam pięść i z całej siły uderzam Druciaka w splot słoneczny. Blondyn zachłystuje się powietrzem, nachyla do przodu, więc częstuję go kolanem w twarz, trawersuję w lewo i poprawiam pięścią w głowę. Sekundę później kątem oka

dostrzegam lecącego z pomocą skośnookiego. Konus, nie zwracając uwagi na swojego znajomego, przeskakuje nad jego wijącym się ciałem i atakuje jak żmija.

Błysk migoczącej świetlówki odbija się od wyciągniętego nie wiadomo skąd noża, pełnym farterem chwytam skierowaną w moją stronę rękę napastnika, popycham niższego o dobrą głowę Azjatę i odskakuję w tył.

– Ty skurwysynie – drze się leżący na boku Druciak.

Krew leje się strugami z nosa gopnika i po chwili błyszczy na jasnych, popękanych w kilku miejscach kafelkach. Skośnooki nie spuszcza ze mnie wzroku, przestępuje z nogi na nogę i przygotowuje się do natarcia.

Wcześniejszy atak odparłem tylko z pomocą szczęścia. Z nożownikami się nie walczy. Wszystkie te szkoły pokazujące, jak chronić się przed uzbrojonym w ostre narzędzie napastnikiem mają tak wiele wspólnego z rzeczywistością, co opowieści o potworze z Loch Ness i Wielkiej Stopie.

Walczysz o życie, myśl jarzy się w głowie jak ostrzegawcza czerwona lampa. To już nie jest zwykła barowa walka do pierwszych poważniejszych obrażeń.

Nie daję rady dobyć swojego ostrza, gdyż chłystek jednym zwinnym susem pojawia się przede mną. Trzymany w prawej dłoni nóż śmiga z niesamowitą prędkością, mija mój spóźniony blok i tnąc zwykły, szary podkoszulek, wnika w skórę. Ostro ból przeszywa klatkę piersiową, tętno przyspiesza gwałtownie, krzyczę mimowolnie i z rozpaczą uderzam napastnika z główki.

Ale on jest szybszy.

Idzie w prawo, owija lewą rękę na moim prawym przedramieniu, zakłada prostą, ale w tym przypadku skuteczną dźwignię i ciężarem ciała pcha mnie na ziemię. Uderzam głową o posadzkę, rozcinam łuk brwiowy, krew momentalnie spływa mi na oczy tak, że muszę je zamknąć.

Już po mnie. Zabiją mnie tu.

Drzwi otwierają się z trzaskiem, słyszę kroki i charakterystyczny, metaliczny dźwięk zamka.

– Rzuć nóż i pod ścianę.

Azjata luzuje chwyt, otwieram lekko oko i łapię głębszy wdech. Olga stoi w wejściu, w rękach trzyma sfatygowanego makarowa, na zewnątrz słychać zawieruchę.

– Już, pod ścianę.

Czuję, jak skośnooki schodzi ze mnie, brzdęka upuszczany nóż, Druciak leży na posadzce i jęczy cicho.

– Kojot, wstawaj.

Bez słowa, z mętlikiem w głowie, podnoszę się do pionu i kuśtykając, zmierzam w stronę wyjścia.

– Ty kurwo, swoich będziesz straszyć? – odzywa się Druciak.

– Zamknij mordę. Kojot, za mnie. Ty, żółty, klękasz przy ścianie. Druciak, dołącz.

– Chyba cię pojeba...

– Albo się posłuchasz, albo odstrzelę ci twoje chude jaja. Wypierdalaj pod ścianę, zanim stracę cierpliwość. Szef zaraz będzie.

Słucham tych rozkazów i nawet nie jestem w stanie zrozumieć sytuacji.

Zabiliby mnie. Tutaj, w tym miejscu. Umarłbym nie w Zonie, nie na Kordonie, ale właśnie tutaj – w kiblu jedyne go baru w okolicy. Prawie że w domu. Cholera jasna...

Patrzę, jak Druciak podnosi się powoli z miejsca, łypie to na mnie, to na Olgę, ale posłusznie wędruje w kierunku swojego znajomego.

– Wszystko w porządku? – pyta Olga, nie odrywając wzroku od celownika. – Krwawisz.

– Przeżyję.

– Ty szmato! – drze się Druciak. – Polaczka będziesz kryła? Przyjechał tutaj, chłopaka nam zabił, a ty jeszcze z nim? Pieprzysz się z nim, to i na mózg ci padło. Baba bez bolca dostaje pierdolca, a?

– A co? Zazdrościsz, małolacie? Żadna ci nie daje, bo kuśka ci od dragów już całkiem sflaczała. Jak mnie wkurwisz, to w ogóle ją stracisz, więc lepiej zawrzyj gębę i czekaj.

Głowa mi pęka, wszystko wokół wiruje, zawartość żołądka podchodzi do gardła, chcąc uwolnić się z odmętów organizmu.

Upadam ciężko na posadzkę, ocieram rozbite czoło, krew wsiąka w podkoszulek i barwi go karmazynem.

– Kojot? Wszystko okej?

Nic nie jest „okej”. Całe ciało drży jak oszalałe, czuję, że dłużej nie wytrzymam, na czworakach dopadam do pisuaru i rzygam jak kot. Jak nic to wstrząs mózgu. Jeszcze tego brakowało.

– Odłóż broń – słyszę gdzieś zza pleców. – Co się stało?

Głos jest niewyraźny i miętki, jakby każde słowo rozsypywało się na głoski, które nikną w przesyconym smrodem moczu i wymiocin powietrzu.

– Szef zaraz przyj...

– Pytam, co tu się stało.

– Próbowali zabić znajomego. Musiałam tu wejść z bronią.

– Zajmiemy się tym – odpowiada męski, basowy głos. – Loboda, wejdz i zajmij się tamtymi. Orlyk, weź tego do sali i posadź przy stoliku. Wykonać!

O kurwa.

Powity gdzieś w dole kręgosłupa dreszcz przebiega błyskawicznie w górę i zadomawia się w okolicach karku. Mimo dokuczliwego bólu, nudności i świadomości, że mogłem zginąć, dociera do mnie, kto pojawił się w barze.

* * *

– Zabieramy wszystkich do nas – mówi wysoki brodaty mężczyzna w stopniu sierżanta.

– Policję może wezwać? – odpowiada zdyszany, gruby facet o sumiastych wąsach. To Fedor – szef Olgi.

– I co zrobią? Przyjadą, pokiwiają głowami, a te gnojki przyjdą za dzień czy dwa i zrobią wam piekło. – Sierżant wzrusza ramionami. – Weźmiemy ich w obroty, a z glinami się dogadamy. To bardziej nasz teren niż ich.

– Ale, panowie, jak ja to wyjaśnię? Wszyscy widzieli, co się działo, będą gadać i policja się lada chwila dowie. A jak mnie do odpowiedzialności pociągną?

– My się z nimi już dogadamy. Wolisz to załatwić tak czy żeby te gnojki tu wróciły?

Fedor zerka w stronę Druciaka, przenosi wzrok na mnie.

– Ale to może nieporozumienie jakieś? Albo pijacki wyskok – mówi.

Uśmiecham się pod nosem.

No tak, facet musi dbać o interes. Niech się tylko reszta znajomków Druciaka dowie, co się tutaj działo, a szef będzie miał nie lada kłopot.

Czuję nagły zawrót głowy, zamykam oczy, we łbie cała rodzinka krasnoludów bawi się w orkiestrę dętą, ciało drży mimowolnie i z całej siły staram się powstrzymać wzbierające w żołądku nudności. Oddycham miarowo, starając się jednocześnie uspokoić skołatane nerwy, otwieram jedno, potem drugie oko i nie napotkawszy wirującego w zawrotnym tempie obrazu, przeczesuję salę wzrokiem.

Wojskowi odeszli kawałek i półszepem rozprawiają o czymś z Fedorem, Druciak ze swoim przydupasem siedzą w przeciwnym kącie i zerkają spode łba na żołnierzy. Olga zaanektowała kawałek szynkwasu i popija coś z prostokątnej szklanki. Nie odwraca się, nie rozgląda – siedzi w niemal idealnym bezruchu, patrząc prosto na lustrzaną, wypełnioną butelkami szafeczkę.

Uratowała mi życie. Mogła olać to wszystko, stanąć po stronie Druciaka, uznać, że nie warto wstawiać się za przyjezdnym i przysparzać sobie problemów, ale postanowiła zrobić dokładnie na odwrót. Chwilowy napad szaleństwa? Przypadek? Nie jestem w stanie tego pojąć. Teraz będzie na celowniku. Prędzej czy później wszyscy dowiedzą się, jak się zachowała, i zapewne nie będą z tego powodu zadowoleni.

Mimo że mieszkam tu już jakiś czas, nigdy nie zdołałem do końca zasymilować się z lokalnymi. Nie wiem, czy to kwestia innej kultury, poglądów na życie, czy zwykłej ludzkiej niechęci. Po prostu było nam jakoś nie po drodze. Fakt, od czasu kiedy zacząłem pracować dla Docenta, ludzie przestali patrzeć na mnie krzywo przy każdej możliwej okazji. Ba, poznałem nawet kilku stalkerów, przez których zdobyłem parę nowych, wartych podtrzymania kontaktów. Ale nawet mimo tego nigdy nie byłem

tutaj u siebie. Jak bardzo nie chciałbym tego przyznać, jestem z nieco innego świata i jako obcy próbowałem wejść w tę społeczność, chociaż nikt mnie nie zapraszał.

- Ty, wszystko gra? Jak się czujesz? - Brodaty sierżant podchodzi do mnie, opiera ręce o stół i nachyla się w moim kierunku. - Zawroty głowy? Nudności? Pamiętasz w ogóle, co się działo?

- Pamiętam. Ale dalej mi się chce rzygać.

- Orlyk. - Brodacz odwraca się ode mnie i gestem zaprasza jednego z wojskowych. - Trzeba go będzie zbadać. Możliwe, że ma wstrząśnienie mózgu. Zajmij się nim.

- Robi się. - Mężczyzna poprawia mundur, wyjmuje z apteczki jednorazowe, lateksowe rękawiczki, zakłada je sprawnie, wymija stolik i staje obok mnie. - Pokaż to cięcie.

Unoszę dłonie, rozrywam i tak już przecięty podkoszulek i pochylam się nieco w przód.

- Nie weszło głęboko, zdążyło przestać krwawić - ocenia kapral. - Do wesela się zagoi. Zepniemy to jeszcze zszywkami i będzie spokój. Możesz wstać?

Z trudem podnoszę się z miejsca, grające w głowie krasnale zwiększają tempo swojej upiornej uwertury, ręka ląduje na lepkim blacie, nogi drżą i odmawiają posłuszeństwa, ale jakimś cudem dają radę się na nich utrzymać. Jeden krok, drugi. Orlyk łapie mnie pod ramię i powoli kierujemy się do wyjścia.

Spoglądam jeszcze na Olgę, ta odwraca się do mnie, dostrzegam rozmazany makijaż, zaczerwieniony nos, spływającą z wargi krew i już chcę coś powiedzieć, podziękować za wszystko, ale nie daję rady. Barmanka odwraca się do mnie plecami, upija łyk ze szklanki, wstaje szybko z krzesła i znika gdzieś na zapleczu.

- Uważaj, stopnie.

Wychodzimy głównymi drzwiami, nocne, wiosenne powietrze uderza mnie niczym obuchem, obraz rozmazuje się i wiruje jak oszalały. Już mam zamykać oczy, gdy daleko na wschodzie dostrzegam pomarańczowo-fioletową lunę.

- Emisja - mamrocę pod nosem. - Chyba jakaś duża.

- Ano emisja - przytakuje prowadzący mnie za ramię kapral. -

Ale spokojnie. Tutaj nic nam nie grozi. Ale ty chyba wiesz to najlepiej? Co, stalkerze?

Spoglądam na żołnierza i robi mi się słabo. Chodzenie sprawia mi trudność, ale po tej uwadze mam wrażenie, że za chwilę upadnę i zdechnę w mdłym blasku latarni. Czy on sobie zdaje sprawę z tego, co powiedział? Czy chciał właśnie to powiedzieć? I co miał na myśli? W co ja się wpakowałem? Gdybym wiedział, że żołnierze będą dzisiaj odwiedzać bar, nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby się tam pokazywać. To jak igranie z ogniem.

Przechodzimy przez ulicę, Orlyk zacieśnia chwyt i przyspiesza kroku. Mijamy wypchane po brzegi kosze na śmieci, skręcamy za róg budynku i stajemy przy ciemnym, starym seacie. Wojskowy wyciąga z munduru kluczyki, patrzy na mnie, po czym wskazuje na maskę.

– Siadź sobie.

Nie ma w tym cienia rozkazu czy joty podniesionego głosu, a jednak gdzieś wewnątrz czuję, że każdy sprzeciw zostałby potraktowany z należytą dla mundurowych gorliwością. Nie wiem, skąd u mnie ta myśl. Może dlatego, że niegdyś sam zachowywałem się podobnie. A może po prostu mózg po uderzeniu w posadzkę nie funkcjonuje jeszcze tak, jak powinien?

Grunt, że się nie ociągam, tylko opadam na karoserię i oddycham ciężko niczym wół. Ile przeszliśmy? Kilkadziesiąt metrów? Żaden dystans, a mimo to przed oczami latają mi mroczki. Szczęka centralny zamek, Orlyk bierze mnie pod ramię i prowadzi na tylne siedzenie. Usadawiam się na fotelu, rozglądam wokoło i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, w jakie bagno wpadłem.

Nawet jeśli wojskowi nie przejawiają wobec mnie złych zamiarów, samo obcowanie z kimś, kto parę kilometrów dalej strzeliłby do ciebie bez wahania, nie jest przyjemne. Do tego gdybym chciał zwiać, nie mam na to szans. Nie w tym stanie i nie przy eskorcie dobrze zbudowanego chłopca, który dogoniłby mnie po kilku metrach.

A więc co mogę zrobić? Myśl, kretynie! Myśl.

Drzwi zamykają się z trzaskiem, wojskowy siada na przednim

fotelu pasażera, odwraca się do mnie, pstryka włącznikiem na podsufitce i prezentuje czarną otchłań lufy pistoletu.

– Wiemy, kim jesteś i co robisz – mówi twardo. – Masz dwie opcje. Pierwsza to taka, że za chwilę dostaniesz makarowa. Weźmiesz go w łapę, potrzymasz chwilę i grzecznie mi go oddasz. Nie będzie nabity, więc nawet się nie trudź i nie wygłupiaj. Masz go po prostu potrzymać, jasne? Drugą opcją jest prosta i niezawodna kula w łeb. Rozumiemy?

Przerażenie zatyka mi gardło, więc tylko przyzymkam oczy na znak, że zrozumiałem, i łapczywie łapię oddech.

Teraz mam już pewność. Orlyk wcale się nie przejęzyczył. Specjalnie rzucił tym tekstem o emisji. Chciał, żebym zrozumiał, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłem. Nie ucieknę, nie schowam się nigdzie. Jestem zdany na łaskę i niełaskę mundurowych.

Trzymając mnie cały czas na muszce, wojskowy sięga do schowka, grzebie w nim chwilę, po czym wyciąga starego, porysowanego makarowa. Wcisną dźwignię zwalniania magazynka, załadowany ołowianymi pociskami prostokąt wylatuje wprost na jego kolana.

– Trzymaj – mówi kapral i wyciąga w moim kierunku sfatygowaną rękę.

Mijają wypełnione napięciem sekundy, cisza wwierca się w uszy, piecze rana na klatce piersiowej, głowa pęka od tysięcy rozmaitych myśli i scenariuszy. Jestem pewien, że jeśli wezmę kłamek, będzie to oznaczało przypieczone losy. To jak pakt z diabłem: możesz domyślać się skutków, jakie niesie za sobą ten jeden mały gest, ale nie jesteś w stanie dojrzeć ich wszystkich naraz.

– Decyduj, stalkerze – ponagli Orlyk.

Nie mam wątpliwości, że jeśli wybiorę pierwszą opcję, znajdę się w jakiejś bardzo nieprzyjemnej, cholernie trudnej do rozwiązania sytuacji. Natomiast decydując się na tę drugą, skończę w rowie, przysypany ziemią i z kulą w głowie. Jakby wybierać między dżumą a cholera – żadne wyjście nie jest dobre i żadne nie daje wielkich perspektyw. Ale nikt nie chce przecież

umierać. To właśnie strach przed śmiercią daje szansę na przeżycie i powoduje, że brniemy przed siebie, nawet gdy sytuacja zdaje się kompletnie beznadziejna.

Ignorując wyjąca w głowie syrenę alarmową, przejmuję od kaprała pistolet i zaciskam na nim palce. Faktura okładzin pieści skórę, zimna stal zamka pokrzepia i daje złudne poczucie bezpieczeństwa, nawet pomimo faktu, że broń jest pusta. Chyba że...

W przypiływie nagłej euforii odciągam zamek, zerkam szybko w komorę i niszczę ostatni, rozpalony przypadkiem płomyk nadziei.

– Myślisz, że dałbym ci nabitą broń? – śmieje się Orlyk. – Nie jestem idiotą. Zresztą nie zdążyłbyś nawet wystrzelić.

– Nadzieja umiera ostatnia – mówię cicho.

– To prawda. Ale jest też matką głupich. No dobra, możesz mi go oddać, bo Kiryłow idzie.

Przekazuję broń, dostrzegam wyłaniającego się zza rogu sierżanta i prowadzonych przez trzeciego żołnierza Druciaka oraz skośnookiego. Orlyk ładuje magazynek do makarowa, otwiera drzwi, sprawnie wyskakuje na zewnątrz i podaje pistolet sierżantowi.

Co oni chcą zrobić? Co tu się, do cholery, wyprawia?

Przez szybę widzę, jak brodaty sierżant popycha blondyna, ten leci na ziemię, stara się z niej podnieść, krzyczy coś niewyraźnie, po czym pada strzał. Lokalny bandyta miota rękami na prawo i lewo, z szyi bucha krew, mija parę sekund, ruchy stają się wolniejsze, aż w końcu ustają na dobre.

Szczęka mi opada, przenoszę wzrok na kręcącego głową Azjatę, sierżant stąpa dwa kroki do przodu, celuje i daje ognia. Skośnooki pada zaraz obok blondyna, przykłada ręce gdzieś na wysokości klatki piersiowej i odpycha się nogami w tył.

Kiryłow nie daje za wygraną, przestępuje martwego już gopnika, podchodzi na odległość wyciągniętego ramienia i ponownie strzela do żółtego, tym razem prosto w serce. Azjata zastyga w miejscu, sierżant w mig pakuje pistolet do przezroczystej, wyciągniętej z kieszeni spodni folii, Orlyk

podchodzi do trzeciego z żołnierzy, podają sobie ręce, po czym kapral uderza kompana w pysk.

Oblewa mnie zimny pot, fakty wskakują w odpowiednie, wcześniej przygotowane miejsca, tworząc przerażający obraz sytuacji.

Po cholere im ten pistolet? Ano po to, żeby mnie przyskrzynić. Odciski palców! Na diabła ten pieprzony kapral zakładał w barze te rękawiczki? Żeby sprawdzić mój stan? Oczywiście, że nie! Od początku coś było nie tak. Żołnierze w barze? O takiej porze? Powinni siedzieć u siebie, grać w karty i chlać za pieniądze z żołdu, a nie wyskakiwać nagle jak filip z konopi. I to w takim momencie.

Orlyk pomaga koledze wstać z ziemi, klepie go po plecach, otwiera bagażnik i po chwili obydwaj ładują trupy do środka.

Kiryłow otwiera drzwi od strony pasażera, usadawia się na fotelu i tak jak chwilę temu kapral, odwraca się w moją stronę.

– Uwolniłeś się, uderzyłeś starszego szeregowego Lobodę, wyciągnąłeś pistolet i zastrześliłeś dwie osoby, zanim zdołaliśmy cię powstrzymać. Jak ci to brzmi?

Spoglądam w ciemne, otoczone zmarszczkami oczy sierżanta i próbuję pohamować chęć sięgnięcia po przytroczony do paska nóż. Wystarczy, że nie trafię, coś pójdzie nie tak, a mundurowi w mig mnie spacyfikują.

Trzaska zamek bagażnika, Loboda otwiera drzwi, wyciąga broń i siada obok mnie, celując mi w głowę. Orlyk stoi jeszcze na zewnątrz, patrzy w górę ku ciemnym, niezamieszkanym już od dawna lokalom kamienicy, po czym usadawia się na miejscu kierowcy i przekręca kluczyk w stacyjce.

– Jedź od razu do nas – komenderuje Kiryłow i już po chwili pędzimy w stronę rozkwitającej na niebie pomarańczowo-fioletowej łuny.

Ku Kordonowi.

* * *

Przede mną biurko z małą, starowieńką lampką, za plecami nieznany mi z imienia i nazwiska żołnierz, z lewej goła, betonowa

ściana, z prawej mocne, sterowane elektronicznym zamkiem drzwi i tykający nad nimi analogowy zegar.

Jestem w kropce.

Przywieźli mnie do jednej ze strażnic, obszukali, zabrali nóż, telefon, portfel – wszystko, co tylko mogli. Zostawili sznurowadła w butach i pasek od spodni. Mógłbym się na nich powiesić, w więzieniach zdaje to egzamin, ale obejmujące nadgarstki kajdanki przyczepione do blatu skutecznie krępują ruchy i uniemożliwiają mi jakikolwiek manewr. Choć nawet jeśli mógłbym się ruszyć, chyba nie byłbym w stanie targnąć się na życie.

No i jest jeszcze ten wojak za mną. Stoi w bezruchu, nie odzywa się, nie reaguje na pytania, jakby nie był żywą istotą, a jedynie wydmuszką, której przełożony kazał tutaj stać do usranej śmierci.

Mija godzina, głowa chybocze się na boki, ciało coraz bardziej domaga się snu, pęcherz daje o sobie znać i zawiadamia o przeciążeniu.

– Wysikałbym się – mówię głośniej, niż to potrzebne. – Słyszysz? Zleję się zaraz. Dajcie jakieś wiadro, jak nie chcecie mnie stąd wypuszczać. Albo chociaż butelkę.

Nic. Zero odzewu. Żołnierz nawet nie patrzy w moją stronę.

– Ogłuchłeś? Chcesz, żebym się tu wysikał?

Kręcę głową z niedowierzaniem, podnoszę się z niewygodnego, plastikowego krzesła i próbuję sięgnąć do rozporka przykutymi do blatu dłońmi.

– Siedź – odzywa się nagle wojskowy. – Zaraz ktoś przyjdzie.

Opadam z powrotem na tyłek i resztkami silnej woli walczę z przemożną chęcią opróżnienia pęcherza.

Dlaczego mnie tu przywieźli? No tak, wiedzą, czym się zajmuję. Możliwe, że tak to właśnie wygląda. Przywożą do strażnicy, rozpytają, a potem? No właśnie, co potem?

Ciekawe, skąd się dowiedzieli? Ktoś sypnął? Fedor? Olga? Dowiedzieli się z innego źródła?

Może Docent? W końcu zadałem to jedno niewłaściwe pytanie. Kto wie co mógł sobie pomyśleć?

Z drugiej strony, jaką miałby w tym korzyść? O ludzi tutaj trudno, mało kto ma doświadczenie, a i sam staruszek raczej nie zachęca do współpracy. Więc pozostaje tamta dwójka. Olga wydawała się przestraszona, ale czy mogłaby wsypać? Co jej po tym? Fedor raczej też wolałby, żebym płacił za pokój w terminie. Nie, to musi być coś innego. Tylko co?

Drzwi otwierają się nagle, do pokoju wchodzi Kiriłow i palcem wskazuje na bezimiennego żołnierza, który w tej samej sekundzie szybko ewakuuje się z pomieszczenia. Piszczący elektroniczny zamek, przez chwilę dobiegają do mnie dźwięki z korytarza: zwykłe rozmowy, jakiś odległy śmiech, stukot butów, pracujące gdzieś w oddali ksero – wszystko, co można usłyszeć w standardowej wojskowej placówce.

Kiriłow staje po przeciwległej stronie biurka, rzuca teczkę na blat i siada na krześle.

– Jak się żyje?

– Szczać mi się chce – odpowiadam szybko. – Jakoś nie daliście mi czasu na toaletę. Marny ten wasz hotel.

– Ale poczucie humoru ci nie uciekło. – Brodacz wyciąga paczkę papierosów, kładzie ją przed sobą, dokładając na wierzch prostą, tanią zapalniczkę. – To dobrze wróży. Zaraz ktoś odprowadzi cię do kibla. Będziesz miał chwilę na rozmyślania.

Sierżant przysuwa do siebie teczkę, rozwiązuje supełek i spogląda na zadrukowaną drobnym maczkiem kartkę.

– Tomasz Niedzielski – mówi z ukraińskim akcentem. – Lat trzydzieści dwa, miejsce urodzenia Lublin, stan cywilny kawaler. Zgadza się?

Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli te dane. Już od dawna nie miałem okazji się nimi posługiwać. Ale to wojsko. Wiem, że mają swoje sposoby. Przeraża mnie tylko, że tak szybko udało się wszystko odkopać i powiązać ze mną.

– Zgadza – burczę pod nosem.

Nie mam powodu kłamać. Oni i tak wiedzą swoje.

– Wydalony ze służby za niesubordynację. Trzy nagany w aktach. Sprawa sądowa za pobicie. Niestawiennictwo na rozprawie. Poszukiwany listem gończym – wymienia sierżant. –

Trzeba by tutaj dołożyć nielegalne przekroczenie granicy i parę innych punktów z różnych kodeksów. Ładnie tak uciekać przed wymiarem sprawiedliwości?

– Lubisz się znęcać? Masz w tym jakiś interes? Dlaczego od razu nie oddaliście mnie niebieskim? I po co to zabójstwo?

Kiryłow wyciąga z paczki papierosa, przypala go i zaciąga się dymem.

– Niby nie wolno tutaj palić, a każdy to robi. Zabawne, prawda? – pyta, odkładając papierosa na tekturowy kartonik. – Nie wiem, dlaczego ich zabiłeś. Może z zemsty? Zresztą kto cię tam wie. To ustali prokurator. A zanim zawiadomię policję, chciałem z tobą porozmawiać.

– W co wy mnie chcecie wpakować, co? – Impuls gniewu, jak iskra, podpala mnie od środka. – Ta cała szopka, po cholere wam ona? Chcecie mnie wsadzić na dłużej? Za samo przekroczenie Kordonu idzie się pierdzieć w pasiak na długie lata. Więc o co chodzi?

Popiół z papierosa leci na posadzkę i zostaje zmiądzony wojskowym butem.

– A gdybym ci powiedział, że wcale nie jesteśmy wrogami?

Prycham ostentacyjnie, przewracam oczami i uśmiecham się sardonicznie.

– Ta, spoko, jasne. Przecież my kumple! Postaw jeszcze flaszkę i zaraz będziemy razem śpiewać katuszę przy ognisku. Pierdol się, sierżancie – cedzę przez zęby. – Nie tak zaczyna się znajomość.

Kiryłow nachyla się przez stół, zmarszczki rysują się na poczerwieniałej twarzy, czarna, zmierzwiona broda szoruje po jasnym blacie. Czy go wkurzyłem? Najwyraźniej. Czy mnie to obchodzi? Ani trochę. Niech robi, co chce, i tak pewnie już się z tego bagna nie wyczołgam.

– Zamknij pysk na chwilę, zejdz z tonu i posłuchaj. Albo się uspokoisz, albo jedziemy na posterunek i faktycznie pójdziesz do pierdła. Zrozumiał?

Drzwi uchylają się odrobinę, odwracam się w ich stronę i widzę łysą głowę Orlyka.

– Mamy zgodę. Przyjdiesz?

Kiryłow rozpromienia się nagle, wsadza papierosa do ust i wstaje z miejsca.

– Weź tego głąba do kibla, a potem przypilnuj chwilę. Niedługo wrócę.

– No nareszcie – mówię.

Kiryłow znika za drzwiami, kapral podchodzi do stołu i odpina kajdanki.

– Mam dla ciebie radę. – Zatrzymuje się nagle. – Nie wkurwiał go i wysłuchaj, co ma do powiedzenia.

– O proszę. Bohater się znalazł. Co możecie mi zaoferować? Taki sam wybór, jak tam w samochodzie? Albo robisz, co chcemy, albo kulka w łeb? To ja już chyba wolę iść do piachu.

– Wyjmij na chwilę głowę z własnej dupy i się zastanów – szepcze Orlyk, łapie mnie za ramię i wyprowadza z pomieszczenia.

Korytarz oświetlają dziesiątki halogenów, mijamy ubranych w pełne mundury żołnierzy, którzy z niesmakiem obserwują nasz pochód. Buty stukają o posadzkę, staram się zapamiętać układ pomieszczeń, lustruję uważnie każdą plaketkę, ale już po chwili gubię się, przytłoczony ogromem budynku. Wszystko wygląda tak samo. Istny labirynt pokoi, sal, małych przejść i schowków.

Zatrzymujemy się po chwili, kapral popycha drzwi.

– Rób, co musisz. Nie jestem twoją niańką – rzuca za mną i staje pod ścianą.

Toaleta. To tutaj rodzą się najlepsze pomysły. Tylko dlaczego nigdy wtedy, kiedy naprawdę ich potrzeba?

Staję przed pisuarem i czuję, jakbym miał déjà vu. Gdyby nie Olga, pewnie leżałbym teraz przykryty folią albo jechał na sekcję w plastikowym worku. Czy tak nie byłoby lepiej? Kiryłow wyraźnie czegoś chce i bardzo mi się to nie podoba. Robienie interesów z wojskowymi to śliski temat i niemal każdy stara się tego unikać. Głównie dlatego, że jeśli raz zaczniesz, nie będzie już odwrotu. Oni działają trochę jak mafia – wypisać możesz się jedynie przez sznurek albo kulkę w łeb.

Właśnie dlatego nie chcę słuchać tego, co ma mi do powiedzenia

sierżant. Tyle że chyba nie będę miał wyjścia. Załatwili mnie na cacy i bez mydła. Znaleźli, zaszczuli i mają zamiar założyć kaganiec. Chciałbym się odgryźć, uciec, zostawić to wszystko w cholerę. Chciałbym. Szkoda tylko, że nie mam na to niemal żadnych szans.

– Długo jeszcze?

– Nie. Już idę.

Na odchodne zerkam jeszcze na małe, obsadzone grubymi kratami okienko i kręcę głową. Tak łatwo to z pewnością nie będzie.

* * *

Kiryłow już na nas czeka: rozpromieniony jak zwycięzca loterii, z papierosem za uchem i dodatkową teczką leżącą na stole.

– Lepiej?

– Na pewno – odpowiadam, siadam na krześle i spoglądam wyczekująco na stojącego obok kaprała. – Tym razem bez kajdanek?

– A co? Masz zamiar się źle zachowywać? – pyta sierżant. – Chyba nie jesteś na tyle głupi?

Wyskoczyć, uderzyć Orlyka, wyjąć pistolet z kabury, jeden strzał, potem drugi... Wyobraźnia podsuwa możliwe opcje, nawet te najbardziej bezsensowne i niebezpieczne. Z drugiej strony grozi palcem i przestrzega przed możliwymi konsekwencjami. I co potem zrobię? Jestem w paszczy lwa. Jeden nieodpowiedni gest, szczęki zacisną się z całą mocą i będą mnie zbierać z podłogi. Dużo w ten sposób nie ugram.

– Raczej nie – stwierdzam niechętnie.

– No właśnie. Chcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, czy zawiadamiamy niebieskich?

– Mów. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Kiryłow ponownie otwiera teczkę, przerzuca kolejne kartki i zatrzymuje się na chwilę przy jednej.

– Od kiedy tam chodzisz?

– Gdzie? – pytam, choć doskonale wiem, czego dotyczy pytanie. To raczej czysta, wrodzona przekora niż realna chęć wkurzenia

wojskowego.

– Nie trać naszego czasu. Wiesz, o czym mówię.

– Trochę już łązę. Wte i wewte. Dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że z wami się nie rozmawia.

– Dla kogo pracujesz? – Kiryłow ignoruje zaczepkę.

– Różnie. To nie robota od ósmej do szesnastej. Raz dla tego, raz dla tamtego.

Celowo pomijam fakt, że robię dla Docenta. Jeśli stary dowiedziałby się, że go sypnąłem, znalazłby mnie i na końcu świata. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. To właśnie dzięki konsekwencji i jasnym zasadom jest w stanie funkcjonować pod samym nosem wojska. Piśniesz słówko – jesteś martwy. Nawet jeśli sam jeszcze o tym nie wiesz.

Sierżant cmoka pod nosem.

– Konkrety proszę.

– A już wam je podam. Na srebrnej tacy i z głową mięsaka w jabłkach. Zabiją mnie, jeśli cokolwiek powiem, więc pas. Wolę zgnić w pierdlu. Zresztą, jeśli mam być szczerzy, to nie wiem, dla kogo pracuję. Biorę coś, przechodzę i zostawiam w umówionym miejscu. Dokumentów sobie nie pokazujemy.

– W jaki sposób dostajesz zlecenia? – Sierżant wtyka papierosa do ust, ale nie sięga po zapalniczkę. Przygląda mi się tylko uważnie, jakby szukał na twarzy śladów kłamstwa.

– Dostaję wiadomość: bądź tu i tu. Tyle. Co wy myślicie, że mamy forum w Internecie?

Wiem, że odebrali mi telefon i mogą sprawdzić wiadomości, ale żaden szanujący się stalker nie trzyma tam newralgicznych danych. Kupuje się jakiś stary aparat, jednorazową kartę, a po skończonej robocie wszystko łąduje w śmietniku. Na prywatnej komórce mogą znaleźć co najwyżej parę starych, nieużywanych już numerów do rodziny.

Nastaje chwila ciszy. Orlyk, oparty o ścianę, nieobecny wzrokiem patrzy gdzieś w dal, sierżant przegląda zadrukowane maczkiem kartki.

Domyślałem się, że odbędzie się przesłuchanie. To było jasne od samego początku. Tyle że prędzej spodziewałbym się bicia,

elektrowstrząsów, jakichś wysublimowanych technik wydobywania informacji. A tutaj? Zwyczajna rozmowa.

A może to tylko wstęp? Gra w dobrego i złego glinę? Za chwilę sierżant wyjdzie z pomieszczenia, wpadnie tutaj grupka nabuzowanych mundurowych i zrobi mi z twarzy miazgę. Bo jak inaczej wyjaśnić ten niemal przyjacielski ton konwersacji? Mają mnie przecież na widelcu – odciski palców są na broni, której użyto do zabójstwa, więc po co w takim razie bawić się w półśrodkę? To przedstawienie, ta maskarada i powolne odsłanianie kart ma czemuś służyć. Brodacz na pewno ma w tym jakiś interes, ale nie wiem jeszcze jaki.

– Możemy cię wsadzić do paki na długie lata – wzdycha Kiryłow, po czym podnosi do góry małą kartkę, która okazuje się być zdjęciem. – Poznajesz to?

O w mordę.

Rozpoznaję miejsce bez problemu. Stary kanał za cukrownią. Tamtędy ostatnio uciekałem. Myślałem, że wojskowi po prostu nie wiedzą o tym przejściu. Tymczasem okazuje się, że byli sprytniejsi. Kamera w podziemiach? Na to bym nie wpadł.

– Nie wiem, kto to jest. – Siłę się na uśmiech, ale wychodzi mi raczej słabo.

– Ładnie wyszedłeś, nie ma co. Pięknie to będzie wyglądało w aktach.

Czuję się jak schwytana na haczyk ryba. Jestem jeszcze w wodzie, miotam się, staram utrzymać pod powierzchnią, ale żyłka nieubłaganie ciągnie ku brzegowi. Nie mam szans się uwolnić, a upór i zaklinanie faktów jedynie pogorszą sytuację.

Stąd nie ma ucieżki. Na to już za późno. Mogę się jedynie poddać i liczyć, że nie trafię zbyt szybko na rozgrzaną patelnię.

– Dobra, Kiryłow, wygrałeś – przyznaję, choć słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. – Czego ode mnie chcecie?

– Rozumiem, że będziesz współpracował?

– A mam jakieś wyjście? Nie, nie mam ochoty z wami współpracować. Mdli mnie na myśl, że mam pomóc komuś, kto wysłał moich znajomych do piachu – mówię, cały czas obserwując sierżanta. – Nie mam ochoty wam pomagać. Nie

wątpię, że wyjdę na tym jak Zabłocki na mydle.

– Więc... – zaczyna Kiryłow.

– Więc – przerywam mu od razu. – Skoro tak postawiliście sprawę, tyle się natrudziliście, żeby mnie tu zawinąć, to wysłucham, co masz do powiedzenia. Tylko, na litość boską, przestań pieprzyć i zachodzić mnie jak ofiarę. Wyłóż karty na stół. Nie mam już siły bawić się w ciuciubabkę.

Sierżant wyjmuje z kieszeni długopis i obraca go w palcach niczym zawodowy kuglarz.

– Trzeba kogoś stamtąd wyprowadzić – oznajmia wreszcie Kiryłow. – I coś wynieść.

Przewracam oczami, robię kwaśną minę i zerkam na sierżanta spod byka.

– Kogoś, coś. Chcesz, do cholery, rozmawiać o konkretach, to je przedstaw. Kogoś to ja ci mogę wyprowadzić nawet zaraz. A to „coś”? Dostaniesz gałązkę z krzaka, pasuje? Nie? To mów jaśniej.

– Chodzi o naukowca i sprzęt.

– No to już lepiej. Tylko dlaczego w takim razie nie wyślecie swoich ludzi? Macie wyposażenie, zasoby...

– Nie twój interes – mówi twardo Kiryłow. – Skup się na tym, że oferuję ci pracę, zamiast po prostu wywalić cię za Kordon i zastrzelić, albo oddać w ręce prokuratora. To powinno być dla ciebie najważniejsze w tej chwili.

Ocieram twarz dłońmi, pochylam się do przodu i myślę.

Praca – dzwoni mi w uszach.

Za pracę się płaci. To, co uskuteczniają żołnierze, jest zwykłym szantażem – prostym, jasnym i wykonanym w białych rękawiczkach. Nie zgodzę się na warunki? Nic nie szkodzi. Posiedzę w więzieniu albo od razu mnie zastrzelą. Ot tak. Dla nich to nie problem. Wszystko się zatuszuje albo zwali na jakąś czarną owcę. Tak jak z Druciakiem i skośnookim. Więc po co ta rozmowa?

I wtedy doznaję olśnienia.

Im nie zależy na pełnej zgodzie czy podziękowaniach. Chcą, żebym dogłębnie zrozumiał, że jestem ich własnością. Niezależnie od poczynań, w momencie, gdy zdecydowałem się

wziąć pistolet do ręki, podpisałem cyrograf. Z tej czy innej przyczyny jestem im potrzebny, ale nie mam co liczyć na happy end. Kiedy tylko dostaną, czego chcą, będę dobrem zbywalnym – zwykłym śmieciem, który należy zutilizować. Z potrzebnego narzędzia z powrotem stanę się wrogiem. Tyle że wtedy będę na straconej pozycji.

Niemniej, jeśli teraz odmówię, będzie pozamiatane. Żeby przeżyć, muszę grać. Przynajmniej do momentu, w którym zdołam odwrócić sytuację na swoją korzyść.

– Założmy, że się zgodzę. Ale tylko hipotetycznie – zaznaczam. – Jaki będę miał z tego zysk?

Słyszę parsknięcie Orlyka, sierżant spogląda karcąco na kaprała, przenosi wzrok na mnie i wyjmuję z ust papierosa.

– Zawsze zysk, prawda?

– Wiesz, że samym kijem niewiele ugrasz. Musi być marchewka.

Kiryłow wyjmuję z teczki kilka kartek, podnosi jedną do góry.

– To jest twój akt zgonu. Spiszemy protokół, podpiszę go i pójdiesz wolno.

Za długo jestem w tym grajdole, żeby w to uwierzyć. Mam popracować dla wojska, a potem tak po prostu odejść? To nierealne. Prędzej dogadam się ze snorkiem, niż żołnierze sprezentują mi wolność.

I już mam odpowiedzieć, wytłumaczyć, że tego nie kupuję, ale w porę gryzę się w język. Niech myślą, że uwierzyłem. Skoro oni mogą mnie robić w konia, to i ja nie będę dłużny.

– Dobra, Kiryłow. – Klepię dłonią w stół. – Niech ci będzie.

– Czyli mamy umowę?

– Tak do cholery. Biedną, bo biedną, ale lepsze to niż nic.

– Orlyk – mówi, kiwając głową na kaprała. – Odprowadź go do kwatery. Niech mu dadzą coś do żarcia.

– To nie załatwimy wszystkiego od razu? – pytam lekko zaskoczony.

– Nie – stwierdza Kiryłow. – Na razie muszę załatwić parę spraw. Odezwiemy się do ciebie.

Orlyk podchodzi, chwyta mnie za ramię i daje do zrozumienia, że wychodzimy. Podnoszę się powoli, zerkam jeszcze na

wyjmującego telefon brodacza i wzdycham do swoich myśli. Wpadłem jak śliwka w kompot. Już za późno na krok w tył. Muszę skupić się na przyszłości i na tym, jak się z tego wyplątać. A coś mi mówi, że nie będzie łatwo.

Elektroniczny zamek pika miarowo, zasuwy trzaskają cicho, chowając się w swoich prowadnicach.

– Karski – mówi do słuchawki sierżant. – Mamy to. Trzeba...

Przekraczam drzwi, Orlyk popycha mnie w przód, ciągnie za klamkę i sierżant znika mi z pola widzenia. Chętnie posłuchałbym reszty rozmowy, ale nie mam co o tym marzyć. Choćbym dwoił się i troił, pewne informacje będą dla mnie tajemnicą.

– Idź przodem, będę cię kierował.

– Rozumiem, że dostanę jakiś sprzęt – mówię, ruszając powoli korytarzem.

– Ja nie wiem, co tam dostaniecie, i szczerze, to średnio mnie to obchodzi – przyznaje kapral. – Teraz w lewo.

– Jak to: dostaniecie? My? W sensie kto?

– Ty i reszta ekipy. A co myślałeś? Że sam pójdziesz? Wolne żarty – śmieje się Orlyk. – Ale spokojnie, chyba się już znacie.

Rzadko kiedy brakuje mi słów, ale w tym momencie nie jestem w stanie nic wykrztusić. Znam resztę ekipy? Kogo on ma na myśli?

Zgaduj-zgadula, a i tak niczego nie wymyślę. Spekulacje mogą włożyć sobie w tyłek. Zresztą po co miałbym się nad tym głowić? Za chwilę wszystko się wyjaśni.

Stajemy w jednym z bocznych korytarzy, szczeka zamek, drzwi otwierają się z piskiem zawiasów, przekraczam próg i przystaję w wejściu.

– Rozgość się – słyszę zza pleców.

Kwaterna – tak mówił Kiryłow. Pokój bardziej przypomina nieużywane biuro, które ktoś naprędce postanowił zaadaptować na sypialnię w celu przyjęcia niechcianych gości. Ściany zastawione pustymi meblościankami, podłoga wyłożona tanim gumoleum, okna zasłonięte czymś od zewnątrz, pozbawione klamek i z pewnością zakratowane. W podwieszanym suficie tłą

się dwie z sześciu świetlówek. Przynajmniej są leżanki, myślę. Stare, pordzewiałe, ustawione obok siebie, niemal na środku pomieszczenia.

– A reszta?

– Niedługo powinni przyjść – wyjaśnia kapral i na odchodne dodaje: – Później ktoś przyniesie ci coś do zarcia.

Podchodzę do jednej z połówek, opadam ciężko na sprany, podziurawiony materiał i czuję, jak ogrom wydarzeń przyciska mnie w dół. Jeszcze wczoraj miałem prosty plan – nawalić się do nieprzytomności, zrównać z ziemią wyrzuty sumienia, obudzić się dnia następnego i powtórzyć chłanie, aż skończą mi się pieniądze.

Szkoda tylko, że najprostszy plan jest zawsze najtrudniejszy do wykonania.

Rozdział 3



A kto to do nas zawitał? – Głos dobiega do mnie gdzieś z daleka. – Gaspadin Kojot we własnej osobie. Myślałem, że zapiełeś się na śmierć.

Otwieram jedno oko, potem drugie, z trudem przewracam się na plecy, głowa pulsuje tępy ból, w ustach grupka Beduinów przeprowadza wielbłądy przez pustynię.

Kac. Myślałem, że po takiej dawce adrenaliny umknę przed gniewem biochemicznych procesów, ale to tylko płonne nadzieje. Już w barze zapadł wyrok, a wszystko, co działo się potem, było tylko odwleczeniem nieuchronnej kary.

– Żyjesz? – pyta stojący obok mnie mężczyzna.

Poznaję go bez problemu. Wysoki jak wieżowiec, szeroki w barkach, łapy jak bochny chleba, przydługawe, opadające na czoło, czarne jak noc włosy i modnie przystrzyżona broda. Na pierwszy rzut oka wygląda jak mieszkaniec Półwyspu Iberyjskiego, który z niewiadomych przyczyn zawędrował do wschodniej Europy. Nawet karnacja pasuje. Tylko te siniaki w barwach fioletu i zieleni psują efekt. Widać, że Hiszpan nie próżnował ostatnimi czasy.

– Żyję – stwierdzam kwaśno, próbując jednocześnie usiąść. – Ale jakie to życie?

– Pomóc?

– Nie. Dam radę.

Usadawiam się wreszcie, łapię głowę w dłonie, przejeżdżam po króciuskich włosach, na skroni wyczuwam ogromnego guza i zaschniętą krew. Nie miałem nawet okazji obmyć twarzy. Wszystko działo się za szybko, żebym mógł skupić się na

czymkolwiek innym niż na własnym żalonym położeniu. Wzdycham potężnie, żebra kłują ostrzegawczo i dają znać, że kopniak Druciaka wcale nie przeszedł bez echa. Do kompletu brakuje mi tylko połamanych kości.

Skrzypią sprężyny, trzeszczy aluminiowa rama, Hiszpan usadawia się na sąsiedniej polówce.

– Jak cię znaleźli? – pyta.

– Nie wiem. – Kręcę głową. – To znaczy wiem, ale nie chce mi się nawet o tym gadać. Pieprzone skurwysyny.

– No ładnie nas załatwili – przyznaje dryblas i milknie.

Rozglądam się po pokoju. Szklane gabloty meblościanek zdają się uśmiechać szyderczo, ledwo zipiące świetlówki łypią na pomieszczenie z wyższością, przez zasłonięte okna wpadają pojedyncze, cieniutkie strużki światła. I dopiero kiedy kieruję wzrok ku drzwiom, widzę odwróconą do mnie plecami postać.

Kiwam delikatnie głową w tamtą stronę i zadaję Hiszpanowi nieme pytanie.

– Siny – mówi cicho.

Spoglądam jeszcze raz, tym razem bardziej konspiracyjnie.

Wygląda niepozornie: mikry, chudy, z siwymi włosami spiętymi w kucyk, ubrany w łataną dziesiątki, jeśli nie setki razy flanelową koszulę i džinsy, które dawno już straciły swój pierwotny kolor. Przypomina lokalnych pijacków, którzy całe dni spędzają pod sklepem albo leżą gdzieś w rowie, czekając, aż ktoś zdecyduje się im pomóc i odprowadzić do domu czy do meliny. Ale to tylko pozory.

Raz czy dwa zdarzyło mi się minąć z nim u Docenta. Nigdy nie zamieniliśmy słowa, ale nawet mimo to wyraźnie czuć od Siniego coś dziwnego. Jakby roztaczał wokół aurę nie tyle strachu, co respektu. Niczym wredny, nielubiany przez nikogo nauczyciel albo wykładowca, którego mimo wszystko szanuje cała młodociana gawiedź.

– Długo tu siedzicie? – Przenoszę wzrok na Hiszpana.

– Ja od przedwczoraj. Chyba, bo zegarek mi zabrali, ale zdążyłem się przespać dwa razy. Siniego przyprowadzili niedawno. Zdaje się, że na chwilę przed tobą. – Hiszpan kładzie

się na połówce i kieruje wzrok w sufit. – Zabrali mnie z domu. Wyobrażasz to sobie? Wpadli w nocy, dziecko mi wystraszyli, Julia mało zawału nie dostała. Myślałem, że to bandyci. Dałem jednemu w pysk, drugiego chciałem odstrzelić, ale potraktowali mnie paralizatorem. A potem kajdanki, samochód, dołek. Jak ostatniego bandziora. Pojebało ich.

Siny odchodzi od ściany, odwraca głowę w naszą stronę, po czym zbliża się do okna, przejeżdża palcami po plastikowej ramie i uderza w nią pięścią.

– Tak stąd nie wyjdziemy – mówię głośno.

– Wy może nie. Ja nie zamierzam tu siedzieć i czekać na солдатów.

– Mi też się nie podoba wizja pracy dla tych gnojków, wierz mi, ale nie mamy na razie zbytniego pola do manewru.

– Zawsze jest jakieś wyjście – stwierdza Siny i rusza wzdłuż ściany.

– Wiesz, o co tutaj chodzi, Kojot? – pyta Hiszpan. – Mi tylko wspomnieli, że jesteśmy im potrzebni.

– Chcą kogoś z wewnątrz zgarnąć. I coś, ale nie dowiedziałem się dużo. Ten cały Kiryłow do najbardziej otwartych nie należy.

– Kto? – pyta Siny i przystaje.

– Kiryłow. Sierżant. Taki wysoki, brodaty...

– To skurwysyn! Bład' syberyjska! Gnój zawszony!

Czekam, aż stary spuści nieco powietrza.

– Znasz go? – pytam.

– Tak. Bład' przekupna. Brał łapówki jeszcze, kiedy był prostym szeregowcem na warcie. Zawsze w Strefę chciał iść, ale bał się. Jak mu się zaczęło pod dupą ciepło robić, to wyłapał kilku moich znajomków. Dobrze słyszałem, że awans dostał. Skurwiel jeden, niech tylko się pokaże.

– Wiesz, czego może od nas dokładnie chcieć?

– Skąd mam wiedzieć? Znajomy to mój jakiś? Nawet go nie widziałem.

– Jak brał łapówki, to może nie zapomniał starych nawyków i znowu lewiznę kręci? – Hiszpan siada na połówce.

– I myślisz, że robiłby to na oczach wszystkich dookoła? Trochę

to naciągane – stwierdzam.

Siny wzrusza ramionami, siada pod ścianą, Hiszpan nie podejmuje dyskusji i tylko wzdycha pod nosem.

Mijają minuty, siedzimy w ciszy, miny skwaszone, każdy zatopiony w swoich myślach.

Nie zdążyłem się nawet porządnie przespać. Oczy pieką przy każdym mrugnięciu, ręce drżą mimowolnie, wyschnięte na wiór gardło domaga się wody.

– Ty, Kojot, dla Docenta robisz, a? – pyta znienacka stary.

– Teraz to chyba wychodzi na to, że robiłem.

– Źle. Trzeba było zwiewać od niego jak najdalej. To zły człowiek jest.

– A my święci? Poza tym dobrze płaci.

– Oj, młody jesteś – wzdycha Siny. – Nie wszystko rozumiesz. Człowiek się na błędach uczy, ale lepiej na czyichś niż swoich. On niewiele się różni od tych. – Stary kiwa w kierunku drzwi. – Z niczym ani z nikim się nie liczy. Możesz mieć z nim dobre układy, może ci się nawet wydawać, żeście kumple, ale jedno potknięcie i koniec.

Hiszpan niczym obserwator meczu tenisa zerka to na mnie, to na Sinego, ale nie odzywa się ani słowem.

– Czyli co? Dobrze na tym nie wyjdę? – pytam.

– A wyszedłeś dobrze?

– Jak do tej pory szło całkiem nieźle.

– A gdzie teraz jesteś?

Milknę.

Czyżby stary sugerował, że to jednak Docent mnie wystawił? Ale po co? Na jaką cholere miałyby dawać znać wojskowym, że mogę mieć coś na sumieniu? Przez to pytanie, które zadałem na odchodne? Nie, to bzdura. Prościej byłoby mnie odstrzelić w jakimś dogodnym miejscu. Przecież na przesłuchaniu mógłbym sypnąć to i owo, a dla Docenta byłoby to bardzo niewygodne.

– Teraz to i tak bez znaczenia – mówię po chwili. – Jak się z tego nie wyplączemy, to dla nikogo już nie popracuję. Bo nie sądzę, żeby wojskowi mieli nas ot tak puścić wolno.

– Więc może nie gadajmy o pierdołach, tylko pomyślmy, co

możemy zrobić, żeby się z tego wyplątać. – Hiszpan uderza dłońmi w uda i wstaje z leżanki.

– Pogadać możemy, ale wyjść stąd nie wyjdziemy – stwierdzam.

– Okno nie do ruszenia – przyznaje Siny. – Może drzwi dałoby się załatwić, ale nie wiem, czy kogoś na zewnątrz nie postawili.

– Czyli gównie, musimy czekać – mówi olbrzym i niczym przebity igłą balon z powrotem opada na leżankę. – Kurwa, nienawidzę czekać. Co to ma w ogóle być? Dziecko mam w domu, do Julii nawet nie pozwolili zadzwonić. Kompletnie nic. I co ja mam teraz zrobić? Do tego mnie z roboty wywalą.

– Twoja żona wiedziała, czym się zajmowałeś? – pytam, zerkając ukradkiem na rozglądającego się po pomieszczeniu Sinego.

– Chyba się domyślała, ale nie pytała. Głupia nie jest, więc pewnie dodała dwa do dwóch. Pewnych rzeczy nie ukryjesz.

– Ktoś idzie – odzywa się Siny.

Pisk zamka, zgrzyt metalu, w wejściu pojawia się Orlyk w towarzystwie kilku mundurowych: pełny rynsztunek, kevlarowe hełmy, pistolety w kaburach, kamizelki taktyczne – widać nie przyszli, by prosić nas na bal charytatywny.

– Pogadali? Wypoczęli? To jazda – mówi kapral. – Zaprowadzić na C-1.

Dwóch największych dryblasów podchodzi do Hiszpana, ten wstaje, żołnierze łapią go za ramiona i wyprowadzają z pokoiku. Siny patrzy na wojskowych spode łba, w oczach błyska mu coś wrednego, jeden z ludzi Orlyka zbliża się do starego stalkera, a ten nagle rzuca się na mundurowego.

Walczyć? Stać w miejscu? Cholera, co robić?!

Siny krzyczy coś niewyraźnie, uderza od boku, sierpem, i dostrzegam trzymany przez niego w dłoni spiczasty kawałek drewna. Daleko tej szczapce do noża czy w ogóle do jakiegokolwiek ostrza, ale we wprawnych rękach i taka drzazga może być śmiertelną bronią. A z tego co widzę, stary wie, jak się tym posługiwać.

Tyle że jest na straconej pozycji.

Wojskowy może i jest zaskoczony, ale udaje mu się zablokować

cios, kontruje w brzuch, dwóch pozostałych żołnierzy, stojących do tej pory w przejściu, dwoma susami dociera do walczących, jeden uderza stalkera łokciem w twarz, drugi odciąga zaatakowanego kolegę. Rzucam wzrokiem na prawo i lewo, Hiszpan leży na ziemi dociskany kolanem przez eskortę.

Mogę się ruszyć, wybiec przez drzwi i na pochybel przed siebie, byle dalej od wojska. Widzę to przejście, myślami jestem już na zewnątrz.

– Ani drgnij – słyszę głos Olryka. – Chyba że chcesz kulkę.

Za późno. Zmarnowałem okazję. Gdyby Siny powiedział, że będzie próbował się wyrwać, może mielibyśmy jakieś szanse. Choć z drugiej strony, na co miałem liczyć? Że przejdę przez budynek i wyjdę na zewnątrz?

Szlag by to wszystko trafił.

– Wy skurwysyny! – wrzeszczy stary, dostaje pięścią w brzuch i milknie, próbując złapać oddech.

– Spokój, do cholery. – Orlyk podnosi głos. – Wszystkich wyprowadzić. Bojowemu założyć kajdanki. Migiem.

Wojskowi podnoszą Hiszpana z ziemi, ten próbuje się wyrwać, ale twardy chwyt uniemożliwia mu ruchy. Jeden z mundurowych podchodzi do mnie, łapie za ramię i zmusza do ruszenia się z miejsca.

Jeśli mieliśmy jakkolwiek szansę na wydostanie się stąd, właśnie obserwowaliśmy jej pogrzeb.

* * *

Migają ciekłokrystaliczne ekrany, buczą wentylatory komputerów, gdzieś w tle słychać echa rozmów.

Siedzimy obok siebie, we trzech, na małych, plastikowych krzeselkach. Kilka usytuowanych naprzeciwko nas monitorów wypluwa obrazy map z dołączonymi do nich tekstowymi wyjaśnieniami. Niektóre ze zdjęć wyświetlają się obok, na białej, przytwierdzonej do ściany płachcie materiału, i znikają po chwili. Niewiele z tego rozumiem, a to, czego jestem się w stanie domyślić, nie napawa optymizmem.

– Panowie, po co ta agresja, co? Mamy was odstrzelić? Po co się

rzucac?

- Spierdalaj, Kiryłow - mówi Siny z trudem. - Pamiętasz mnie jeszcze? A Kucyka i Tropa? Dorobiłeś się, szmaciarzu, na cudzym nieszczęściu.

- Pamiętam, Siny, pamiętam. - Sierżant stoi do nas przodem, w prawej ręce trzyma teczkę, w lewej tłącego się papierosa. - Każdego z was pamiętam.

- I co? Nic? Sumienia nie masz? Dobrych chłopaków zmarnowałeś, szmato.

- A ilu ty ludzi zmarnowałeś? Zresztą nie ściągnąłem was tutaj, żeby przerzucać się inwektywami. Nie masz ochoty współpracować? Nie ma problemu, zaraz wypieprzymy cię za Kordon.

- Tylko straszyć potrafisz, gnoju. Zabijesz bezbronnego? Tak nisko upadłeś?

- Chcesz się przekonać? Nie ma problemu, znajdziemy kogoś na twoje miejsce. Poza tym życie to nie bajka. Ja wychodzę z propozycją, a nie gryzie się ręki, która cię karmi.

- A co ty mi dałeś, co? Dlaczego miałbym ci pomagać, gnido syberyjska?

- Nie zabiłem cię jeszcze. To raz. A dwa? Z tego, co wiem, to twojej córce nieźle idzie w Kijowie. A co u twojej rodziny, Hiszpan? Żona chyba nie była zadowolona z wizyty?

Hiszpan podnosi się z krzesła, Siny czerwienieje na twarzy, zaciska pięści i cedzi przez zęby:

- To sprawa między tobą a mną. Odpiardol się od niej. Jesteś szmatą, ale nawet nie próbuj jej tknąć. Zabiję cię, jeśli cokolwiek jej zrobisz. Rozumiesz mnie, gnojku? Zabiję.

- Uspokójcie się. Zrobię, co uznam za stosowne. A jeśli posłuchacie, to wszystko będzie w porządku. Tylko przestańcie się miotać.

Spoglądam na Sinego, w oczach widzę żądzę mordy, Hiszpan chyba tylko cudem powstrzymuje się od rzucenia się na wojskowego. Gdyby wzrok mógł zabijać, sierżant, krztusząc się krwią, padłby teraz na ziemię. Gdyby tylko dać stalkerom wolną rękę, zatłukliby Kiryłowa na miejscu. Nie dziwię się temu. Mogę

sobie jedynie wyobrażać, co teraz czują, i w żadnym razie im nie zazdroszczę. To czyste skurwysyństwo.

– Mów, gnido – syczy przez zęby Siny. – Gadaj, czego chcesz.

– Praca – wyjaśnia sierżant i zaciąga się papierosem. – Mam dla was pracę.

Przewracam oczami, Hiszpan opada na krzesło.

– To już słyszałem. Kogoś i coś z wewnątrz – mówię.

Kiryłow kładzie teczkę na stole, bierze w dłoń pilot, naciska przycisk, umiejscowiony na suficie rzutnik piszczy cicho i biała płachta materiału w sekundę nabiera kolorów.

To nie żadne nowoczesne, pełne szczegółów satelitarne zdjęcie, a stara, pamiętająca zapewne Andropowa albo i Breżniewa radziecka mapa, którą ktoś zdecydował się przenieść na cyfrowy nośnik. Pełno na niej plam, część linii jest kompletnie zatarta, nazwy wiosek zlewają się ze sobą, tworząc niemożliwy do rozczytania szyfr.

W pierwszej chwili nie odnajduję jakiegokolwiek znajomego szczegółu, ale im bardziej przyglądam się wytartym przez czas barwom, tym łatwiej idzie mi wizualizowanie terenu. Namierzam wreszcie drobne kreski oznaczające małą, kompletnie zniszczoną obecnie wioskę, przez którą nie raz i nie dwa zdarzało się wędrować, kilkanaście centymetrów wyżej trafiam na feralny tartak i okalający go od północy las. Żal z zaskoczenia ścisną mi gardło, przed oczami widzę zapłakaną matkę Świetlika i słyszę echo rzucanych przez nią oskarżeń.

A przecież to nie moja wina. Świetlik sam wlaźł w anomalię. Dlaczego ciągle dręczą mnie wyrzuty sumienia?

Speszony reakcją przetykam ślinę, przenoszę wzrok dalej i staram się zająć mózg czymś innym niż wspomnieniami. Pędzę jak najdalej od tartaku, przed oczami migają mi zielone plamy lasów i zagajników, szare nitki dróg zlewają się z tłem, liche zabudowania bezimiennych już wsi ostatkiem sił próbują zawalczyć o moją uwagę.

Ale to na nic. Zupełnie zniecka wszystko urywa się i tworzona w wyobraźni wizualizacja z powrotem zmienia się w cyfrową prezentację tego, co było przed osiemdziesiątym

szóstym – w pola i lasy północnej Ukrainy. Nie znam tego terenu. Im dalej na wschód, tym mniej miejsc jestem w stanie rozpoznać.

Sierżant naciska guzik, obraz zmienia się natychmiastowo, przed oczami staje nam niemal identyczny, wyświechtany plan, z zakreślonym na czerwono plackiem pustkowi.

– Poznaje któryś to miejsce?

– Rude Pola – mówi Hiszpan. – Niedaleko płynie Uż.

– Byłeś tam? – pytam zdziwiony.

– Byłem ze dwa razy. Właściwie to w zasadzie tylko zajrzałem. Nic tam nie ma, a promieniowanie jak cholera. Nie wiem, czy tam ziemię zwozili po Katastrofie, czy co. W każdym razie cholernie nieprzyjemnie.

Nigdy nie zapuszczałem się tak daleko. Nie było takiej potrzeby.

– Te pola to były sowchoz – odzywa się nagle Siny i jak na komendę odwracamy z Hiszpanem głowy w jego stronę. – Mnóstwo ludzi tam pracowało. Po osiemdziesiątym szóstym jeszcze tam byli. Daleko do CzAES-u, to i nie było potrzeby tego zamykać. A potem przyszli smutni panowie i oznajmili, że wszyscy mają wypieprzać. Mieszkańcy się zbuntowali, w końcu lepszy sowchoz niż nic, i nie chcieli odejść. No to przyjechały ciężarówki z wojskowymi. – Siny spluwa na podłogę. – I zaczęli ludzi wynosić, jakby to były worki z piaskiem. Byle jak, byle do ciężarówki. Wszystkim zakazano się tam zbliżyć, na polach ustawili druty kolczaste, wbili znaki „zakaz wstępu” i kilka miesięcy później postawili tam bunkier.

– Otóż to – przyznaje Kiryłow.

– No dobra. – Odwracam się w kierunku sierżanta. – Ale co my mamy z tym wspólnego?

Kolejne piknięcie rzutnika i biały materiał rozjarza zdjęcie kilku osób: trzech mężczyzn, dwie kobiety, wszyscy uśmiechnięci, w kitlach, w tle majaczy jakiś park i ściana wysokiego budynku.

– Pracownicy kijowskiej politechniki. Wydział radiotechniki – wyjaśnia Kiryłow. – Was interesują trzy postacie: profesor Prochow, to ten wąsaty z lewej. Kobieta zaraz obok niego: profesor Udowenko, i asystent Prochowa, Zbirak. To ten młody blondyn z prawej.

– Mamy zapisać się do nich na zajęcia? – pytam z przekąsem.

– Nie. To wasz cel.

– Chcesz powiedzieć, że oni tam siedzą? W tym bunkrze? – Olbrzym ledwo mieści się na krześle, a jednak udaje mu się pochylić do przodu. I mimo że wygląda to komicznie, wcale nie jest mi do śmiechu.

– Najważniejsi są Prochow i Udowenko. Zbirak... – Kiryłow robi pauzę. – Zbirak jest, powiedzmy sobie, mniej ważny.

– Skurwysyny – mruży Siny. – Dla was olać człowieka to jak strzepać kurz z pagonów, nie? Mniej ważny – powtarza pod nosem. – Nawet na waszych ludziach wam nie zależy.

Sierżant puszcza uwagę mimo uszu, nie odpowiada, nie burzy się, ale ze spokojem naciska przycisk.

– Dlaczego nie wyślecie swoich? – pytam. – I nie zastanawiaj się tym, że to nie moja, a właściwie nie nasza sprawa. Przecież to nie ma sensu. Po co brać stalkerów z łapanki?

Kiryłow rozgląda się ciężkim wzrokiem po pomieszczeniu, wzdycha, zwraca głowę w moją stronę.

– A jak sądzisz, stalkerze? Dlaczego?

– Znowu chcesz się bawić w ciuciubabkę?

– Nie.

– Tego ma nie być w papierach – przerywa mu Siny i uśmiecha się kwaśno. – Szanownemu sierżantowi po raz kolejny pali się pod dupą. Tak jak kiedyś. Coś poszło nie tak i trzeba teraz jakoś to odkręcić. Tyle że nie wystarczy zamknąć paru chłopaków.

Wojskowy milczy i patrzy gdzieś w przestrzeń. Czyżby Siny trafił w sedno? Zaszczuć paru stalkerów, siłą zmusić do współpracy, nie dać wyboru, a na koniec pozbyć się niewygodnych świadków. W końcu zabili dwóch ludzi, żeby mnie tu ściągnąć. Nie żebym miał to im za złe, zawsze o dwie szuje mniej, ale to dobitnie świadczy o ich podejściu do sprawy. Czy Druciak i skośnooki, czy my – to nie ma znaczenia. Każde ludzkie ciało tak samo dobrze przyjmuje ołów.

– Chcesz, żebyśmy wyprowadzili z Zony trzech niewykształconych ludzi, tak? – Hiszpan klepie dłońmi o blat. – Sierżancie? Czy ciebie Bóg opuścił? Już jeden kot to dużo do

upilnowania. I to w dwie osoby. Chcesz, żebyśmy wzięli nie jednego, nie dwóch, ale trzech ludzi, którzy broń macali pewnie tylko kilka razy w życiu? I jeszcze taki szmat drogi? Przez ten teren? Nie no, to są jakieś jaja. A najlepsze, że to wszystko pod groźbą rozstrzelania. Brawo, po prostu brawo. Dobry plan! Po cholere mamy się tłuc taki szmat drogi, skoro zdechnąć możemy już tutaj, na miejscu? Wojskowe kurwy bez grosza pomysłu.

– To właśnie metody wojska – wtrąca się Siny. – Zabijają, jak leci, nic tylko groźby i strzały, dobrych chłopaków zarzynają i nawet swoich potrafią się pozbyć. Skurwysyny.

– Tacy jesteście wspaniali – mówi twardo sierżant. – Dumni, bez skazy. Rycerze Okrągłego Stołu. A ilu wy ludzi zabiliście, co? Szafujecie wyrokami, stajecie na piedestale i patrzycie na innych z góry. Nieskazitelni – krzyczy brodac i uderza pięścią w stół. – Pytam, ilu ludzi zabiliście przez swoje interesy? Co z Zony wynieśliście? Wiecie chociaż? Nie, bo was to nie interesuje. – Kiryłow oddycha ciężko, przejeżdża po nas wzrokiem, uspokaja się i po chwili dodaje: – Gdyby to było takie proste, jak myślicie. Ale nie jestem tutaj, żeby dyskutować, kto ma więcej na sumieniu. Zresztą mogłoby się to wam nie spodobać. Oczekuję od was współpracy. Tylko tyle i aż tyle. I zrobię wszystko, żeby was do tego zmusić. Ale im bardziej będziecie się opierać, tym gorzej na tym wyjdziecie. Zrozumieli?

Wstać i przyrznać mu w pysk. Tak po męsku, raz a porządnie, żeby nie mógł się podnieść. Adrenalina tętni w żyłach, zapraszając do działania, dłonie same zaciskają się w pięści, aż bieleją knykcie.

– Nie tak, gnoju, wygląda współpraca. Nie grozi się ludziom, od których oczekujesz pomocy. – Widać, że Siny walczy z samym sobą, by nie krzyknąć.

– Tak się akurat złożyło, a nie macie wyjścia. Zastanówcie się dobrze. – Kiryłow podchodzi do drzwi. – Kapralu. Wyprowadzić do kwatery.

* * *

– Skurwysyn. – Hiszpan z wściekłością rzuca plastikowym

kubkiem. – Skurwysyn i tyle.

– Nie będę ich psem – dodaje Siny, leżąc na polówce.

Zamknęli nas w tej pseudokwaterze, dali jeść, dali pić, ale niczego to nie zmieniło. Dalej jesteśmy w tym samym punkcie, co na początku. Teraz jednak wiem, że istnieje tylko jedna droga, by się stąd wyrwać.

– Nie mamy wyjścia – mówię, narażając się na ostracyzm.

– Co ty pieprzysz? – Hiszpan patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz to zrobić?

– A widzisz jakąś inną opcję? Człowieku, pomyśl. Masz żonę i dziecko, Siny ma córkę. Nie mówię, że mam ochotę na tę współpracę. Cholera, daleki jestem od tego. Ale oni nas nie wypuszczą.

– A myślisz, że nawet jak przyprowadzimy tych troje, to wojskowi dadzą nam spokój? Zastrzelą nas, żeby nie było świadków – włącza się Siny. – Znam ich. To ich metody.

– Jeśli się nie zgodzimy, zastrzelą nas tutaj. Od razu.

– Powtarzam: nie będę ich psem. Wolę zgnić tutaj.

– I co ci z tego przyjdzie? – mówię ostro. – Zdechniesz i po ptakach. Aż tak ci nie zależy? To po co w ogóle żyjesz? Weź się powieś na pasku.

– Znajdę wyjście...

– Gównno znajdziesz. – Podnoszę się z miejsca. – Ile czasu lampisz się w te okna? Ten atak na wojskowego też nie poszedł najlepiej. Faktycznie chcesz tutaj zgnić? Proszę bardzo, ale mnie w to nie mieszaj. Spójrz na nas, Siny! No spójrz, mówię! Jesteśmy w dupie. Czarnej, głębokiej i mamy tylko jedno wyjście. I pieprzę to, że ani trochę mi się ono nie podoba, ale nie mam zamiaru tu czekać.

– Młody jesteś, Kojot. I głupi. Zawsze jest inne wyjście.

– To zaproponuj coś, do cholery. Siedzisz tylko i pieprzysz, jak to źle i jak niedobrze. Szukasz jakiejś alternatywnej drogi, choć sam dobrze wiesz, że ona nie istnieje. Obudź się, Siny!

Stalker w ciągu dwóch sekund zrywa się z łóżka, doskakuje do mnie jednym susem, jego pięść jak rozpędzony pociąg uderza mnie w szczękę. Nie czuję bólu, dostrzegam jedynie Hiszpana,

który łapie starego za ramiona, i leczę w tył.
Ciemność.

* * *

– Żyjesz? – Ktoś klepie mnie po policzku. – Kojot?

Głowa jest ciężka, w uszach szumi odległy wodospad, w ustach czuję żelazisty posmak krwi.

– Żyję – mówię, czując rozchodzący się po szczęce ból. Jeszcze przed chwilą go nie było, a teraz nagle wykwitł, jak wychylający się spod białego puchu, pierwszy wiosenny przebiśnieg. – Co się stało?

– Przyłożył ci. Padłeś jak szmata.

– Cholera, boli.

– Chyba nie pierwszy raz dostałeś?

Otwieram oczy, Hiszpan kuca tuż przy mnie, Siny stoi przy oknie z założonymi rękami. Pamięć wraca niespodziewanie, przejeżdżam dłonią po szczęce, dotykam językiem rozcięcia po wewnętrznej stronie policzka i przelatykam ślinę.

– Lepiej ci? – rzucam w kierunku Siniego. – Wyżyłeś się? Wpadłeś na coś czy będziesz się miotał dalej?

– Zbastuj – odzywa się Hiszpan. – Bierzemy tę robotę.

– Co?

Dryblas wzdycha i kiwa głową w kierunku stojącego pod oknem stalkera.

– Gadaliśmy i doszliśmy do wniosku, że masz rację. Siedząc tutaj, tylko marnujemy czas. Jeśli Kiryłow mówi prawdę, a przecież nie ma powodu, by kłamać, nie chodzi tutaj tylko o nas. Ja mam rodzinę, Siny córkę w Kijowie. Nie możemy ryzykować.

– Siny?

– Nie podoba mi się to wszystko. – Stalker odrywa się od ściany i podchodzi bliżej. – Ale nie jestem głupi. Stary może i tak, zmęczony, owszem, ale nie głupi. Nie wystawię Zojki. Prędzej sam zdechnę.

– Więc co? Trzeba ich jakoś powiadomić, nie? – mówię, podnosząc się z polówki. – Bo sami to się raczej do nas szybko nie pofatygują.

* * *

– Poszłicie po rozum do głowy, a? – Kiryłow siedzi przy stole machając długopisem po zadrukowanych gęsto kartkach. – Dobrze, że się zrozumieliśmy. Wy pomożecie mi, a ja wam.

Stoimy w małym, schludnym biurze, które w niczym nie przypomina naszej pseudokwatery ani małego pokoiku z monitorami. Kilka drewnianych, jeszcze pachnących nowością regałów, czysty beżowy dywan w romby, zwisający z sufitu wentylator – wszystko wygląda tak, jakby cały sprzęt ustawiono tu niedawno. Ani śladu kurzu czy jakichkolwiek zabrudzeń. Perfekcyjna pani domu byłaby dumna.

– Jaka pomoc? Kiryłow, ty nas po prostu szantażujesz – mówi Hiszpan. – Ale zgadzamy się.

– Cieszę się – mruczy sierżant, odkłada stertę papierów na bok, splota dłonie i opiera łokcie o blat. – Zaraz zawiadomię kwatermistrza, wyda wam niezbędny sprzęt.

– A teraz co? Czas wolny? Jak za czasów szkolnych wycieczek? – pytam z przekąsem.

Sierzant podnosi telefon, naciska przycisk i szybko wydaje polecenia.

Czuję się jak wrak. Głowa boli uparcie, szczęka napuchła jak balon, plecy mam sztywne, jakby ktoś wystrugał je z twardego drewna. Iść w takim stanie w Zonę to jak prosić się o śmierć. Ale czy mam wybór? Nie, to już postanowione, zaklepane i podpisane moją własną ręką.

– Niedługo wszystko będzie gotowe – mówi Kiryłow, odkładając słuchawkę. – Jakieś pytania?

– Jaką mamy pewność, że nie zrobisz nas w konia? – Hiszpan składa rękę na piersi.

– Zależy nam na tych ludziach. Wbrew temu, co myślicie, nie jestem takim skurwysynem. Przyprawadźcie ich i nie będę was męczył. Na tym polega umowa.

Siny patrzy spode łba na sierżanta i kręci głową.

– To za mało. Chcemy mieć pewność.

– Mam ci karteczkę podpisać? Chcesz?

– Gównu mnie obchodzą twoje podpisy. – Siny podnosi głos. – Gdybyś jeszcze przestrzegał zasad, może miałoby to jakiś sens.

– Więc musisz wierzyć na słowo – odpowiada sierżant.

– Dobra, Kiryłow, dwie rzeczy – wtrąca się Hiszpan. – Pierwsza to taka, że jak ich przyprowadzimy, odchodzimy nieatakowani przez was. W tym punkcie się rozumiemy, tak? Naszym rodzinom nie może się nic stać.

– Zgoda...

– Poczekaj – przerywa mu stalker. – Druga to taka, że sprzęt, który dostaniemy, jest nasz. Do tego wszystko, co znajdziemy, łąduje na nasze konto. Rozumiemy się?

Sierżant milczy chwilę, po czym ostrożnie kiwa głową.

– Niech będzie. Wpiszemy to w koszty.

Tego się nie spodziewałem. Sądziłem, że Kiryłow kategorycznie odmówi, albo przynajmniej będzie się wyklócał, że to niemożliwe. A on nawet się nie zająknął. Oczywiście, może i wpuści wszystko w koszty, w końcu gdyby miał wysyłać żołnierzy, byłoby tego dwa razy więcej. Z drugiej jednak strony, wojskowy nie jest w ciemną bitą. Zależy, jak sobie wszystko wykalkulował. Jeśli nie zamierza nas spokojnie puścić wolno, co akurat w tym przypadku jest niemal pewne, wie, że sprzęt i tak do niego wróci.

Zerkam na Hiszpana, ten wydaje się równie zaskoczony co ja, ale nie protestuje. Siny także zamilkł i tylko przygląda się sierżantowi z nieskrywaną pogardą.

– Jeszcze jedno – zaczynam. – Wszystko ładnie, wszystko pięknie, ale jak mamy się z wami skontaktować? Cholera, przecież dobrze wiem, że jak tylko się zbliżymy do Kordonu, to dacie ognia ze wszystkiego, co macie.

– O to się nie martw. Mamy swoje metody – odpowiada lakonicznie Kiryłow. – To wszystko? Dobrze. Zaraz przyjdzie kapral i pójdziecie po sprzęt. Mam was skuwać czy będziecie grzeczni?

– Pierdol się – rzuca Siny.

– Kiedy ruszamy? – Od razu staram się zmienić tor rozmowy.

– Jak najszybciej.

- A w nocy nie było przypadkiem emisji? – dociekam.
- Była – kiwa głową Kiryłow.
- No to, kurwa, wspaniale – mruczy pod nosem Hiszpan.
- Ile mamy czasu? Chyba jakiś tam plan jest, co? – pytam.
- Orlyk wyjaśni wam wszystko. Macie trzy tygodnie. Tyle będziemy czekać.
- Wiesz, że może się przedłużyć? To nie jest byle jaki spacer.
- Dlatego idziecie wy, a nie koty złapane na granicy. Trzy tygodnie. Tyle mogę wam zapewnić. A potem rozmawiamy z waszymi rodzinami.

Orlyk pojawia się zniechęcony.

- Mają być żywi. Nieważne, jak to zrobicie, ale mają być żywi – rzuca sierżant za nami, gdy już wychodzimy z biura.

Jasne. Wejść do Zony, dotrzeć do bunkra, grzecznie poprosić naukowców, żeby z nami poszli, i wrócić w jednym kawałku. Na pozór kaszka z mleczkiem. Ile mamy przed sobą? Piętnaście kilometrów lotem ptaka? Trochę więcej? Na Dużej Ziemi zrobisz tyle w trzy albo cztery godziny. A tutaj? W Zonie nic nie jest proste i łatwe. Sekundy mogą zmienić się w minuty, potem godziny albo i dni. Kto wie na co się natknijemy? Nigdy nie chodziłem tak daleko. Mogę jedynie sobie wyobrazić, co nas tam czeka.

I wiem jedno: na pewno nie będzie łatwo. Nawet na to nie liczę.

Rozdział 4



Czerwone, alarmowe światło miga ostrzegawczo, serwomotory buczą jednostajnie, zgrzyta wielotonowa, stalowa brama.

Stoimy w przedsionku, tuż obok ogromnego cielska amerykańskiego transportera opancerzonego, i patrzymy, jak sekunda po sekundzie hangar wypełnia się światłem dnia. Z początku widać tylko cienkie, nic nieznaczące strużki, przelewające się leniwie przez szpary, ale już po chwili chwytam wzrokiem zaścielone szarą powłoką chmur niebo i majaczące w oddali korony bezlistnych drzew.

Łapią mnie dreszcze, zerkam nerwowo na Hiszpana, ten przestępuje z nogi na nogę i miarowo zaciska dłonie.

Tylko Siny wydaje się niewzruszony: oparty o sylwetkę transportera, z papierosem w ustach, zdaje się kompletnie nieobecny. Jakby myślami był już daleko przed nami – gdzieś wśród ugorów, bagien i zagajników. Zazdroszczę mu tego spokoju, bo ilekroć staję naprzeciwko Strefy, czuję tę dziwną, przemożną chęć odwrócenia się na pięcie i ucieczki gdzie pieprz rośnie.

A jednak zawsze daję krok do przodu i brnę przed siebie.

Niektórzy mówią, że to zew, swoiste wołanie tego cholernie niebezpiecznego miejsca, ale dla mnie to jedynie kolejny dowód, że człowiek jest po prostu z natury ciekawską i irracjonalną bestią.

– Zejście za trzydzieści sekund – krzyczy stojący za nami technik.

Jeszcze raz sprawdzam oporządzenie, niemal pedantycznie dociskam gumowe paski maski przeciwgazowej, dokręcam filtropochłaniacz, przejeżdżam po starych, wysłużonych ładownicach. Trącam palcami polimerowe magazynki, kontroluję zabezpieczenie kabury z wytartym fortem i taksuję wzrokiem licznik Geigera.

Kiryłow obiecywał sprzęt, ale nawet się nie zająknął, że będzie to wyposażenie z poprzedniej epoki: podziurawione i łatane na kolanie kamizelki, sprane, wyciągnięte z odmetów magazynu koszulki i spodnie, kurtki w złych rozmiarach, niewygodne plecaki... Powinienem się cieszyć, że przynajmniej maski dali w miarę nowe. I niby da się w tych ciuchach chodzić, nie jest tragicznie, w gorszych łachach chodziło się w Strefę, ale zawsze mogłoby być lepiej. W końcu wyposaża nas wojsko, a nie targ staroci.

Brama z trzaskiem zatrzymuje się w otwartej pozycji, rozbrzmiewa syrena, czerwone światło zaczyna mrugać ze zdwojoną siłą, Siny odrywa się od transportera, poprawia wiszący na ramieniu niemiecki pistolet maszynowy i kiwa głową.

- Wszystko gotowe – krzyczy technik.
- Na pewno? – Hiszpan odwraca się do mężczyzny w mundurze.
- Wolę nie dostać kulki w plecy.

Żołnierz podnosi w górę kciuk, Siny wzrusza ramionami i kieruje się w stronę wyjścia.

Szare, tłuste od chmur niebo, mokra, obrzydliwie lepka ziemia i chłodny wiosenny wiatr, przynoszący zapach zjonizowanego powietrza – Zona jak się patrzy.

- Oj, ładnie musiało w nocy pierdolnąć – kwituje Siny i wyrzuca niedopałek na ziemię. – Że jeszcze czuć emisję... No, no.

Rozglądam się po przedpolu, w oddali gniją truchła mięsaków, które zapuściły się zbyt blisko i obudziły ziejące ogniem automaty. Ogromne cielska wron i kruków kołują nisko nad ziemią, lądują miękko, wbijają dzioby w ściervo, by po chwili znów wzbić się w powietrze. Niskie, porastające gdzieniegdzie glebę krzaczki falują delikatnie, tręcane wiejącym ze wschodu wiatrem.

Mlaskają podszwy, Hiszpan dołącza do nas i spluwa na glebę.

Brama ożywa ponownie, silniki buczą ociężale, masywna płyta wraca na swoje miejsce, trzpienie zabezpieczeń z sykiem wbijają się w fundamenty hangaru, drąca się potępieńczo syrena gaśnie natychmiastowo i pozostawia nas samych sobie.

– Pójdę pierwszy – informuje Siny, ściąga z ramienia MP5, wpina magazynek, zrzuca zamek i rusza z miejsca. Buty grzęzną w błocie, stalker przeklina pod nosem, z trudem odrywa desanty od ziemi, ale mimo to powoli brnie przed siebie.

– Ja zamykam – mówię do Hiszpana. Ten kiwa głową, idzie za przykładem Siniego, przygotowuje broń i rusza w ślad za przewodnikiem.

Czekam jeszcze kilka sekund, rozglądam się uważnie i zapamiętuję ustawienie zamontowanych na strażnicy karabinów. Takie informacje mogą się przydać. W końcu nie codziennie bywa się tak blisko naszpikowanego uzbrojeniem muru.

Wzdychając ciężko, rozkładam kolbę AKM-u, szczękam zamkiem i ruszam za towarzyszami.

Przechodzimy kilkadziesiąt metrów, robi mi się gorąco, włosy jeżą się na głowie, zimny pot spływa ciurkiem po karku.

Nie ufam wojskowym. Zbyt dużo widziałem, żeby teraz bez problemu odwrócić się plecami do Kordonu. Wiem, że gdyby wieżyczki obudziły się nagle z letargu, nie zdążylibyśmy nawet się zorientować w sytuacji. O ile snajper może się pomylić, tak sprzężone z kamerami, napędzane elektronicznie karabiny zrobią z nas sito w mniej niż sekundę.

Odwracam głowę, szukając przejawów jakiegokolwiek aktywności, najmniejszego ruchu zdradzającego zagrożenie, ale cały sprzęt zdaje się martwy. Sierżantowi zależy na tych naukowcach i nie sądzę, żeby nagle zmienił zdanie, nie miałoby to żadnego sensu, a jednak wciąż czuję na sobie złośliwy wzrok elektronicznych celowników, czekających tylko na jedną, konkretną komendę. A gdyby nagle ktoś się pospieszył i choćby przez przypadek uwolnił rój wielkokalibrowych pocisków?

Karczę się w myślach i kręcę głową, próbując wyrzucić podsuwane mi przez wyobraźnię scenariusze. Nic się nie stanie.

Przecież nie dlatego urządzali całe to przedstawienie, żeby teraz odstrzelić nas jak kaczki.

W ostatniej chwili orientuję się, że Hiszpan stoi w miejscu, schodzę na bok, ślizgam się w błocie i tylko cudem unikam upadku na glebę.

– Kojot, skup się, do cholery. – Siny trzyma w rękę przewiązaną bandażem mutrę, waży ją w dłoni i rzuca przed siebie.

– Co ty robisz? – dziwię się. – Przecież nawet stu metrów...

Pocisk przelatuje kawałek i nagle, jak za pomocą czarodziejskiej różdżki, odbija się od powietrza i upada na prawo.

O cholera. Ale dałbym dupy.

– Mówiłem, żeś młody i głupi. Emisja była, tak? No właśnie.

– Ale jak to? Przecież...

– Nie pytaj, Kojot – przerywa mi Siny, bierze drugą mutrę i rzuca w ślad za pierwszą. – Skup się.

Nakrętka dzieli los swojej poprzedniczki i leci w błoto.

– Trampolina – orzeka Hiszpan. – Słaba, bo słaba, ale omijamy, nie?

– Z prawej, na daleko. Po moich śladach.

Pierwszy raz widzę anomalię tak blisko Kordonu. Rozumiem mutanty – te w pojedynkę albo grupami raz na jakiś czas zapuszczają się tutaj w poszukiwaniu nowych źerowisk. Ale trampolina? Tutaj? Fakt, nocna emisja mogła wywołać zmiany w położeniu tych wrednych pułapek. To dość częste zjawisko. Nie sądziłem jednak, że jakaś przyplącze się aż tutaj. Gdybym szedł sam, pewnie już bym w nią wdepnął. Nie zrobiłaby mi zapewne krzywdy, to raczej jedna z tych, które bardziej straszą swoją obecnością, niż rzeczywiście zagrażają dorosłemu człowiekowi, ale sam fakt jej istnienia wzbudza we mnie niepokój. Skoro tak szybko nacięliśmy się na przeszkodę, to co będzie później?

Omijamy trampolinę szerokim łukiem, Siny zbacza na chwilę z trasy, za pomocą patyka zbiera mutry i rusza przed siebie.

– Wyszliśmy w najmniej odpowiednim momencie – stwierdza. – Emisja rozbudziła anomalie, mutki będą świrować. Bład', mogliśmy jednak poczekać.

– Może nie będzie tak źle – odzywam się, lustrując jednocześnie

pole z prawej strony.

Siny zerka na zegarek, przystaje, rzuca mutrą i wolnym krokiem kieruje się w jej stronę.

– Jest szesnasta. Najbliżej mamy wiatrak Sawaryna, ale żeby tam dotrzeć, i tak musimy przyspieszyć.

– O ile się nie zawałił – mruczy pod nosem Hiszpan, starając się zabezpieczyć lufą lewą flankę. – Ostatnim razem nie był w najlepszym stanie.

Zaczynamy iść nieco szybciej, buty wnikają w rozmiękczoną nocną ulewą glebę, stalowe chmury szczelnie pokrywają nieboskłon, wiatr dmie coraz bardziej i trąca rosnące pojedynczo drzewka.

Teren wznosi się i opada delikatnie, dookoła nikomu już niepotrzebne pola, w oddali po prawej stronie migocze zarys jakiegoś zagajnika, wysoka, betonowa sylwetka zostawionej za plecami strażnicy z minuty na minutę karleje i wreszcie znika za wzniesieniem.

Kiedyś pracowali tu ludzie, rosło zboże, traktory miały ziemię wielkimi oponami. Ale to przeszłość – zatarte, niemal nieuchwytnie wspomnienie. Tylko porozrzucane gdzieś tam fragmenty blachy i resztki porzucanego sprzętu rolniczego świadczą o tym, że pola nie zawsze były tak bezludne i jałowe.

– Siny? – odzywam się, gdy natrafiamy na ledwo widoczną, szutrową ścieżkę. – Jak to z tobą było?

– O co ci chodzi? – Stalker nie przystaje ani na chwilę i skupiony cały czas na drodze, kroczy przed siebie.

– Jesteś stąd? Z okolic?

– Ze Żmijewki. A po cholere ci to?

– Widziałeś, jak to się zaczęło?

Stalker przystaje, odwraca się w moją stronę. Hiszpan, korzystając z okazji, odpina metalową manierkę i pije zachłannie. Widać, że zmęczył się marszem, choć nie zdążyliśmy nawet zagłębić się jeszcze w prawdziwie wymagający teren. Wyraźnie nie ma formy, choć masa mięśniowa pozostała. Nie mogę się dziwić. Do Zony już nie chodzi, dłuższe wycieczki urządza tylko do sklepu albo pracy. Poświęcił się rodzinie i zapomniał, że

kondycja może mu się jeszcze przydać. Zresztą na jego miejscu pewnie zrobiłbym to samo.

– Tak, widziałem. – Siny wydaje się zniecierpliwiony. Jakby tłumaczył małemu, nierozgarniętemu dziecku tę samą, nudną do bólu zależność. – Zadowolony z odpowiedzi? Nie? Trudno. Teraz skup się na ścieżce. Brakuje nam tylko, żeby coś wylazło nam na spotkanie. Chcesz pogadać? Wyżalić? Zapytać, jak było? Nie ma problemu, ale najpierw zbierzmy dupy w troki i znajdziemy schronienie, zanim zrobi się całkiem ciemno.

– Tajest! – Salutuję pokracznie, Siny kręci głową, odwraca się i ponownie narzuca swoje tempo.

– Kojot – mówi Hiszpan, gdy odchodzimy kawałek – po co ty się pchasz tutaj? Z tego, co wiem, to rodziny nie masz, żyjesz jak wolny człowiek. Czym cię Kiryłow zagiął? Tylko wiesz, wcale mi nie przeszkadza, że poszedłeś. W sumie się cieszę, bo we trzech lepiej. Bezpieczniej.

– Do pierdla chce mnie posłać. – Zerkam na karłowate, rosnące niedaleko brzozy. – Kwity na mnie ma. Poważne.

– No i? Co ci może zrobić? Zwiejesz gdzie indziej i szukaj wiatru w polu.

– Żeby to było takie proste. Spójrz na to z innej strony – mówię, wpatrując się intensywnie w rządęk drzew. Coś mi się one nie podobają. Takie równe, nad wyraz białe i kompletnie nieruchome, nawet pomimo wiatru. – Ucieknę gdzieś i co dalej? Będę chciał się ustatkować, znaleźć pracę, wynająć mieszkanie. Z taką kartoteką będą mnie szukać aż do usranej śmierci. I co ja zrobię, jak w końcu mnie dorwą? Wyprę się? Pokażę lewe dokumenty? Jeszcze gorzej. Na krótką metę ucieczka może i byłaby dobra, ale co potem?

– Czyli co? Jak przyprowadzimy jajogłowych, będziesz miał czyste konto? Na to liczysz?

– Nie wiem, Hiszpan, naprawdę nie wiem. Nie chcę całe życie kryć się po melinach, patrzeć przez ramię i bać się pierdnąć. Angole mają takie powiedzonko: *let's cross that bridge when we come to it*.

– I co to znaczy?

– Nie martw się na zapas. Kiryłow robi mnie pewnie bez mydła, ale wolę spróbować i miło się zaskoczyć, niż dać nogę i być pewnym, że któregoś dnia zastukają do mnie smutni panowie.

Hiszpan wzrusza ramionami, przyspiesza kroku, by znaleźć się w środku pochodu, i śledzi podążającego drogą Sinego.

Czy rzeczywiście liczę, że sierżant puści mnie wolno? Nie. Chyba nie. To nie jest coś, co zrobiłby Kiryłow. Nie ten typ człowieka. Zresztą gdybym ja był na jego miejscu, z pewnością wyeliminowałbym tak niepokorny i nieprzewidywalny element układanki. Jeśli stawka jest wysoka, nie ma miejsca na pomyłki.

Więc dlaczego idę? Dlaczego nie zbiorę się w sobie, nie przejdę gdzieś dalej i nie wyskoczę za Kordon? Co mnie powstrzymuje? Strach przed życiem zbiega? Wolne żarty! Od kilku lat egzystuję tak bez cienia żalu i nurkuję coraz głębiej i głębiej w matnię lewych interesów, przemytu i handlu niebezpiecznym towarem. Gdybym naprawdę się bał, nigdy nie wyściubiłbym nosa za mur Kordonu. Więc co?

I wtedy do mnie dociera: człowiek to ciekawska i cholernie nielogiczna istota. Niby wiem to od dawna, ale dopiero teraz uzmysławiam sobie, jak dobrze wpisuję się w ten schemat.

Nie muszę tego robić.

A jednak trzymam karabin i wędruję po śladach towarzyszy.

W głąb.

* * *

Nie ma nic gorszego niż czekanie. Nieważne, czy chodzi o zbliżający się sprawdzian w szkole, wizytę u lekarza, czy nieuchronną wymianę ognia, oczekiwanie zawsze jest tym, co stresuje najbardziej.

Nie wiem, co zrobić z rękami, wzrok biega po otoczeniu, szukając jakiegokolwiek ciekawego zjawiska, w uszach tętni krew, wszystko swędzi, denerwuje i zaprasza, by w końcu coś zrobić. Nieważne już co, byle tylko przerwać ten kłujący w mózg marazm.

Ale nie można. Jeden zbędny ruch i cały plan może posypać się jak domek z kart.

Leżę w wysokiej trawie, rozłożony nade mną czerwonawy baldachim chmur zdaje się nie poruszać ani o jotę, surowe korony bezlistnych drzew patrzą na mnie oskarżycielsko, jakbym był odpowiedzialny za ich marny los.

– Kurwa, długo jeszcze? – słyszę mamrotanie. – Gdzie on polazł?

Serce gubi rytm, o mało co nie szarpnię za karabin, lecz w ostatniej chwili orientuję się, że to odzywa się leżący obok Hiszpan. Szept stalkera wydaje się być orkiestrą dźwięków po monotonnym, trwającym sam nie wiem ile bezgłosie.

Na Dużej Ziemi pewnie nawet bym go nie usłyszał. Za dużo muzyki tła: szumu liści, grających sumiennie świerszczy czy odległych trel nocnych ptaków. A tutaj? Cisza w Zonie jest jedyna w swoim rodzaju. Cisza przez duże C, cisza nad ciszami. Tutaj każdy ruch wywołuje reakcję otoczenia, szelest ubrań jest jak szum wodospadu, oddech zdaje się rozbrzmiewać w promieniu kilkuset metrów, głupie kichnięcia niosłoby się zapewne aż do samego matecznika Strefy.

– Cicho. Daj mu działać – odpowiadam najciszej jak mogę, choć w uszach brzmi to jak krzyk.

Rozumiem rosnącego stalkera. Mnie też nie podoba się ta sytuacja i nie wiem, co ubzdurał sobie Siny. Zmrok za pasem, żalostne, odznaczające się na horyzoncie cielsko wiatraka stoi na wyciągnięcie ręki, wszędzie cisza i spokój, a ten postanowił zrobić zwiad. Rozumiem, że trzeba dbać o bezpieczeństwo, ale to już przegięcie. Nie zaszliśmy aż tak daleko, by musieć zdobywać każdą piędź ziemi, czołgając się po mokrym gruncie.

– Przecież widać, że tu żywego ducha nie ma. Ciemno, cicho... Jakby ktoś miał tam być, już dawno byśmy słyszeli. Na cholere on tam polazł? – Hiszpan nie daje za wygraną, przysuwa się do mnie kilkadziesiąt centymetrów, wystawia karabin przed twarz i zastyga w miejscu. – Może sobie jaja robi?

– W środku siedzi para mięsaczy – słyszę za plecami.

Wzdrygamy się z Hiszpanem jak na komendę. On podrywa karabin, mój palec automatycznie leci na spust i czując spływający z karku pot, ledwie powstrzymuję się od błyskawicznego obrotu w tył.

– Spokojnie. To tylko ja – mówi Siny i klęka zaraz przy mojej pozycji. – Gdyby to był ktoś obcy, już byście nie żyli.

– Ta – odpowiadam, starając się trzymać nerwy na wodzy. – Pod warunkiem że ktoś wiedziałby, gdzie leżymy. Jak tyś podszedł?

– Lata praktyki. – Siny śmieje się cicho. – Ale to nieważne. W okolicy czysto, tylko te dwa mutanty. Leżą w środku.

– Jakiś plan? – pyta Hiszpan.

– Tak czy siak, na noc trzeba wejść na górę. Ostatnim razem były tu schody, ale chyba się zawaliły.

– To co robimy?

– Z drugiej strony jest trochę miejsca. Spróbujemy się wspiąć, ale te cholerstwa na pewno nam tego nie ułatwią. To chyba ich teren i pewnie będą o niego walczyć.

– Czyli wybijamy mutanty i zajmujemy schronienie – stwierdzam, po czym podnoszę się z mokrej gleby i otrzepuję błoto. – Duże one?

– Dorosłe osobniki, to na pewno. Może para, może dwa samce. Nie wiem, pod dupę nie zaglądałem.

– Jakieś anomalie po drodze?

– Nic. Nieco dalej jest karuzela, ale nie ma co się nią przejmować.

– No to już.

Wychodzimy z pola, ciemności z każdą minutą połykają całe hektary ziemi, czerwona, wisząca nad głowami tkanina chmur zaczyna zmieniać barwę na ciemny granat, dając znak, że ubywa nam czasu.

Wiatrak już za czasów Pierwszej Katastrofy musiał stanowić zabytek i wiem, że pędzący nieubłaganie czas nie obszedł się z nim łaskawie: niska, ułożona z drobnych kamieni konstrukcja o trzymających się na słowo honoru ścianach, zapadniętym dachu i górującą nad wszystkim, drewnianą wieżą. Kiedyś mogło to robić wrażenie, myślę. Wszędzie dookoła pola, lasy, a pośrodku krajobrazu pojedyncza, rzucona przypadkowo perełka starej architektury.

Tyle że te czasy minęły bezpowrotnie. Nikt już nie dba o budynek, a jedynymi gośćmi mogącymi podziwiać jego piękno są

albo stalkerzy, albo nierozumiejące niczego mutanty. Słaba to widownia.



Buty zapadają się w grząski grunt, wilgoć osiada na kurtkach, zapach zbutwiałego drewna kręci w nosie.

Przystajemy na małym pagórku, do budynku zostało około trzydziestu metrów, więc chwytam karabin w obie dłonie i staram się przebić wzrokiem narastające ciemności.

Z początku ziejąca czernią, szeroka na kilka metrów wyrwa w ścianie wiatraka wydaje się całkowicie pusta. Nic się nie porusza, słyszę jedynie własny, przyspieszony oddech i okazjonalny trzask wyposażenia zalegających obok mnie stalkerów. Spokój zdaje się wręcz przelewać po okolicy. Niemniej, jeśli w środku są mutanty, za chwilę zrobi się głośno.

– Tam, na jedenastej jest to miejsce, o którym mówiłem. – Siny wskazuje palcem na mały, usytuowany tuż pod kołem wiatrowym i pozbawiony barierki balkonik. – Powinniśmy dać radę się wspiąć. Jeden podsadzi drugiego, ze dwa chwytamy *w sio*.

– Musimy podejść bliżej – stwierdzam. – Nic stąd nie widzę. Gdzie ty te mięsacze wyhaczyłeś?

– W środku, przy podstawie. Leżą pod ścianą.

– Może już zdechły – sugeruje Hiszpan.

– Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę. – Siny wstaje z klęczek i trzymając broń w pogotowiu, kieruje się w stronę wyrwy.

Gestem wskazuję Hiszpanowi, że pójdę jako drugi, podnoszę się ze stanowiska i ruszam za starym.

Dwadzieścia metrów, piętnaście, dziesięć... Przystaję ledwie parę metrów od wyrwy, Siny zagląda do środka i podnosi palec do ust.

Zerkam przez tchnące wilgocią i pleśnią deski, w rogu dostrzegam zarysy dwóch wyrosniętych mięsaczy i uważając, by nie stuknąć o nic niepotrzebnie lufą karabinu, przygotowuję się do strzału. Słyszę podchodzącego powoli Hiszpana, zrzucam bezpiecznik na pojedynczy ogień, biorę głębszy oddech i spoglądam na Sinego.

Stalker celuje do mutantów, palec igra ze spustem, zbliża się ku zakrzywionemu językowi, to znów oddala i wędruje na stalowy korpus pistoletu maszynowego. Jak gdyby Siny zastanawiał się nad strzałem.

Coś zauważył? A może po prostu wyszedł z formy? Niby skrada się jak stary wyga, w jednostce pokazał, że potrafi przyłożyć, niewątpliwie jest bardziej doświadczony niż ja i Hiszpan razem wzięci, a jednak nie strzela. Dlaczego tak się bawi? Przecież wystarczy zgiąć paliczek.

W końcu Siny odrywa się od karabinu, kręci głową i daje znak, by odejść kawałek w pole.

– To bez sensu – mówi, gdy kucamy w trawie.

– Co jest, kurwa, znowu bez sensu? – pytam, mierząc w stronę podstawy wiatraka.

– Krew, Kojot. Krew jest bez sensu.

– Co ty? Nagle pacyfistą zostałeś?

– Mów, Siny. A ty, Kojot, cicho przez chwilę. – Hiszpan klepie mnie w ramię. – Chyba wiem, o co chodzi.

– Ślepaki – stwierdza Siny. – Jeszcze ich nie słyszeliśmy, ale to

nie oznacza, że nie ma ich gdzieś w pobliżu. Jak wyrzniemy miścace tutaj, to przy takim wietrze za chwilę możemy mieć całą masę tałatajstwa na głowie. Szczególnie po emisji. Spróbujemy wejść po cichu i przeczekać noc tak, by nas nie zauważyły. Może się uda. A jak nie będzie wyboru, po prostu je zatłuczemy.

Tak. Gorzej, jeśli nagle się obudzą, myślę.

Miścace może nie są bardzo groźne, ale głupi jest ten, kto całkowicie je ignoruje. Ważące po kilkaset kilogramów, zmutowane karykatury świń, bardzo szybko mogą załatwić działającego w pojedynkę osobnika. Co prawda mutanty rzadko atakują i raczej stronią od towarzystwa innych gatunków, ale broniąc swojego terytorium, mogą wkurzyć się nie na żarty i zrobić użytek ze swoich gabarytów.

– Gotowi? – pyta Siny.

– Ktoś chyba powinien stać na czatach, żebyśmy nie obudzili się z ręką w nocniku.

– Kojot, ty idziesz pierwszy. Hiszpan cię podsadzi. W razie czego kryjesz ogniem. Dobrze strzelasz?

– Nie najgorzej – przyznaję. – Tyle że w ciemnościach gówno zrobię.

– Masz latarkę, poświecisz sobie, to będziesz widzieć – stwierdza Siny. – Plecaki zostawiamy pod ścianą. Ostatni będzie podawał.

To zadziwiające, jak szybko wieczór potrafi zamienić się w noc.

Idę powoli, broń przygotowana do strzału, nerwy napięte do granic możliwości, zarysy okolicy znikają szybko, mieszając się z kompletnymi ciemnościami. Rozumiem sens tego, co powiedział Siny. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nie wiem tylko, czy to, co robimy, jest najlepszym możliwym rozwiązaniem. To jedynie parę metrów w górę. Z pomocą Hiszpana powinno pójść gładko, ale wdrapywanie się na balkon w niemal kompletnych ciemnościach może przerosnąć moje umiejętności. Gdyby nie mutanty, mógłbym próbować i do usranej śmierci, ale tak? Spadnę, zwichnę kostkę i będzie po zawodach.

Podkradamy się do kamiennej podstawy wiatraka, Hiszpan

klepie mnie w plecy i przykleja się do ściany. Kładę karabin na ziemi, powoli ściągam plecak, mimo wątpliwości stawiam stopę na udzie kompana, dokładam drugą i niemalże po omacku szukam czegoś, o co mógłbym zahaczyć dłoń.

Jest, mam to – zimny, wystający ze ściany kamień ulokowany tuż nade mną. Chwytam go oburącz, stopa idzie w górę, opieram ją o ramię Hiszpana i wciągam się wyżej. Chwila przerwy, znów macam mur, znajduję wąską szczelinę i wsuwam w nią palce. Robiący za podpórkę stalker prostuje się, wypuszcza powietrze ze świstem, wyciągam się jak struna, muskam dłonią zbutwiałe, wilgotne drewno balkoniku i chwytam je najmocniej jak potrafię.

Słyszę trzask, stare drewno nie wytrzymuje nacisku i łamie się jak zapałka. Tracę uchwyt, oczami wyobraźni widzę się już na dole, macham panicznie ręką, ta uderza o wystający fragment ściany, palce zaciskają się jak imadło i w ostatniej chwili udaje mi się utrzymać. Odłamany kawałek deski spada na ziemię i choć spodziewam się usłyszeć jakieś uderzenie, w uszach dudni mi jedynie tętniąca głośno krew. Pot cieknie ze mnie strugami, adrenalina buzuje w żyłach, całym ciałem przytulam się do muru i nasłuchuję.

Grom pędzącej krwi cichnie po chwili, okolica wydaje się nieporuszona moim wyczynem, łapię haust zimnego, wiosennego powietrza i ponownie szukam drogi na górę. Teraz już nie ma odwrotu. Albo bolesny upadek, albo zwycięstwo, sława i bezpieczna przystań.

Mijają sekundy, w końcu odnajduję kolejną deskę podestu, naciskam mocno, by sprawdzić, czy wytrzyma, po czym podciągam się, zapieram nogami o kamienną ścianę i ląduję na balkoniku.

Jestem mokry od stóp do głów, plecy rwą jak oszalałe, łydka ćmi lekko, przypominając o postrzale, zaciskam zęby i podnoszę się na nogi. Wyjmuję z kieszeni latarkę, ustawiam moc na minimum i rozglądam się wokół siebie.

Podest jest w opłakanym stanie. Deski gotowe są pęknąć przy większym ciężarze, pełno tu dziur i ubytków. Gdyby zobaczył to człowiek od bezpieczeństwa pracy, chyba zszedłby na zawal

serca. Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby tutaj wejść nawet w pojedynkę. A to marne drewno ma utrzymać trzech mężczyzn i ciężkie, wypchane plecaki.

Kieruję światło na pozbawione drzwi wejście do wnętrza wiatraka, daję dwa kroki i nie mijając prowizorycznego progu, zaglądam do środka.

Nie wszystko jednak stracone. Może i znajdujące się na parterze schody faktycznie uległy presji czasu albo ugięły się przed gniewem leżących na dole mutantów, ale piętro wydaje się solidne. Na tyle, na ile może wyglądać drewno po kilkudziesięciu latach braku zainteresowania ze strony człowieka: pokryte kurzem, pajęczynami, rozdęte nieco wilgocią, lecz wciąż na swoim posterunku.

Ostrożnie podchodzę do krawędzi, przy której zalegli kompani, i migam światłem.

– Można? – pyta Siny.

– Dawaj – odpowiadam. – Tylko ostrożnie. Jedna deska już poleciała.

Nie wiem, czy stare belki będą w stanie nas utrzymać, ale nie mamy przecież większego wyboru. Musimy gdzieś odpocząć, a nocleg na zewnątrz to samobójstwo. Można by było przespać się na drzewie, ale ani to bezpieczne, ani wygodne. Wiatrak to faktycznie nasz najlepszy straż. Jedyny, który można brać na poważnie pod uwagę.

Siny wspina się na Hiszpana i podobnie jak ja przed chwilą, udając człowieka pająka, brnie powoli w górę. Staję w szerokim rozkroku, pochylam się i modłę w duchu, żeby jednak drewno nie było tak stare i słabe, na jakie wygląda.

– Daj rękę, jak będziesz blisko – mówię.

W odpowiedzi słyszę jedynie ciche przekleństwa i szuranie butów o kamienie. Może i Siny potrafi przyłożyć, nie zdziadział jeszcze do reszty, ale nie jest już młodym, wysportowanym lekkoatletą. Pesel zdążył zrobić swoje i nic już tego nie zmieni.

W słabiutkim świetle latarki dostrzegam rękę, chwytam ją bez chwili wahania i ciągnę stalkera w górę. Drewno jęczy ostrzegawczo, mam wrażenie, że cały balkon runie zaraz w dół i

to wcale nie nocleg będzie wtedy naszym największym problemem.

– Włóż, do cholery – syczę przez zęby.

Siny w końcu daje radę oprzeć nogi o kamienie, przerzuca środek ciężkości na górę i z głośnym jękiem wtacza się na belki.

– Pieprzony, cholerny Kiryłow – dyszy, leżąc na plecach. – Żeby mu dupę urwało.

– SKS, Siny. To SKS.

– Co?

– Starość, kurwa, starość.

– Pieprz się, młody. Pomóż lepiej ładunek tu wrzucić.

– To idź do mutantów. Jakby co, to wal. Ładnie je widać.

– Nie ucz ojca dzieci robić. I dajcie mi broń z dołu.

– Hiszpan – rzucam w ciemność. – Podawaj.

Łapię karabin Sinego, przekazuję go stalkerowi, ten udaje się do środka i zostawia mnie sam na sam z Hiszpanem.

– Podajesz czy podziwiasz okolicę? – mówię po chwili.

– Nie da rady plecaków wrzucić. Za ciężkie i za wysoko.

– Spróbuj.

Mija kilka chwil, z dołu dobiegają przekleństwa, szeleści materiał, mlaskają odrywane od błota buty.

– Nie wrzucę, nie ma siły.

Szlag. Gdybyśmy mieli linę, nie byłoby problemu. Gdybyśmy... Ale nie mamy. Po co gdybać? Nic to nie zmieni, a ładunek nadal będzie leżał na dole. Nie możemy czekać. No w zasadzie możemy, ale każda sekunda zwłoki zwiększa ryzyko. O ile ja i Siny jesteśmy w miarę bezpieczni, tak Hiszpan znajduje się jeszcze na dole, a to niezbyt ciekawe położenie, zwłaszcza kiedy nie widzisz nawet własnego nosa.

I wtedy doznaję olśnienia.

– Odepnij pasek z karabinu. Wezmę nasze, powiązemy je i wciągniemy wszystko na górę.

– Myślisz, że wytrzymają?

– Wolisz wchodzić i schodzić po graty?

– Moglibyśmy wyjąć trochę sprzętu. Raczej nikt tu nie będzie łaził, a mutanty też nie zrobią z tego użytku.

– Nie – mówię twardo. – Obudzimy się potem z ręką w nocniku, a długa droga przed nami.

– Dobra, masz rację. Rób swoje.

Sklecenie wszystkiego do kupy zajmuje mi kilka minut. Odczepić, poluzować, przyczepić znowu, tym razem w innym miejscu – niby proste, manualne zadanie, a jednak drżące ręce nie chcą współpracować. Nie chodzi już nawet o stres. Jestem zwyczajnie, po ludzku zmęczony.

– Dobra, gotów. Rzuć mi swój, to go dosztukuję – mówię cicho, zbliżając się jednocześnie do krawędzi.

Cisza.

– Ej? – podnoszę nieco głos. – Hiszpan, do kurwy nędzy, nie rób sobie jaj.

I wtedy to słyszę: delikatny, dobiegający gdzieś z dołu i niemal niesłyszalny, gardłowy warkot. Jak gdyby gdzieś daleko ktoś odpalił silnik motocykla. I nawet pomimo natłoku wydarzeń, potwornego, rozlewającego się po ciele zmęczenia i faktu, że nie raz i nie dwa zdarzało mi się mieć omamy słuchowe, wiem, że nie jest to wcale wymysł mojej psychiki.

Mutanty – dociera do mnie.

Padają strzały.

Światło i huk mieszają się ze sobą w diabelnym tańcu, błyskawicznie sięgam po leżący obok mnie automat, jednym ruchem zrzucam selektor na dół, przytulam się do stopki karabinu i mierzę w ciemność. Szansa na ciche, bezproblemowe wejście do kryjówki umiera bezpowrotnie na moich oczach. Słyszę padające z wewnątrz wiatraka strzały, Siny krzyczy coś niewyraźnie, w uszach mam pisk, w gardle rośnie kula strachu.

– Hiszpan! Godzina! – drę się na całe gardło.

– Przede mną, kurwa – krzyczy stalker i ponownie naciska spust.

Okolica rozjarza się na mniej niż sekundę, wydaje mi się, że dostrzegam ruch na dwunastej, odwracam lufę w tamtą stronę i daję ognia. Nie mam pojęcia, czy trafiłem, nie jestem w stanie nawet ustalić, czy faktycznie coś tam było, ale i tak staram się pomóc.

– Do środka! – odzywa się Siny. – Gazem!

Znów pada seria, dźwięk wybuchającego prochu zgrywa się z mrozącym krew w żyłach wyciem, ponownie strzelam w ciemność, lewą ręką sięgam do kieszeni, odpalam latarkę na pełną moc i przejeżdżam snopem światła po trawie. Rozmyte kształty przesuwają się upiornie szybko. Staram się zliczyć osobniki, ale to zbyt ciężki trud – nie w nocy, nie przy takiej prędkości. Jedno jest pewne: mutanty nie są głupie. Nie atakują frontalnie, nie rzucają się na oślep, a metodycznie i z zatrważającą rozważą coraz bardziej zaciskają pętlę okrążenia.

– Do środka. Szybko! – krzyczę na tyle, na ile pozwala mi gardło.

– Kryj! – wrzeszczy znajdujący się na dole stalker.

Lufa automatu rzyga ogniem, staram się wziąć poprawkę na ruch i trafić choćby jednego osobnika, ale to pobożne życzenia. Są zbyt szybkie, zbyt nieprzewidywalne, a wysoka trawa, w której pędzą, wcale nie gra na moją korzyść. Nie zmienia to jednak faktu, że próbuję. Bo co innego mi pozostało?

Siny krzyczy coś z wnętrza wiatraka, chcę rzucić się w tamtą stronę, gdy nagle coś uderza mnie w głowę. Serce przyspiesza gwałtownie, klękam na jedno kolano, syczę z bólu i przykładam rękę do potylicy. Ki cholera? Kamień? Skąd niby? Może kawałek drewna z góry postanowił zrobić mi niespodziankę?

Sprawdzam dłonią, czy nie leci mi krew z głowy.

Co to, do cholery, było?

– Kojot! – słyszę z wewnątrz głos Siniego.

Podnoszę się błyskawicznie, odrywam karabin od ramienia i w dwóch susach znajduję się obok niego.

Pracująca teraz na maksymalnej jasności latarka starego obmywa wnętrze, podziurawione kulami mutanty leżą niemal na środku parteru, plamy krwi zdobią drewniane deski i tworzą płytkie, karmazynowe jeziora łączące się ze sobą małymi cieśninami. A więc i tak je utłukliśmy. Widać jednak mogliśmy zrobić to od razu.

Sekundę później do środka wbiega Hiszpan, rzuca głową na prawo i lewo, po czym dopada do ściany i patrzy w kierunku wyrwy, przez którą niedawno oglądaliśmy śpiące mięsacze.

– Wspinaj się, do cholery! – krzyczę, osłaniając wejście.

– Po czym niby?

Rozglądam się pobieżnie, szukając drogi, którą mógłby wybrać Hiszpan, ale szybko orientuję się, że to zbyt bezpieczne. Jest w pułapce. O ile na górze można się czuć względnie bezpiecznie, jeśli zastawi się jedno wejście, to cały wiatrak nie jest szczelnie zamkniętym i obwarowanym schronem. To tylko pamiętająca dawne czasy ruina, która jeszcze jakimś cudem trzyma się w jednym kawałku. Stare worki, trochę połamanych drewnianych belek i desek, służących niegdyś za schody. Nie ma tu nawet skrawka użytecznego sprzętu, który moglibyśmy wykorzystać do obrony.

Siny klnie pod nosem, z zewnątrz dobiega wycie i gardłowy, wściekły warkot psów. Są coraz bliżej, okrążają budynek i niechybnie spróbują zaatakować. Muszą być naprawdę głodne, jeśli decydują się angażować w potyczkę z uzbrojonym, mającym świadomość ich obecności przeciwnikiem.

Hiszpan rozgląda się wokół, spojrzenie biega od lewej do prawej, w końcu stalker klnie głośno, rzuca AKSU na ziemię, podbiega do przeciwległej ściany i maca ułożoną z kamieni kupę gruzu.

– Poświęć któryś, do cholery!

Światło latarki wędruje w jego kierunku, w końcu stalkerowi udaje się znaleźć oparcie i wysoka, barczysta sylwetka powoli brnie w górę.

I wtedy dostrzegam psa. Stoi tuż przy dziurze w ścianie. Chudy, na nienaturalnie długich i cienkich łapach, z łbem pozbawionym oczu i w całości pokryty szaroburą naroślą, z której gdzieś wyrastają rzadkie placki sierści.

Nie certolę się, nie czekam, mam gdzieś, czy ślepek nas wyniucha albo usłyszy. Nie zwracając uwagi na reakcję Siniego, po prostu zgrywam muszkę ze szczerbinką i naciskam spust.

Ryk karabinu ogłusza mnie na chwilę, Hiszpan krzyczy coś niezrozumiałego, patrzę w kierunku celu i mrugam parę razy, jakby nie wierząc w to, co widzę.

– Co ty, do cholery, robisz? – Siny kieruje lufę w miejsce, do którego biję, i składa się do strzału. – Widziałeś coś?

Pocisk ważący prawie osiem gramów i poruszający się z prędkością siedmuset piętnastu metrów na sekundę powinien zrobić z psa miazgę; wejść w ciało, rozedrzeć tkanki, skruszyć kości czaszki i wylecieć z drugiej strony, pozostawiając stygnące truchło na mokrej ziemi. Tak powinno być. To tak samo jasne jak fakt, że słońce wstaje na wschodzie.

A tu niespodzianka! Jednak coś jest nie tak.

Ślepek stoi tak, jak stał, trzęsie łbem, zwraca pysk to w lewo, to znów w prawo, jakby zupełnie nie przejął się trafieniem. Bo że trafiłem, jest oczywiste. Zbyt mała odległość, bym chybił.

– Ślepek przecież! Tutaj. – Oko z powrotem ląduje przy celowniku, paliczek znów naciska na spust.

Raz i drugi rozbrzmiewa charakterystyczny trzask kałacha, odrywam się od automatu, spoglądam, nie wierząc własnym oczom, i w końcu dociera do mnie istota tej dziwacznej sytuacji.

Siny dopada do mnie, podnosi mój karabin do góry i patrzy mi prosto w oczy.

– *Blad!*, co ty odpieprzasz? Kojot? Tam nic nie ma.

– Jest. Ślepek. Tam – mówię i z przerażeniem stwierdzam, że wcale tak nie jest. Tam nic nie ma. NIE MA!

Kręci mi się w głowie, czuję, jak lecę w tył, żylasta dłoń łapie mnie w ostatniej chwili i pomaga usiąść na deskach. Robi mi się niedobrze, oczy zachodzą mgłą, w uszach pobrzmiewa nienaturalny, głośny pisk.

– Słyszysz mnie? – dobiega gdzieś z oddali.

Próbuję odpowiedzieć, dać znać, że jestem i słyszę, ale z ust wydobywa się jedynie niezrozumiały bełkot. Przerażenie chwytą mnie za kark, ostre jak igła uczucie czyjejs obecności wwierca mi się w mózg i niczym oślizgła macka przejeżdża we wnętrzu czaszki. Chcę krzyknąć, płakać, zgrzytać zębami, ale nie jestem w stanie wziąć nawet porządnego oddechu. Jakbym był gościem w muzeum – nic nieznaczącym odwiedzającym, któremu zabroniono dotykać eksponatów.

Coś uderza mnie w twarz, robi mi się gorąco, wściekłość miesza się z przerażeniem, świat odpływa gdzieś daleko, pozostawiając mnie w nieprzeniknionej ciemności. Zapadam się w siebie,

Świetlik patrzy na mnie oskarżycielsko, Kiryłow śmieje mi się prosto w twarz, Docent trzyma makarowa i powoli naciska na spust.

Zginę. Jeszcze tylko moment, jedna chwila i będzie po wszystkim.

– KOJOT!

Jakby ktoś wyjął nagle długą, stalową igłę z wnętrza mojej czaszki.

Leżę na plecach, oświetlona twarz Siniego pochyla się nade mną, zaraz obok dostrzegam siedzącego Hiszpana.

Gdzie jestem? Co to było?

Przekręcam się na bok, myśli na chwilę odlatują daleko, żołądek nie wytrzymuje i wyrzucam na deski jego lichą zawartość.

– Żyjesz? – pyta Siny.

– Co... co... – Próbuję ułożyć słowa, ale napotykam niewidzialną, niemożliwą do pokonania ścianę i milknę.

– Leż i się nie ruszaj. Wszyscy cisza.

Oddycham przez gardło, kwas z żołądka pali usta, ciało drga jak ogarnięte febrą. Z całej siły zaciskam powieki, z trudem podnoszę rękę i kładę ją na rozpalonym czole. Myśli przebiegają bez ładu i składu, obrazy z ostatnich kilku godzin migają niczym slajdy puszczonej w zawrotnym tempie multimedialnej prezentacji.

Ślepe psy ujadają gdzieś w okolicy, na piętrze zalega cisza i tylko niespokojne, szybkie oddechy świadczą, że ktoś jest obok.

Nie wiem, ile czasu leżę w bezruchu. Sekundy? Minuty? Całe godziny? Wszystko zlewa się w jeden potwornie nużący i wysysający świadomość moment.

– Walimy na krzyż. Poczekaj, aż wejdą głębiej – głos Siniego zdaje się ledwie przebijać przez chłodne, nocne powietrze.

Zaciskam zęby, znowu targają mną torsje, tym razem jednak udaje mi się powstrzymać wymioty i jęczę tylko, ciężko wypuszczając powietrze. Miewałem w życiu migreny, ale żadna z nich nie może się równać z tym, co właśnie przechodzę. Jakby ktoś wetknął mi do głowy wentyl, odkręcił zawór i czekał, aż ciśnienie rozsadzi mnie od środka.

Gardłowy warkot dobiega zupełnie zniecka, igła ponownie

wtapia się w mózg, na powiekach wybuchają setki barwnych plam. Serce uderza jak młotem, ryk i ostry pisk nadchodzą niespodziewanie i do spółki z gromem strzałów zalewają mnie niczym niszczycielska fala tsunami.

Krzyczę, choć z ust nie dobiega ani jeden dźwięk. A może tylko mi się wydaje? Nie wiem, co jest realne, rzeczywistość zdaje się miękka i plastyczna jak gorące, wyciągnięte z pieca żelazo.

Czy jestem tu naprawdę, czy to tylko moja wyobraźnia? Może leżę zapity w barze, Olga ściera stoliki, ostatni goście wychodzą z lokalu, czując w ustach gorzki smak wódki, w radiu pobrzmiwają ostatnie nuty szlagierów sprzed lat. Dobrze byłoby obudzić się w ciepłej sali. Choćby i z monstualnym kacem, ale w znajomych czterech ścianach.

A potem wszystko się urywa.

Milknie kawalkada ognia i ołowiu, gruby pled ciszy opada na okolicę, kryjąc wszystko pod ciężkim materiałem.

Ciśnienie w czaszce znika zupełnie, przygniatający mnie ciężar wyparowuje w ułamku sekundy, powietrze wypełnia usta i nos, po czym lepkiem strumieniem wraz ze smrodem prochu, wymiocin i krwi ląduje w płucach.

Otwieram załzawione oczy, szukam wzrokiem znajomych kształtów, dostrzegam stojących obok mnie kompanów i z ulgą uderzam głową o deski.

Nie wiem, co to było, i nie jestem w stanie głębiej się nad tym zastanowić. Ważne, że żyję. Mimo wszystko oddycham. Serce pompuje krew, a ciało z powrotem zaczyna być moje. Na próbę poruszam rękami, podkulam nogi i zwijam się w kłębek.

Żyję. Tylko to się liczy. Niczego więcej nie chcę.

* * *

Poranek przywitał nas gęstymi strugami deszczu i grzmotami odległej burzy.

– Ale cię ten nibypies poturbował. – Siny dopala papierosa i przydeptuje butem niedopałek. – Lepiej już?

Podnoszę kciuk i opieram się o ścianę. Głowa kiwa się na boki, w ustach wciąż zalega posmak wymiocin. Trzęsę się jak osika, ale

i tak jest lepiej niż kilka godzin temu.

– To nie jest normalne. – Siny siada na brzegu piętra, zwiesza nogi w dół i patrzy gdzieś w przestrzeń. – Nie tutaj.

– Chodzi ci o tego nibypsa? – pytam. – Widziałem parę sztuk kilka tygodni temu. Trochę dalej na północ, przy Czarnuszcze.

Siny kiwa głową.

– Za moich czasów w Rostoku urządzano polowania. Duża grupa, piętnastu albo dwudziestu chłopów, automaty, strzelby i *paszli* w teren. Tyle się tego wtedy wybijało, że przez miesiąc albo dwa nie widać było żadnej parszywej mordy. – Siny klęka przy plecaku i szuka czegoś w środku. – Ale ja nie o tym. Chodzi mi o to, że to nie pasuje do tego terenu. Popatrz. Ile zdążyliśmy przejść? Dwa kilometry? Troszkę więcej? A tutaj taka jatka. Przecież to nie był pierwszy lepszy mutant, tylko jakaś pieprzona maszyna do zabijania. Nie dość, że łąził ze ślepakami, to jeszcze ciebie położył. Przecież nie widzisz takich rzeczy codziennie.

– No przecież sam mówiłeś, że emisja była. Może się przenosiły z miejsca na miejsce i dostały pierdolca?

– Ale po co tak silny mutant z grupą ślepaków miałby się pchać blisko Kordonu? One nie są głupie. Założę się, że miały swój teren i spokojnie mogły tam polować. My ledwo daliśmy im radę. Przecież ta wataha bez problemu położyłaby kilka dzików czy mięsaczy. A dla nich tyle żarcia wystarczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem, młody. – Siny kręci głową. – Nie wiem, co chcę powiedzieć. Myślę głośno i po prostu mi to nie pasuje. Pozmieniało się tutaj.

– Ale wiatrak nadal stoi. Nigdy tu nie zachodziłem. Widziałem tylko z daleka.

– No widzisz. Człowiek całe życie się uczy. Przez jakiś czas miałem tutaj bazę wypadową.

– Gdzie? Tutaj dokładnie?

– Na górze, tam gdzie Hiszpan poszedł. Zresztą paru moich znajomych też tu zachodziło. Bezpiecznie w miarę było. Łatwo wejść, jak jeszcze schody stały. A i nad ziemią wysoko. Zaryglowało się drzwi, zastawiło komodę i *wsio*. Można spać. Ale

widzę, że od dawna nikt się tutaj nie kręcił. Oj, pozmieniało się, pozmieniało.

– No szlaki idą nieco inaczej. Łatwiej na północ skręcić. Teren dobry, duża widoczność, parę wiosek, w których można się przespać. Tylko ludzi więcej.

– Może tamtędy wrócimy – mówi Siny, potrząsa głową i spluwa przez lewe ramię. – Co ja pieprzę. Jeszcze mnie na planowanie wzięło.

– Ona słucha, co?

– Kiedyś przywiązywało się do tego większą wagę. Teraz widzę was: młodych, niepokornych, łamiących reguły. Za moich czasów to było nie do pomyślenia. Zastanawiać się nad powrotem? Wybrać tę samą drogę? Zapomnij. Cały czas trzeba było improwizować, patrzeć pod każdy kamień, całe kilometry jeździć brzuchem po ziemi.

– Słyszałem co nieco.

– Nic nie słyszałeś. – Siny odwraca się gwałtownie i patrzy prosto w oczy. – Uwierz mi. Możesz chodzić do Zony, myśleć, że znasz już każdy cal ziemi, przechodzić przez te same miejsca, widzieć, jak powoli wszystko niszczy i obraca się w proch, a Ona i tak cię zaskoczy. I zniszczy, jeśli tylko zechce. Ot tak. Według swojej woli.

Przeszywa mnie dreszcz.

To niby tylko słowa – zlepek głosek, które z pomocą mózgu i strun głosowych uciekają w zimne powietrze poranka. Jednak nie one sprawiają, że czuję to dziwne mrowienie w okolicach karku. Najważniejsze są oczy Sinego – jasne, zmęczone, chowające w głębi zwykłe, zwierzęce przerażenie, którego nie doświadczy nikt, kto żyje z dnia na dzień wśród bezpiecznych czterech ścian.

Uderzenia butów, szelest kurtki, skrzypienie wyginającego się drewna.

– Nie radzę wchodzić na górę. – Hiszpan pojawia się na schodach i niemal przyklejając się do ściany, pomału schodzi. – Wszystko tam przegniło. Dach jest dziurawy jak sito, a na deski to w ogóle nie wchodziłem. Łamię się od samego patrzenia. – Przejeżdża wzrokiem po naszych twarzach, podnosi brew. – A co

wy? Coś się stało? – pyta.

– Nie, nic – odpowiada Siny. – Trzeba będzie ruszać. Zbyt długo siedzimy w miejscu.

– A ty, Kojot, dasz radę iść? Poturbował cię ten skurwiel.

– Dam. Powoli, ale dam.

– Szybko i tak nie pójdziemy. Nie po tym, co się działo.

– No to co? *Paszli?* Trzeba sprzęt zgarnąć.

– Tak. O ile jeszcze coś z niego zostało – stwierdzam kwaśno i powoli podnoszę się z desek.

Mówi się, że w górach nie wspinaczka jest najtrudniejsza, a zejście. Tutaj jest akurat odwrotnie.

Hiszpan już po kilku chwilach jest na dole, Sinemu schodzi się nieco dłużej, ale wygląda to o niebo lepiej niż w nocy.

Czekam na swoją kolej, podchodzę do krawędzi balkonu, ciało nadal sprawia wrażenie lekko otumanionego i ciężkiego, więc kładę się na deskach i ześlizguję powoli w dół. Jedna stopa, później druga, dłonie, podobnie jak w nocy, zaciskam na wąskich szczelinach, syczę z wysiłku i ze wszystkich dostępnych mi sił staram się nie puścić fragmentów muru.

– Jakby co, będę cię łapał. – Hiszpan staje zaraz obok ściany i wyciąga przed siebie ręce.

Zerkam w dół, stalker wygląda, jakby miał po raz pierwszy wносить swoją nowo poślubioną małżonkę do mieszkania, z trudem powstrzymuję śmiech i powolutku zmierzam ku ziemi.

Dyszę ciężko, buty dotykają gruntu, opieram się o zimną, kamienną ścianę i wycieram dłonią spocone czoło.

Siny przegląda pakunki, wyrzuca na ziemię konserwy i butelki z wodą, ogląda wnętrza plecaków i ładuje manele z powrotem do środka.

– Wszystko się zgadza, nic nie zginęło. Na szczęście.

– To ja idę po karabin – stwierdza Hiszpan i oddala się w kierunku wejścia do wiatraka.

– Idziemy według planu czy...

– Nie. Nie pójdziemy na skos. – Siny kręci głową. – Widzisz te słupy? Tam, daleko.

– Widzę. Czyli rozdzielnia?

– Znasz teren?

– Omijałem, idąc od północy.

Stalker patrzy w dal, spluwa na ziemię, przykuca, wyjmując z kieszeni papierosa i wtyka go między wargi.

– Możemy iść na przełaj, fakt, szybciej będziemy na miejscu. Zaoszczędzimy kilka godzin marszu. Ale ten las... – Siny odpala papierosa, zaciąga się głęboko, wypuszcza chmurę dymu. – Może i odwykłem od tej okolicy, ale coś jest tam nie tak. Patrzę i patrzę, niby taki zwykły, bezlistny, szary. Prosty. Zbyt prosty.

– Doświadczenie się odzywa – stwierdzam. – Ale ja tam nie widzę niczego straszego. No las jak las.

– Nie czujesz tego? No powiedz, młody. Głupi przecież nie jesteś. Nieostrożny, z tego, co widzę, za szybko chcesz dojść do celu... ale przecież nie głupi. Docent głupich do siebie nie bierze. No więc popatrz tam, skup się. Nie myśl za dużo, nie interpretuj, nie włączaj w ogóle logiki. Poczuj to.

Stoję tak w bezruchu, szare chmury przewalają się powoli, drobnuteńkie krople deszczu opadają cicho na głowę, uderzają o kurtkę, rosą napojoną do granic możliwości glebę. Patrzę w las, obłoczki papierosowego dymu lecą w górę, wirują na powietrzu i rozpływają jak pustynny miraż.

Czekam na jakiś znak, zły omen, albo przynajmniej czarnego kota, który przebiegnie gdzieś w oddali, przecinając linię zagajnika. Tyle że nic się nie dzieje. Oczy zachodzą mi łzami, mrugam odruchowo, zerkam na obserwującego mnie Sinego i wzruszam ramionami.

– Może za młody jesteś? – mówi. – A może to tylko mnie wydaje się dziwne. Tak czy inaczej, jestem za rozdzielnią. Najwyżej zapytamy jeszcze Hiszpana.

Stalker pojawia się po chwili: w jednej dłoni karabin, w drugiej wiszący luźno ogon mutanta.

– Odciałem, to zabieram – informuje z uśmiechem. – Kasą najwyżej się podzielimy. Co wy na to, panowie?

– Możemy – przyznaje Siny i odrzuca wypalonego niemal w całości papierosa na ziemię. – Ale mamy problem.

– Co jest?

– Pójdziemy do rozdzielni. Na przełaj niebezpiecznie. Zresztą w razie czego będzie gdzie się przespać.

Hiszpan podnosi pytająco brwi, potem chowa ogon nibypsa do plecaka, staje w lekkim rozkroku i składa ręce na piersiach.

– To chyba nie najlepszy pomysł?

– Z powodu?

– Żaden ze mnie cykor, zrozumcie, ale Żyła tam bywał. Opowiadał trochę...

– I co? Pewnie mówił, żebyś z daleka miejsce omijał? – Siny staje naprzeciwko barczystego stalkera i świdruje go wzrokiem.

– Nie wnikał w szczegóły. Wspomniał to i owo.

– Głupi jesteś i tyle. Znam Żyłę. Wiesz, dlaczego tak gadał? Bo tam sobie artefakty łowił. Rozpuścił plotki, porznął głupa i o! Zysk murowany.

– A ty, Siny, skąd niby takie informacje masz? Chwalił ci się?

– I tak, i nie. Wygadał się kiedyś przez przypadek. Mnie to już zwisało, nie łąziłem za Kordon. Ale dwóm chłopaczkom sprzedałem informację. Zawsze to jakiś zysk.

Hiszpan purpurowieje na twarzy, wygląda jak wyciągnięty z jeziora rak, zbliża się o krok.

– To tyś go tak załatwił? A wspominał mi, że interes mu nie idzie. Rozpił się przez to, pracę stracił, komornik mu na głowie siadł. A wcześniej? Inny człowiek! Czy ciebie całkiem pojebało?

– Zbastuj, Hiszpan – mówi twardo Siny. – Trzeba było go posłuchać. Tylko koks, dziwki i dobra zabawa. Wiesz, że on naćpany tu chodził? Prędzej czy później by go coś zabiło. Myślał, że Boga za nogi złapał! Ja mu, człowieku, życie uratowałem, więc przestań pieprzyć.

– A kto ty jesteś, żeby mu życie układać! Ale mnie wkurwiłeś teraz. Rozumu nie masz?

– Ej, panowie. – Postanawiam wciąć się do dyskusji na trzeciego. – Może tak obydwaj się uspokoicie. Mieliśmy iść, tak? Spory kawałek jeszcze do przejścia. Wyjdziemy stąd, albo przynajmniej zatrzymamy się gdzieś dalej, to będziecie się mogli pokłócić. Teraz nie czas na przepychanki słowne. Wybierzmy drogę i chodźmy, bo nas w polu noc zastanie.

Patrzą na mnie obydwaj, w ciszy słysząc uderzenia deszczu, w końcu Siny kiwa głową, obraca się na pięcie, podnosi swoje graty i rusza w kierunku mającego w oddali słupa energetycznego.

– Pan idealny się znalazł, psia jego mać – burczy pod nosem Hiszpan. – Kiryłowa pouczał, a sam sumienia nie ma.

– Daj spokój – mówię, z trudem wciskam się w paski plecaka i ruszam za Sinym. – Jeszcze sobie powrzucacie na spokojnie. A teraz chodź, bo nie mam zamiaru obozować w polu.

* * *

Rozpadało się na dobre.

W Zonie prędzej czy później trafisz na deszcz. To jak wakacje w Wielkiej Brytanii – nawet jeśli nie pada w tej chwili, to z pewnością niedługo zacznie. Taki tutaj klimat.

Jedynym plusem takiego stanu rzeczy jest fakt, że łatwiej wypatrzeć anomalię. Takie trampoliny albo grawikoncentraty pięknie zarysowują się podczas deszczu. Da się je zauważyć nawet bez użycia dodatkowego, prowizorycznego sprzętu, a to zdecydowanie zwiększa szansę na przeżycie. Oczywiście jeśli ktoś wie, gdzie spoglądać.

Idziemy powoli, w równych odstępach. Siny, prowadząc naszą eskapadę, co jakiś czas rzuca mutrą, czeka chwilę, po czym podchodzi i zbiera ją z szutrowej nawierzchni polnej drogi. Hiszpan zamyka stawkę, wodząc lufą karabinu po okolicy.

Wiatr miota koronami potężnych topoli, strugi zimnego, wiosennego deszczu leją się z nieba, przenikają materiał kurtki i ochładzają rozgrzane marszem ciało. Odległe grzmoty suną przez nieużytki, zagłuszając nieprzyjemne mlaskanie przemoczonych butów.

Z prawej mijamy ogromny, zardzewiały słup wysokiego napięcia, z którego zwisają kiście brązowych, zmutowanych gałązek spalonego puchu, daleko po lewej majaczy małe bajorko wypełnione mętną, rudawą wodą i okraszone dziwną, powykręcaną trzcina, hen, przed nami, samotna metalowa konstrukcja nie wytrzymała presji czasu, złamała się w pół i zaległa na środku drogi.

Siny zatrzymuje się nagle, podnosi rękę i rzuca mutrą. Przesiąknięty wodą bandaż, niczym ogon komety, frunie za nakrętką, zbliża się do nawierzchni i gdy już ma jej dotknąć, z ledwo widocznego pęknięcia w ziemi wyrasta potężny słup ognia.

Wzdrygam się mimowolnie i choć znajduję się dobrych parę metrów od ognistego filaru, czuję, jak żar błyskawicznie rozgrzewa skórę. Jeszcze kawałek i z pewnością spaliłby mi brwi.

– Iskrownik – komentuje Hiszpan i klęka na jedno kolano. – Jak jest jeden, to i drugi się znajdzie. I trzeci.

– Iskrownik? Chyba raczej spalacz – stwierdzam i odsuwam się ostrożnie od wyrastającej na dwa metry w górę ognistej kolumny.

– Iskrownik, spalacz, żarnik. Jak zwał, tak zwał. – Siny macha ręką. – Gorzej, że Hiszpan ma rację. Trzeba zejść z kursu. Tego cholerstwa tak łatwo nie rozpoznasz. Nie przy tej pogodzie. Idziemy na prawo, polami.

– Słyszałem o gościach, którzy się zakładali, że papierosa od iskrownika odpalą – mówi Hiszpan, gdy schodzimy z utartego szlaku. – Co ci ludzie z nudów nie wymyślą... W dupach się przewraca od wolnego czasu.

– Ta, też o tym słyszałem. – Przystępuję nad kałużą, ślizgam się na błocie i tylko cudem unikam upadku. – Nie skończyło się to dobrze.

– Może skupcie się, do cholery, na drodze, zamiast kłapać jęzorami, a? – rzuca za siebie Siny, brnąc powoli w wysokiej trawie. – Przypomnieć ci, Kojot, wczorajsze wejście? Nie? No to morda w kubeł.

Gryzę się w język, wciągam głęboko powietrze i liczę do dziesięciu.

To zupełnie normalne, że w grupie kompletnie różnych, niezających się za dobrze osób będą tarcia. To nieuniknione. Ten nie lubi tego, tamten jeszcze czegoś innego – nie da się wyłapać kilku ludzi i z góry przykazać im, żeby byli dla siebie mili i serdeczni. Zresztą kto tego potrzebuje? Zona to nie miejsce na przytulanie, rzewne łzy i czułe klepanie po ramieniu.

Tyle że tutaj nie chodzi o całkowicie naturalne, ludzkie przywary. Jest coś jeszcze i dopiero teraz zaczynam to dostrzegać.

To Ona.

Z początku wydaje się, że to nic takiego. Ot, dziwne, snujące się gdzieś w głębi uczucie, że coś jest nie w porządku. Jak wtedy, gdy dokładasz ostatni element układanki, odsuwasz się, oceniasz swoje dzieło i choć na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się pasować, w głowie odczuwasz minimalny, trudny do zidentyfikowania dysonans. Kombinujesz godzinami, nie możesz spać, wszystko robisz po linii najmniejszego oporu, olewasz obowiązki, byle tylko odkryć, co takiego nie daje ci spokoju – byle tylko przeciąć ten węzeł gordyjski i dotrzeć do prawdy.

Bo wiesz, że ona gdzieś tam jest. Czai się wśród cieni, ukryta przed wzrokiem, zamaskowana strachem.

I nagle zdajesz sobie sprawę, że wolisz żyć z wbijającą się w mózg igłą dysonansu, niż dostrzec pełny obrazek. Nie z powodu lenistwa, braku chęci czy motywacji. Nie. Rezygnujesz w obawie, że dostrzeżesz coś, co nigdy nie powinno było ujrzeć światła dziennego.

Bo czasem odpowiedź i prawda, której się szuka, może okazać się nie tą, którą się chce znaleźć.

* * *

Stoją na uboczu jak wykute z marmuru pomniki. Poznaczone krwią i strupami głowy, przemoczone do cna kombinezony, ręce ułożone wzdłuż ciała, puste kabury przy pasach i zwisające smętnie ładownice.

Mówi się, że człowiek odpoczywa dopiero po śmierci.

Cóż, w ich przypadku najwyraźniej to nie działa.

– Czterech – mówię i odrywam oczy od lornetki. – Przynajmniej tutaj. Nie widzę, co jest za ciężarówką.

– Znaleźli sobie miejsce, psia ich mać. – Hiszpan popatruje na mnie, to znów na Sinego. – Może nas nie zauważą? Przecież to głupole.

– Tego nie wiesz na pewno – wtrąca Siny. – Ale fakt, możemy

spróbować. Ale co tu robi ciężarówka? Nie pamiętam jej, a wygląda, jakby stała tutaj wieczność.

– A zgadniesz? – pytam. – Jak dla mnie, to i zombiaki mogły ją przyciągnąć. Ale jak już stoimy, to może mały popas?

– A co, Kojot? Apetyt wrócił?

– Apetyt to ja akurat wciąż mam, tylko czasu nie było. Poza tym łeb mnie dalej trochę pobolewa. A teraz odpoczniemy chwilę, może mi przejdzie...

– W deszczu chcesz siedzieć? – Siny podnosi się lekko i wystawia głowę znad morza wysokiej trawy.

Widać już, że jesteśmy głębiej w Zonie. Ani ta trawa zielona, ani jeszcze nie ruda – po prostu bardziej spłowieła i jakby cieńsza niż na Dużej Ziemi.

– A gdzie najbliższy przystanek będziemy mieli? – Otwieram plecak, wygrzebuję pierwszą lepszą puszkę i nie czekając na decyzję, podważam wieczko nożem. – Dopiero w rozdzielni przecież. Chyba że zbaczamy kompletnie z kursu. Dalej na południe jest sioło, ale to znowu nie do końca nasz kierunek.

Siny patrzy na mnie, kiwa lekko głową.

– W sumie to i racja. I tak cały mokry jestem – mówi.

– Plus jest taki, że nawet jak się coś ruszy, to nam koledzy z Wolności dadzą znać. – Chwytam kawałek twardego jak beton chleba i smaruję go mielonką. – Co prawda będą jęczeć, ale lepsze to niż nic.

– To Wolność? – pyta zaciekawiony Hiszpan.

– Słabo widać, ale to chyba ich kombinemony.

– No to chłopaki sobie zawędrowali. – Siny idzie za moim przykładem i wyciąga konserwę. – Ciekawe, co tu robili?

– Chcesz, to idź zapytaj. – Na twarzy Hiszpana pojawia się wredny uśmiech. – Może ci, że tak to ujmę, sprzedadzą informację.

– Odpierdol się, czarnuchu.

Krzuszę się mielonką, z trudem powstrzymując śmiech.

– Jaki ty, Siny, masz problem, co? Przecież wiesz, że mam rację. To co zrobiłeś z Żyłą, to chujnia w najczystszej postaci. Mnie też byś tak potraktował? – pyta Hiszpan.

– Każdego, kto by się tak zachowywał.

– Ciebie to już Bóg opuścił. Lepszy niby jesteś? Sam biznesy kręciłeś, kasę zarabiałeś. Dla Docenta robiłeś, chociaż Kojotowi powiedziałeś, że to zły człowiek. Lubisz się wpieprzać w nie swoje interesy?

Siny odkłada nóż na konserwę, stawia wszystko na ziemi, splata dłonie i patrzy spode łba na Hiszpana.

– Nie. Nie jestem lepszy. Ale Żyła to skurwiel. Zapewniam cię, że niejednego na kasę wyrolował. On chciał być panem i władcą. Wiesz, że żonę miał?

– No wiem.

– Wiesz, czemu odeszła? Bo ćpał i pił za kasę z artefaktów, a potem tłukł tę swoją kobietę do nieprzytomności. Długi też miał, owszem. Zapożyczał się u ludzi, a potem śmiał im się w twarz, gdy prosili o zwrot. Wiesz, kiedy mi się wygadał? Jak przyszedłem po pieniądze. Miał w dupie wszystko i wszystkich.

– Ale to jego życie, Siny. Jego. Nikogo innego! Po cholerę się wtrącałeś? Może gdyby...

– Może gdyby, może gdyby – przerywa Siny. – Może gdyby zachowywał się normalnie, do niczego by nie doszło. Może gdyby chciał mi oddać kasę, nie sprzedałbym informacji. Rozumiesz już? Mam w dupie, czy on by się zapił, zaćpał albo po prostu powiesił na gałęzi pod wpływem dekadentckiej twórczości. – Stalker otwiera konserwę, chwytając na czubek noża kawałek mięsa i dodaje: – Stoczyłby się tak czy inaczej. Wyświadczyłem mu przysługę. Może wróci wreszcie do normalności.

Siedzimy w ciszy, Hiszpan spogląda co jakiś czas na Siniego, deszcz leje jak z cebra i powoli zaczynam żałować, że zdecydowaliśmy się na popas w takim miejscu. Trzeba było przynajmniej pod jakieś drzewo wleźć. Ale jak mówi stara maksyma: mądry Polak po szkodzie. Posiłek prawie skończony, kompani nabzdyczeni. Brakuje jeszcze tylko, żeby któryś z zombiaków zdecydował się nagle ruszyć w naszą stronę.

– Nie rozumiem tego – odzywam się tylko po to, by przerwać niezręczną ciszę. – Po cholerę Kiryłow nas tu wysłał? Ani to mądre, ani logiczne. Nie lepiej było zaopatrzyć swoich, dać lewą

kasę i nawet bez oficjalnego rozkazu zlecić wykonanie zadania? Przecież my, na dobrą sprawę, nawet się nie znamy. A oni mają te swoje wojenstalkerskie oddziały.

– Już mówiłem: to nie jest oficjalna akcja. Nasz sierżantki, blad' zawszona, gdyby mógł, na pewno posłałby po nich i śmigłowiec. Ale widać nie może. – Siny spluwa na ziemię. – Tonący brzytwy się chwyta.

– To mi się nie klei. Zresztą jak już wrócimy, to co? Po prostu nas odstrzelą? Dobro zbywalne?

– A ktoś im zabroni? – pyta Hiszpan cicho.

– Ale przecież Kiryłow wie, że na to wpadliśmy. Na pewno spodziewa się, że będziemy próbować jakoś się z tego wykaraskać.

– Wie, wie. I już się na to przygotował.

– No więc co robimy?

– Na razie? Ruszmy się wreszcie, bo tu zamarzniemy albo się jakiegos zapalenia płuc nabawimy. – Siny podnosi się z ziemi, wyciera nóż o spodnie i chowa go do skórzanej pochwy. – Kojot, poprowadzisz?

– Mogę.

– No to już.

Spoglądam w stronę stojących na drodze trupów, biorę nakrętkę w dłoń i ruszam nisko przy ziemi. Mutra po mutrze, metr za metrem brnę przed siebie, przyglądam się falowaniu trawy, kątem oka dostrzegam ledwo widoczną trampolinę i skręcam tak, by dzieliła nas od niej jak największa możliwa odległość. Stojące na drodze zombie nawet nie zwracają na nas uwagi. Krzywe mordy patrzą gdzieś w przestrzeń niewidzącymi oczami, widzę jeszcze dwóch, schowanych do tej pory za ciężarówką, i kręcę głową. Nie moja to rola, żeby ich obserwować. Muszę skupić się na ścieżce i przeprowadzić nas bezpiecznie do celu.

Mija godzina, włączemy się jak muchy w smole, teren opada nieco, ciężarówka zostaje w tyle, stojące na drodze trupy znikają z oczu zasłonięte pagórkami. Deszcz cichnie, wiatr uspokaja się odrobinę, stalowe, pędzące daleko na południu chmury rzędą,

robiąc miejsce dla odłamków błękitnego nieba. Co raz rzucam mutrą, rozglądam się uważnie, zbliżam się do niej i podnoszę za kompletnie przemoczony bandaż.

– Stój, stój – słyszę głos Hiszpana. – Tam! Na drugiej! Artefakt.

Przystaję od razu, zerkam w rzeczoną stronę, mrużę oczy.

– Nic tam nie ma – mówię, dobywam manierki i upijam wody. – To tylko odbłysek.

– Przypatrz się.

– No coś tam jest – przyznaje Siny. – Pewnie kwiatek albo rybka. Tylko co nam po tym? Nawet pojemnika nie mamy.

– Wyłowić zawsze można i zostawić na potem.

Trawersuję dotychczasową ścieżkę i przystaję nieco bliżej znaleziska.

Faktycznie, coś tam sobie wisi w powietrzu. Mały owal wiruje wokół własnej osi, mieniąc się setką barw i zdając się zapraszać, by do niego podejść. Wiem, że anomalie to bezrozumne twory chorej, naznaczonej piętnem Katastrofy ziemi, ale w tym przypadku nie jestem w stanie uciec od myśli, że ten niewielki, kuszący kamyczek jest przynętą – sprytnie zamontowanym, unoszącym się ponad linią trawy robakiem, mającym skusić nas, byśmy nadziali się na haczyk.

– Idziemy? – pyta Hiszpan, zerkając to na mnie, to na Sinego. – Zawsze to jakiś zysk.

Wiem, że chciałby. Sam zresztą też biję się z myślami. W końcu to kawałek od nas. Drobną korekta drogi, kilkanaście metrów w bok, a przy powrocie będzie można wziąć go do pojemnika. Oczywiście jeśli znajdziemy jakiś w bunkrze.

Czysty, niemal bezproblemowy zysk.

I właśnie dlatego kręcę głową.

– Kojot, do cholery – wścieka się Hiszpan. – Przecież to kawałek.

– Ja prowadzę, więc moja decyzja. Nie ryzykujemy. Chcesz, idź, ale ja cię ratować nie będę.

Widzę, jak Siny delikatnie przymyka oczy, wzdycha, poprawia plecak i kieruje się w moją stronę.

– Taka to z wami robota – stwierdza kwaśno Hiszpan, ale nie

rusza się z miejsca. – Przecież wiem, że tam anomalia. Wziąłbym mutry, kawałek patyka i już. Po kłopotcie.

– Hiszpan, do cholery. – Odwracam się w kierunku stalkera. – Pamiętasz, po co tu jesteśmy? Ja cię rozumiem. Serio. Też pragnąłbym coś zarobić. W końcu nie z naszego wyboru tutaj jesteśmy. I jeszcze żeby nam płacili! Cudnie by było. Ale nie. Nie jesteśmy na chodce ani na standardowej robocie. Wczoraj mało co nie zdechłem. Myślisz, że chcę to powtórzyć? Bardziej doświadczony jesteś? Możliwe, nie przeczę. Ale pomyślunku u ciebie za grosz. Masz rodzinę, córkę i chcesz dla kasy tak głupio ryzykować? Człowieku! My i tak mamy przesrane. Jak nie wymyślimy, co zrobić z Kiryłowem, pójdziemy do piachu!

Stoję w miejscu, buty zapadają się w błoto, wilgotne, chłodne powietrze wpada do płuc całymi litrami.

To nie ja, przebiega mi przez myśl. Przecież ja go rozumiem. Ba, gdyby nie fakt, że idę pierwszy, pewnie sam bym to zaproponował. Więc skąd ta cała złość?

– Wrócimy tu – mówię już nieco spokojniej. – Wiemy, gdzie jest artefakt. Wyłowimy go, jak będziemy mieli pojemnik.

Hiszpan spogląda na mnie spod byka i wzdycha.

– Może i masz rację. Chodźmy, bo zamarzam – mówi.

Odwracam się od kompanów, powoli zmierzam ku szutrowej nawierzchni dawno już nieużywanej drogi, wspinam się po zarośniętym poboczu i dopiero gdy stoję na szczycie, orientuję się, gdzie jestem.

– O cholera – mówię cicho.

– Za każdym razem robi wrażenie. – Siny staje obok mnie, na dłoń wysypuje z paczki ostatnie trzy papierosy, częstuje nas, po czym wyrzuca kartonik na pobocze. – Za każdym razem.

Kiedy wchodzisz w Strefę, z początku wszystko wydaje się normalne. No, prawie wszystko, bo już przy samym Kordonie widać pewne różnice względem Dużej Ziemi: skarłate, powykręcane nienaturalnie drzewa, przemykające w oddali mutanty, poznaczone zębem czasu konstrukcje, których od lat nikt nie odwiedzał i nie konserwował. Nawet światło słońca jest inne – ostre, nieprzyjazne, karcące. Jak gdyby chciało powiedzieć,

że nic dobrego tutaj się nie wydarzy. Dla kogoś, kto jest tu pierwszy raz, to jak ujrzeć kompletnie nowy, całkiem dziki świat.

Ale dopiero tutaj człowiek zdaje sobie sprawę, jak daleko odszedł od cywilizacji i jak mało rozumie. Żaden ze mnie naukowiec, na uniwersytet nigdy nie poszedłem, więc nawet nie mam podstaw, żeby wyjaśnić to, co widzę.

Jakby ktoś wziął linijkę, przyłożył ją do ziemi i przejechał po niej gigantycznym ołówkiem, odcinając część obrazka.

Do tej pory szliśmy przez wysokie trawy upstrzone może nie świeżą i soczystą, ale jednak zielenią. A tam? Przed nami? Niskie, ledwie odstające od powierzchni zielsko o rudym, metalicznym odcieniu, pojedyncze drzewka, przypominające bardziej wysokie krzewy, drewniane słupy z pociętymi niczym połamane zapałki i rozwarstwionymi pęczkami kabli, wyglądające, jakby rozsiadły się po obu stronach zwirowej drogi. Hen, daleko majaczy czarny zarys bezmiennego zagajnika, tuż obok niego zamieniona w perzynę ruina chałupy i kilka pordzewiałych gruchotów, których nikt o zdrowych zmysłach nie nazwałby teraz samochodami.

Zaciągam się dymem, gorzki posmak tytoniu zostaje na języku, więc spluwam przed siebie, poprawiam karabin i zerkam na licznik Geigera.

Zupełnie jak u Dantego – pierwszy krąg piekła za nami. Pozostaje tylko iść w głąb.

– To tam. – Hiszpan wskazuje ręką na prawo, ku szarej sylwetce budynku.

Nawet z tej odległości jestem w stanie dostrzec, jak daleko posunął się tam rozkład: zwoje grubych kabli leżą na ziemi, część stalowych konstrukcji upadła, niektóre zaś przechylone niebezpiecznie trwają jeszcze na swoich pozycjach, choć wydaje się, że wystarczy ich tylko dotknąć, a podzielą losy swoich pobratymców.

Sam parterowy budynek, zbudowany na podstawie litery T wcale nie wygląda lepiej. Z czarnymi, straszącymi mrokiem, pozbawionymi szyb oknami, przypomina potwora czekającego na ofiarę. A my mamy tam odpocząć.

Może i Żyła gadał głupoty, ale chcąc nie chcąc, wzdrygam się na

samą myśl o wchodzeniu do wnętrza zrujnowanej rozdzielni.

– Nie ma co czekać. – Siny wyrzuca wypalonego do cna papierosa i nawet nie kłopotczy się z zadeptywaniem. – Kojot?

– Jasne – mówię. – Broń w pogotowiu.

– Czyżbyś coś poczuł?

– Sam nie wiem – odpowiadam. – Nie podoba mi się to miejsce.

– Mi też nie – przyznaje Hiszpan. – Ale nie mamy chyba zbytznego wyboru.

– No nie mamy – mówię i ruszam w kierunku rozdzielni.

W żółtym tempie schodzimy z drogi, mijamy trochę rachitycznej roślinności, jakieś chaszczce, obchodzimy dwie czające się przy ziemi anomalie, by dojść w końcu do małej, dziwacznie pustej polanki. Nie rośnie na niej kompletnie nic: żadnych krzaczków, drzew, nawet trawa zniknęła gdzieś pod ziemią.

Podchodzę ostrożnie do krawędzi, licznik Geigera zanosi się głośnym trzaskiem, stoję jak wryty, rzucam okiem na miernik i bez zbędnego zastanawiania odczepiam maskę przeciwgazową od pasków kamizelki.

Wiem, że kompani robią to samo. Nie zadają niepotrzebnych pytań, nie kłócą się, nie sugerują – po prostu idą za moim przykładem i dla ochrony przed pyłem radioaktywnym naciągają na głowy gumowe namordniki.

Promieniowanie to wredna bestia: nie widać go, nie słyhać, z początku nawet nie masz pojęcia, że wraz ze zwykłym powietrzem przyjmujesz kolejne dawki siwertów. Najpierw przychodzi zmniejszona odporność, za nią wybroczyny na skórze i krwawienie ze śluzówek. I to jeszcze da się znieść. Później jest tylko gorzej: krwawe biegunki, wymioty, drgawki i w końcu, po długich męczarniach, bolesna śmierć.

Za Kordonem ludzie rzadko się tym przejmują. Bo i po co? Im nic przecież nie grozi. Dopiero gdy w którejś z okolicznych elektrowni jądrowych dojdzie do małej awarii, choćby i niezwiązanej zupełnie z reaktorem, zaczyna się panika, pisk i zgrzytanie zębami.

Dokręcam filtropochłaniacz, śmierzdząca gumą i magazynem

maska ściśle przylega do twarzy, geiger w dalszym ciągu trzeszczy ostrzegawczo, więc nie tracąc czasu, skręcam w lewo i kieruję nasz mały pochód wzdłuż granicy martwej ziemi. Nie mam zamiaru na nią wchodzić. Byłoby to skrajnie nierozsądne. Co prawda znów nadłożymy nieco drogi, ale to mała cena za nieprzyjęcie cholera wie jakiej dawki promieniowania.

Maska ogranicza pole widzenia, ciężko złapać porządną oddech, przemoczone do cna ubranie ohydnie klei się do skóry, uwiera niewygodny plecak.

Czuję, jak bardzo jestem zmęczony. I nie chodzi już o samą fizyczność. Morale leży i kwiczy, perspektywy, jeśli nie beznadziejne, to z pewnością słabe, droga idzie nam jak po grudzie i raczej nie ma szans na poprawę, a na dodatek mamy zatrzymać się w tej rozdzielni.

Zdarzało mi się mieć złe przeczucia. Tutaj to naprawdę nic niezwykłego. Przychodzisz na miejsce, patrzysz, rozglądasz się, wszystko jest tak, jak powinno, ale za nic nie podejdziesz bliżej. Tam, przy wiatraku, Siny wyraźnie powiedział, że nie pójdziemy przez las. Czuł zapewne to samo, co ja w tej chwili. I nawet gdybyśmy z Hiszpanem go przegłosowali, i tak nie ruszyłyby się z miejsca. To weteran – on wie swoje i nikt ani nic go nie przekona, by zmienić zdanie. Być może dlatego właśnie żyje niewspółmiernie dłużej od wielu przemierzających Zonę samotników. Ten instynkt jest czymś, czego nie można ignorować.

Tyle że teraz nie mam za bardzo możliwości zawrócić. Do wieczora jeszcze trochę czasu, ale rozdzielnia też nie jest wybitnie blisko. Znowu nastanie mrok i choć bardzo, ale to bardzo nie chcę zbliżyć się do budynku, będę musiał to zrobić. Na przekór instynktowi.

Geiger uspokaja się trochę, przeskakuję nad wypełnionym wszelkim śmieciem rowem melioracyjnym, spoglądam w stronę rozdzielni i przystaję. Wielka łapa Hiszpana klepie mnie w plecy.

– Coś się stało? – słyszę stłumione przez maskę słowa.

– Nie. – Patrzę na kompanów. – Idziemy dalej. Ale coś tu jest nie tak. Ostrożnie.

Hiszpan kiwa głową, sprawdza magazynek karabinu, Siny postępuje podobnie i daje znak, że jest gotowy.

– No to za białym królikiem – mówię i ruszam z podniesioną do ramienia bronią.

* * *

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przechodziłem obok rozdzielni. Miesiąc temu? Więcej? Nigdy też nie zbliżałem się do niej na taką odległość.

Szare, podziurawione ściany, skruszały beton, tony żelastwa walające się po ziemi, puste okna straszące mrokiem i pustką. No i elektry – pełno ich tutaj. Jedne małe, ledwo widoczne, skrzące się delikatnie pod stalowymi wspornikami, inne ogromne, szerokie na kilka metrów, pulsujące jasno na tle brunatnej ziemi i wypuszczające z trzaskiem wiązki błyskawic, które nie natrafiając na żaden cel, momentalnie umierają w powietrzu.

Kiedyś sądziłem, że elektra jest w stanie wytworzyć się jedynie na metalowych lub betonowych powierzchniach. Tak przynajmniej mówili starsi, bardziej doświadczeni stalkerzy przynoszący wieści zza Kordonu. Potem okazało się, że to wierutna bzdura. Anomalie mają gdzieś zasady. Grawikoncentraty wiszą nieraz w powietrzu, wiry czy karuzele można spotkać w zamkniętych pomieszczeniach, spalacze pojawiają się pod wodą, tworząc wątpliwej jakości źródła termalne. Zony nie da się sklasyfikować, zapisać na kartach encyklopedii i powiedzieć: „Tak, to Strefa w całej okazałości”. Tu wszystko ewoluuje, traci sens i umyka logicznym wyjaśnieniom.

Podobnie jak moje złe przeczucia. Ich też nie potrafię wytłumaczyć.

Spoglądam na licznik Geigera, wskazówka od kilku minut wisi nieprzerwanie w jednej, nominalnej pozycji, więc nie czekając ani chwili dłużej, ściągam maskę i zaciągam się relatywnie czystym powietrzem. Kto nigdy nie nosił namordnika przez dłuższy czas, nie zrozumie, jak bardzo jest to niewygodne. I jak dobrze jest wreszcie ściągnąć z siebie śmierdzące, gumowe zabezpieczenie.

Przypinam maskę do kamizelki, delikatnie odciągam zamek karabinu, by sprawdzić komorę, i ukontentowany widokiem łożnianego naboju, idę w stronę szarych, podziurawionych ścian.

Skradam się powoli, od lichego krzaczka do niskiego, porośniętego dziwnym, grubym listowiem drzewka, potem rzut mutrą, szybki hals przez goły placek ziemi, znów kolejne drzewko, mutra i krótki bieg. Niby poruszam się do przodu, ale rozdzielnia sprawia wrażenie, jakby chciała uciec. Jak we śnie, kiedy biegniesz przed siebie korytarzem, a jego upragniony koniec wciąż oddala się i oddala, sprawiając, że całe przedsięwzięcie skazane jest na porażkę.

Wiem, że to tylko ułuda – robi się coraz bardziej szaro, wysiada percepcja, zmęczony całym dniem marszu mózg płata figle, dając mi tym samym do zrozumienia, że pora odpocząć.

Idziemy w odstępach, kryjąc lufami przejścia, lustrując rozbite okna, oglądając się za siebie, sprawdzając, czy nic nie zachodzi nas od tyłu. Siny jest tuż za mną, na jego twarzy widzę odcisnięte zmęczenie, uwydatniły się zmarszczki, podkrążone oczy wyglądają jak siniaki po bójce, ruchy ma niezgrabne i powolne. W niczym nie przypomina faceta, który jeszcze przedwczoraj rzucił się na uzbrojonego po zęby żołnierza. Hiszpan w zasadzie wcale nie prezentuje się lepiej: tłuste włosy oblepiają mu czoło, potężna sylwetka jakby skurczyła się i przygaśła, usta stalkera są bezustannie rozchylone i łapiące powietrze.

Wszyscy mamy już dość. Nie muszę nawet pytać, by dostrzec, że należy nam się odpoczynek. Najlepiej długi, nieprzerwany, na miękkich materacach, z zimnym piwem w ręku. I z kimś, kto wysłucha, przytaknie i nie będzie osądzać. Ach, te marzenia.

– Kojot. Co ty robisz? – mówi Siny.

Potrząsam głową i z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że przeszedłem parę metrów na pełnym automacie. Nawet nie zauważyłem momentu, w którym same nogi mnie poprowadziły. Nie rzuciłem mutry, nie rozejrzałem się porządnie, a pokonałem tę drogę w taki sposób, jakbym miał zamiar odwiedzić lokalny sklepik.

Przykucam, biorę oddech: raz, drugi, trzeci, myśli odlatują w dal

i skupiam wzrok na budynku. Dzieli mnie od niego kilkanaście metrów pustej ziemi i wysoki na metr, poprzetykany dziurami murek. Nic trudnego, jesteśmy prawie na miejscu.

Na ścieżce nie widać anomalii, ale tak dla zasady podnoszę rękę i rzucam mutrę.

Coś błyska na dachu rozdzielni, podnoszę głowę i odruchowo sięgam po AKM.

– Rzućcie broń i powoli na glebę. Nie uciekajcie, i tak wam to nic nie da – dobiega zza murku.

O cholera.

Żadnej zasłony, zagłębienia w ziemi, drzewa czy choćby krzaczka – tylko ten przeklęty murek. Ale przecież nie będę biegł tam, skąd dobiega głos.

Szlag!

Błyskawicznie podnoszę karabin, stopka kolby przytula się do dołka strzeleckiego, palec leci na spust i już mam dać ognia, gdy ziemia między moimi stopami rozpryskuje się na wszystkie strony, a huk wystrzału skutecznie gasi jakikolwiek zapal.

Dopiero teraz dochodzi do mnie, co takiego błysnęło na dachu. Cholerny snajper.

– Pojebany? Odłóż ten bum patyk, bo sobie krzywdę zrobisz. – Głos wydaje się należeć do kogoś młodego i pewnego siebie. Do kogoś, z kim w takiej sytuacji lepiej nie dyskutować. – Wy z tyłu to samo. Broń na ziemię, trzy kroki w przód i gleba. E! Pistolety też. Tylko powoli.

W głowie przelatują scenariusze, ale żaden z nich nie wydaje się dawać nam jakichkolwiek szans. Snajper na dachu, głos zza muru... Czyli przynajmniej dwie osoby. Zrobimy coś głupiego, jeden nieprzemyślany ruch czy gest i nasze głowy posłużą okolicznym mutantom za przekąskę. Cholera, co robić? Co robić?

Powoli i spokojnie odkładam karabin na ziemię, odpinam kaburę z fortem, kładę ją zaraz obok automatu, podnoszę ręce do góry i zgodnie z poleceniem daję trzy kroki naprzód. Za sobą słyszę szelest ubrań i wiązanki przekleństw, których nie powstydziliby się szewc.

To moja wina. Prowadziłem, zamyśliłem się i nie zwróciłem

uwagi na ciemny kształt na dachu. Mogliśmy sprawdzić okolicę przez lornetkę, ale wszystko wydawało się takie puste, spokojne i pogrążone w wieloletnim marazmie.

– To teraz sobie pogadamy – mówi głos z rozdzielni. – Właściwie to ja będę zadawał pytania. Pasuje? No jak ma nie pasować, co nie?

– Tak.

– Bardzo, kurwa, dobrze. No to po pierwsze. Co wy tu, do chuja ciężkiego, robicie robaczki, a?

Serce bije o wiele za mocno, drętwieją mi nogi, mimo że patrzę prosto w ziemię, mam wrażenie, że cały świat wiruje dookoła z zawrotną prędkością, buntuje się żołądek, czuję kwaśny smak wymiocin i siłą woli powstrzymuję się, żeby nie zwrócić wprost pod siebie.

Co mi jest? – myślę w panice. Nigdy tak nie miałem. To stres? Zmęczenie? Cholera, może mam zawał? Nie, wtedy boli lewa ręka. Więc o co chodzi? Nie jestem w stanie nawet odpowiedzieć.

– E, ty, w tej głupiej kurtce. Ogłuchłeś czy poszedłeś spać? Co tu robicie?

To nie bandyci. Oni strzelaliby od razu, bez żadnych pytań ani komend. Rach-ciach i po sprawie. Wzięliby plecaki i tyle by ich widziano. A więc kto? Samotnicy? Jeśli tak, jest szansa się dogadać.

– Swoi – mówię z trudem. – Idziemy.

– O, to rozjaśniłeś, bracie mój drogi, sytuację. Teraz to już wszystko wiem. Jak swoi, to świetnie! Co, Koniu?

– No ni chuja – słyszę kolejny głos.

Czyli trójka. Pięknie. Wpadliśmy jak śliwka w bardzo kwaśny i spleśniały kompot. I jeszcze to dziwne uczucie. Co mi jest? Czyżby radiacja? Ale geiger milczał. Więc o co, do cholery, chodzi?

– No też tak sędzę. Widzieliście taki film ze złym kolesiem, który kazał robić ludziom pojebane rzeczy, jeśli chcieli przeżyć? No to ustalmy, że macie jeszcze dwie szanse na dobrą odpowiedź. Chuj wie kim jesteście, co robicie i po co się tu pałętacie. Ale wiem, wiem, stres i te sprawy. Dlatego te dwie szanse. Po drugiej nasza

kochana przyjaciółka zrobi wam z czerepów nocniki. Pasuje? No to jeszcze raz. Co tu robicie?

– Rude Pola – słyszę zza siebie. – Idziemy na Rude Pola.

– Brawo dla pana z drugiego rzędu! Wygrał pan talon na kurwę i balon. Świetnie. No to następne pytanie: kto wy?

Coraz bardziej mam wrażenie, że to tylko sen. Dziwny, bezsensowny koszmar, z którego zaraz przyjdzie mi się obudzić. Kim jest ten człowiek po drugiej stronie? Jakiś świr? Gada, jakby się spał albo solidnie naćpał.

Mimo zawrotów głowy i bólu w każdej części ciała doznaję olśnienia.

– Jesteście z Wolności? – Staram się krzyknąć, ale głos wychodzący z mojego gardła jest jedynie nędzną imitacją ludzkiego wrzasku.

– O proszę! Ten pierwszy się obudził. Tylko widzisz, problem w tym, że to ja zadaję pytania, dlatego łaskawie stul pysk. A jeśli już musisz gadać, to grzecznie odpowiadaj. Co ty na to, jarząbku?

Drętwieje mi żuchwa, język robi się sztywny jak kołek, ślina skapuje na ziemię.

– My... stalkerzy... na... Rude... Pola – dukam.

– Ej, Kojot! Kojot? – dochodzi gdzieś zza mnie.

– A temu co? Chory? – odzywa się głos zza murku.

Jakaś potworna siła każe mi odwrócić głowę w prawo, robię to mimowolnie, dostrzegam kłęzącą postać i truchleję.

Świetlik patrzy na mnie wielkimi, szeroko otwartymi, pozbawionymi tęczówki i źrenicy oczami, na twarzy młodego widzę grymas bólu, z ust ścieka zielonkawa, lepka masa, która opada na ziemię i z sykiem wtapia się w grunt. Mam ochotę krzyczeć, wierzczać, uciekać, ale to na nic. Jestem przytwierdzony do ziemi, kompletnie pozbawiony czucia. Jakby ktoś przetrzącił mi kręgosłup.

To nie dzieje się naprawdę, myślę. Nie może. Po prostu mam zwidy. To projekcja zmęczonego, wyżyłowanego do granic możliwości mózgu. Neurony nie dały sobie rady, a ja świruję.

Świetlik przekręca nienaturalnie głowę, patrzy w dal, po czym błyskawicznie odwraca twarz w moją stronę, usta zmieniają mu

się w wykrzywioną upiornie podkowę, tworząc potworny, szyderczy uśmiech.

Oszalałem.

– *Przepraszam* – mówi Świetlik, sztucznie poruszając ustami. – *Jesteś idiotą.*

I nagle wszystko znika.

Leżę na ziemi, z ust cieknie mi ślina, a po Świetliku ani śladu. Jest za to zimna, mokra gleba, ból każdego istniejącego w ciele mięśnia i dobiegające zewsząd okrzyki.

– Nie widzisz, durniu, że coś mu jest? Pojebało cię? – to głos Hiszpana.

– A cmoknij mnie w pompkę! Wstań, a dostaniesz kulkę. Nie żartuję. Mało to teatrzyków się naoglądałem?

– Żyję – mówię z trudem i podpierając się drżącymi rękami, przechodzę do pozycji siedzącej. – Żyję.

– Kojot, do cholery, co ty odpieprzasz? – Siny wydaje się naprawdę zdenerwowany.

Kręcę tylko głową, świat wokół wiruje niczym rozpedzona do granic możliwości karuzela, nieskoordynowanymi ruchami próbuję znaleźć w kamizelce papierosa, ale palce ześlizgują się po ładownicach, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia.

– Łapy od kamizelki! – słyszę od strony rozdzielni.

– A strzelaj, chuju! – drę się, chociaż bardziej przypomina to skrzek. – Papierosa tylko szukam.

– Da mi ten wasz snajper się ruszyć czy będę tak leżał do usranej śmierci? – krzyczy Hiszpan.

Zerkam w stronę leżących na ziemi kompanów.

Niby znamy się jedynie od kilku krótkich dni, a jednak mam wrażenie, że zdążyliśmy wytworzyć jakąś więź. Kruchą, słabą, ledwo widoczną i narażoną na przypadkowe zniszczenie, ale to nadal lepsze niż nic. W końcu razem siedzimy w tym bajorku samobójców i jeśli choć jedna osoba zacznie zapadać się głębiej, prędzej czy później wszyscy podzielimy jej los.

– Trzymaj ich na muszce – komenderuje głos z rozdzielni. – Ty, epileptyk! Kojot, tak? Chory jesteś?

– A kto nie jest? – odpowiadam tak głośno, jak tylko pozwala mi

ból gardła. – „Wszyscy mamy źle w głowach, że żyjemy” – cytuję klasykę polskiego rocka, uśmiecham się, potem zaczynam rechotać pod nosem, by na końcu, mimo wszystko, zacząć śmiać się w głos.

– Kojot? – Hiszpan podnosi się z ziemi, siada na mokrej glebie.

– Kojot – dobiega nagle zza murku. To ten drugi, Koniu chyba. – Ty Polak?

– Ta! Z Nałęczowa – odkrzykuję i dopiero teraz dochodzi do mnie, co właśnie się stało.

On zapytał po polsku! Nie żaden rosyjski ani ukraiński, tylko polski!

– Ja pierdołę – klnie Koniu. – Nie wierzę.

Ponownie wybucham śmiechem, łzy ciekną po policzkach, dostrzegam patrzących na mnie z ukosa kompanów i próbuję im wyjaśnić sytuację, ale wciąż słyszę soczyste polskie przekleństwa.

Siedzę tutaj od ładnych paru lat, a jeszcze nigdy nie spotkałem rodaka. I to w Zonie! Zrozumiałbym jeszcze spotkanie na zewnątrz, w jakiejś knajpie albo na ulicy czy na poczcie. Ale w Zonie? I to akurat tutaj?

– A ty skąd jesteś? – pytam, uspakajając się nieco.

– Ze stolicy, chłopie, z Woli! No nie wierzę!

– Co to? Twój znajomy jakiś? – pyta Hiszpan.

– Rodak – odpowiadam lakonicznie.

– No ni cholery was nie rozumiem.

– I nie musisz – odpowiadam stalkerowi, odwracam głowę w stronę rozdzielni. – Ej. Ty Koń jesteś, tak? Powiedz swojemu, że my niegroźni. Strzelać nie będziemy. Przenocować chcieliśmy, bo na Rude Pola idziemy.

– Chwila. Zaraz coś wymyślimy.

Nastaje chwila ciszy. Siny siada po turecku na ziemi, Hiszpan łapie burzę ciemnych włosów, wyjmuje z kurtki gumkę i tworzy mały, ledwo odstający kucyk.

– No dobra, rebiata! – dobiega z budynku. – Przyjdziecie tutaj, ale bez broni. Co wy na to?

– No chyba cię pojechało! – odpowiada Siny. – Wy macie

snajpera, broń, okopani siedzicie.

– Wóz albo przewóz – odpowiada głos.

– Siny, odpuść – wtrąca się Hiszpan. – Mają nas na muszce. Gdyby nas chcieli rozwalić, już byśmy leżeli. A odpocząć musimy.

– Cholera...

– Zrobimy inaczej. Odepniemy magazynki, wywalimy kule z komory i wejdziemy z całym majdanem – proponuję głośno, tak żeby usłyszeli mnie wszyscy zainteresowani. – I wy będziecie bezpieczni, i my się poczujemy lepiej.

Ponownie zalega cisza. Siny przytakuje, Hiszpan wzrusza ramionami.

– Dobra, niech wam będzie. Tylko powoli.

Próbuję wstać, miękkie nogi odmawiają posłuszeństwa, świat nadal wiruje przed oczami, więc siadam z powrotem i wzdycham.

Popsułem się. Nie wiem, jak ani dlaczego. Mogę jedynie snuć domysły, że spotkanie z nibypsem ma na mnie długotrwały wpływ.

Ale dlaczego akurat w ten sposób? I Świetlik – dlaczego to musiał być akurat on?

Schodzi ze mnie cała, buzująca jeszcze przed sekundą radość ze spotkania z rodakiem, zerkam na rozładowujących karabiny kompanów, zaciskam zęby i siłą woli pokonuję niemoc kończyn. Powoli i spokojnie dzielę każdy ruch na etapy: najpierw nogi, zgięcie kolan, wyprost, podtrzymanie ciała rękami, złapanie równowagi. Przypominam dziecko, które po raz pierwszy staje w wyprostowanej pozycji. Albo kogoś, kto przechodzi długotrwałą rehabilitację po poważnym urazie. I o ile w przypadku dzieciaka może to być nawet zabawne albo słodkie, w moim przypadku musi to wyglądać raczej niezdarnie i pokracznie.

– Pomóc? – Hiszpan podchodzi do mnie, wystawia rękę i dodaje cicho: – Co ci jest?

– A ja wiem? – Chwytam dłoń, górujący nade mną stalker ciągnie mnie w górę, ledwo ustaję na nogach i opieram dłonie na drżących udach. – Muszę odpocząć.

– To idź. Ja wezmę broń.

Małymi kroczkami zbliżam się do murku, Siny pojawia się nagle

tuż obok, łapie mnie za ramię i prowadzi do małej wyrwy.

– Kojot, co się dzieje? – pyta.

– Kurwa, jakbym wszystko miał wiedzieć – irytuję się. – Przestańcie mnie dręczyć. Nie wiem, co to było. Nigdy wcześniej tak nie miałem.

– Masz zawroty głowy? Nudności? Halucynacje?

Przystaję i spoglądam Sinemu w oczy.

– Ano mam. Do cholery, mam.

– Idź do środka, siądź gdzieś. Mocno wczoraj oberwałeś. Może jeszcze ci się coś pieprzy.

Czuję, jak opadam z sił, ledwo utrzymuję się w pionie, głosy stają się odległe, ciche, wszystko wokół szarzeje i traci kontrast.

Idę do przodu, Siny trzyma mnie pod ramię, mijamy jakieś postacie, czuję poklepywanie po plecach. Podnoszę głowę, przede mną wykwita mała, szaro-zielona postać, przełykam ślinę i staram się coś powiedzieć, ale niemoc ponownie spływa na aparat mowy i wydaję z siebie tylko niskie, przypominające jęk tony.

Postać mruga, białka oczu odznaczają się na tle martwej zieleni, małe usta otwierają się i zamykają na przemian. Czuję, że osuwam się w dół, tyłek uderza o twardą powierzchnię, ręce lecą luźno bez ładu i składu.

Widziałem obcego, przelatuje mi przez myśl.

Nie. Z pewnością nie.

Po prostu zwariowałem.

Rozdział 5



Masz, napij się. – Hiszpan przystawia mi manierkę do ust. – Spokojnie, to woda.

Mimo zapewnień wążam zawartość, biorę pojemnik w dłoń i piję zachłannie, rozglądając się jednocześnie po niskim

pomieszczeniu.

Za oknami zalega ciemność i tylko liche, płonące kilka metrów dalej ognisko rozświetla otoczenie. Z lewej dostrzegam zabarykadowane stalową szafą wejście do budynku, z prawej odkrywam drzwi do jakiegoś bliżej nieokreślonego pokoiku. Po posadzce walają się masy nieczytelnych papierów, stare aktówki, kawałki pordzewiałej blachy i całe pęta gumowych osłon kabli. Szukający zysku menele mieliby tutaj nie lada żer. Tyle że ich tu nie ma. I zapewne nigdy już nie będzie.

– Dzięki. – Oddaję bukłak, ocieram rękawem usta i szczelniej okrywam się kocem. – Długo spałem?

– Ze trzy godziny? Może więcej. Nie patrzyłem na czas. Zresztą tutaj to już może być z tym problem.

No tak. Im głębiej w Strefę, tym mniej można liczyć na elektronikę. Nawet głupia bateryjka w zegarku może nagle odmówić posłuszeństwa i umrzeć bez wyraźnej przyczyny. I o ile jeszcze bez czasomierza da się przeżyć, tak brak latarki może okazać się niemiłą niespodzianką.

– A reszta gdzie?

– Wolność poszła na górę coś obgadać, a Siny stwierdził, że coś sprawdzi.

– I puściłeś go samego? W nocy?

– Ja nie jego matka, żeby mu zabraniać. Zresztą powiedział, że

wyskoczy tylko na moment. Wyszedł przed chwilą, to i pewnie zaraz wróci.

Kiwam głową ze zrozumieniem i opieram się o chłodną, kompletnie obdartą z tynku ścianę.

– Ale mamy fart. Gdyby to byli bandyci... – mówi Hiszpan, siadając na podłodze.

– No mamy. Moja wina.

– A tam, twoja. Każdy z nas powinien był zauważyć. Wszyscyśmy dali dupy po całosci.

– Musieli nas widzieć z daleka i się przygotować.

– Co się dziwisz. Pusto tutaj, nie ma się gdzie schować. Gdybyśmy podchodzili w nocy, to może dałoby radę ich zaskoczyć. Ale tak? Zresztą co mamy gdybać. Wyszło, jak wyszło.

– Musimy być ostrożniejsi – wzdycham. – Najpierw mutanty, teraz to. Jak tak dalej pójdzie, to nawet do bunkra nie zajdziemy. Masz papierosa?

Stalker częstuje mnie fajką i odpala zwitki tytoniu od jednorazowej taniej zapalniczki. Milczymy chwilę, patrząc na pełzające po ścianach cienie. Słychać stłumione, niewyraźne głosy dochodzące z głębi budynku, trzaskają polana w ognisku, delikatnie szumi wciągany do płuc dym.

– Tam, na zewnątrz – zaczyna Hiszpan – wyglądałeś, jakbyś ducha zobaczył.

– No trochę tak było.

– Hm?

– Pamiętasz Świetlika, nie? Ten młody taki...

– Wiem. W anomalię wlaźł.

– No. Widziałem go. Tak jak teraz ciebie. Jakby faktycznie stał koło mnie. Wiem, że go tam nie było, ale wydawał się taki realny. Nawet głos miał ten sam.

– Słyszałeś ducha. – Stalker ociera dłońmi twarz. – O chłopie, no to ładnie ci się coś pokiełbało w głowie.

– Wiem.

– Może to faktycznie ten nibypies? Co? Jak myślisz? Kiedyś był u nas taki koleś, nie wiem, czy kojarzysz. Kowal na niego wołali. Anglik taki.

– No coś mi się obilo o uszy.

– Opowiadał kiedyś, że szli z ekipą na północ. Trafili na jakiś bunkier czy coś takiego. Myśleli, że znajdą jakieś przydatne rzeczy, może chociaż tam przenocują. Zastawili wejścia, sprawdzili każdy zakątek i poszli spać. Rano okazało się, że jeden z ekipy musiał w nocy wstać, otworzyć drzwi i wyjść. Szukali go kilka godzin. I znaleźli w końcu. Wisiał na drzewie. Powiesił się na pasku od spodni.

– Bajka na dobranoc – podsumowuję, zaciągam się dymem i wypuszczam w powietrze potężną, szarą chmurę gryzącego dymu. – Jaki z niej morał? Nie chodź sikać w nocy?

– Aleś ty złośliwy. Nie o to chodzi. Kolesь był ponoć przy kasie, szczęśliwy chodził na co dzień. A i w Zonie doświadczenie miał spore. A tu nagle myk: i na gałąź. Przecież to nienormalne.

– A co tu jest normalnego? Znam takich, którzy też na co dzień funkcjonują bez zarzutu, a w nocy spać nie mogą. Depresja czy jakaś inna cholera. Chłopina nie wytrzymał i tyle.

– Kilka dni później ponoć widziano tam kontrolera. Rozumiesz?

– I co? Ten namieszał mu w głowie, żeby się zabił? I teraz ja mam powtórkę? Przestań. Nie porównuj psa z takim bydlakiem.

– Mówię tylko, że może być podobnie. Uważaj po prostu.

– Cały czas uważam. – Wyrzucam niedopałek i milknę.

Może on ma rację i nibypies faktycznie zrobił mi w głowie burdel? Ale przecież mutant nie żyje. Hiszpan osobiście obciął mu ogon, a żywy stwór raczej by sobie na to nie pozwolił. Chyba że taki mentalny gwałt utrzymuje się dłużej. Coś wchodzi ci do głowy, przestawia klepki, buszuje po neuronach, a potem to wszystko zostaje nie na swoim miejscu. Nie znam się na tym. Podejrzewam, że nawet wytrawny naukowiec miałby problemy z przedstawieniem twardej, trzymającej się kupy teorii. Więc co ja mogę? Gdybać jedynie.

Po chwili słyhać tupot butów, z małego pomieszczenia po prawej, które okazuje się być najwyraźniej korytarzem prowadzącym w głąb rozdzielni, wychodzi trójka ludzi.

– Jak się czujemy, Śpiąca Królowno? – pyta wysoki, szczupły brunet. – Wstaliśmy?

To ten, który rozmawiał z nami przy wejściu.

Jeśli wcześniej mogłem mieć wątpliwości, czy mamy do czynienia z członkiem Wolności, tak teraz jestem tego pewny. I nie mam na myśli charakterystycznego zielonego kombinezonu nakrapianego plamami kamuflażu. O nie. To coś więcej: odzywki, sposób chodzenia czy choćby sama postawa zdająca się mówić: „Mam wszystko w dupie”.

Do tego masa kolczyków w uszach, spod podciągniętych rękawów wyglądają czarne tatuaże, na ramieniu pas z wiszącym luźno brytyjskim karabinem szturmowym i przypięta do kombinezonu kabura z wystającą rękojeścią niemieckiego pistoletu.

– Wstałem, wstałem – odpowiadam, podnosząc się z posłania.

– Ja jestem Tłok i prowadzę tę bandę idiotów. – Wolnościowiec wyciąga do mnie rękę, ściskam ją i patrzę po pozostałych. – To jest Koń, zdaje się, że twój rodak.

– Siema, brat! – Polak ściska mi rękę, odwzajemniam gest i kiwam głową.

Jasne włosy z krótką, opadającą na czoło grzywką, ciemne oczy i paskudne, zlokalizowane na policzku blizny, szpecące lewą stronę twarzy. Ubrany w niemal identyczny kombinezon jak ten, który nosi Tłok, z niemieckim karabinem w dłoniach, masą byle jak przypiętych ładownic i rzucającym się w oczy rewolwerem przy udzie.

Ile może mieć lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć? Zresztą to nie ma większego znaczenia. Rok w tę czy w tamtą – i tak jest bardzo młody, jak na standardy Strefy. Większość młodzików bardzo szybko tutaj ginie. Głównie przez pośpiech i nierozwagę. Zupełnie jak Świetlik.

Znów kręci mi się w głowie, zaciskam zęby, zapieram się butami i z całych sił próbuję ustać w miejscu.

Co, do czorta...

– I Mira, nasz snajper. – Dziewczyna stoi na uboczu, opierając się o karabin. – Kochane dziecko...

– Spierdalaj – przerywa. – Mira jestem i tyle.

Ciemne, wygolone po bokach włosy, stój maskujący, przetarte

pasoszelki z ładownicami wypełnionymi magazynkami do rosyjskiego karabinu wyborowego.

Podnoszę rękę w geście przywitania, dziewczyna kiwa tylko głową i patrzy na Tłoka spod byka.

Gdyby nie prezentacja i damski głos, z pewnością wziąłbym Mirę za chłopaka. Bo to jednak dość niezwykle – kobieta w Strefie. Słyszałem, że się zdarzają, ale żadnej nie spotkałem jeszcze osobiście. Może dlatego, że nigdy nie wychodziłem poza relatywnie bezpieczny teren? A może po prostu dlatego, że jest ich mało.

– Siądźmy przy ogniu i pogadajmy wreszcie jak ludzie. – Koń, błyskawicznie i nie wiadomo skąd, dobywa flaszkę, kieruje się w stronę przygasającego powoli żaru, po czym siada na gołej, skruszałej posadzce.

– Gdzie ten Siny? – szepczę do Hiszpana. – Powinien już chyba przyjść.

– Wiesz, że on jest dziwny.

– Kurwa, ale to nie są kolonie ani obóz harcerski. Może by po niego wyjść?

– I co? Będziesz po nocy łąził? Tutaj? Ocipiałeś, Kojot? Jeszcze gdzieś zaśląbniesz i będzie problem.

Tłok i Mira zajmują miejsca przy ogniu, na zniszczonej posadzce pojawiają się metalowe przenośne kieliszki, trzaska wieczko konserwy Koń podchodzi do ustawionych w kącie plecaków i wyciąga z jednego z nich słoik ogórków.

– Przychodzicie czy mamy sami odpieczętować demona? – Wolnościowiec macha słoikiem i wskazuje na ozdobioną granatową etykietą flaszkę. – Bo możemy zacząć bez was.

– Dobra, ale jak niedługo się nie pojawi, to pójdę go poszukać. Na razie się dosiądźmy – mówię cicho do Hiszpana. – A i nie wychylajmy się za bardzo, po co idziemy na Rude. Tak na wszelki wypadek.

Stalker kiwa głową i już po chwili obydwaj grzejemy dłonie przy ognisku.

– A ten? – Dowódca oddziału cmoka z niezadowoleniem i kręci głową. – Jak mu tam? Ten pan poważny. Nie wrócił jeszcze?

– Siny – podpowiadam.

– O właśnie. – Tłok klepie się w czoło, odkręca słoik ogórków i stawia go zaraz obok ognia. – Długo mu coś schodzi.

– A wiesz, po co poszedł? – pyta Hiszpan, nachylając się nad ogniem.

– Coś tam brzęczał. Ale spokojnie, nie ma się czym martwić. Rozlewaj, Koniu.

Siedzimy chwilę, Mira z zapałem i wprawą patroszy konserwę, Koń i Tłok jak gdyby nigdy nic śmieją się w głos, przekrzykują i wygłaszają kolejne tyrady, których głównym celem zdaje się ubliżenie oponentowi.

Przełykam ślinę i nerwowo zerkam w kierunku okien.

Czy oni się nie boją? Niby zablokowali główne wejście, ale w żadnym razie nie poprawiło to ogólnej sytuacji. Jesteśmy w Zonie! I to nie na kompletnych obrzeżach. Umieszczenie ogniska w tak dużym pomieszczeniu, niezabezpieczenie pustych okien to proszenie się o atak. Nieważne, czy mutantów, czy ludzi – to po prostu wbrew zdrowemu rozsądkowi.

I Siny. Gdzie on, do cholery, zniknął? Przecież bezpieczeństwo to dla niego świętość.

Za plecami słyszę uderzenie o posadzkę, w mig odwracam się w tamtą stronę, ręka wędruje do kabury z fortem i zamiera w chwili, gdy dotykam stalowej, zimnej rękojeści.

A wolnościowcy? Nawet nie reagują.

– Jestem już. Integracja się zaczęła, jak mniemam.

– Kurwa, Siny, gdzieś ty był? – pytam, czując, jak kamień spada mi z serca.

– O. Widzę, że już ci lepiej. Przejść się byłem. A co? Nie wolno?

Odwracam się do ognia, serce tłucze jak oszalałe, Hiszpan, mimo swojej ciemnej karnacji, wydaje się błądy jak ściana.

Co tu się, do cholery, wyczynia? Czy ja śnię? Bo nie wierzę, że można być tak nieostrożnym. Ktoś właśnie wszedł przez okno i żaden nawet się nie poruszył. Tylko ja i Hiszpan zareagowaliśmy na dźwięk. Zrozumiem jeszcze Mirę, która usiadła naprzeciwko nas, ona akurat mogła widzieć, kto pcha się do pomieszczenia. Ale reszta? Naćpani czy co?

– Hej, Kojot – mówi Koń i trąca mnie w ramię. – Spokojnie. Nic się nie dzieje. Wyluzuj.

– Jak mam się niby wyluzować? Co wy tutaj odpierdalacie? Ktoś wpada do środka, a wy nawet nie reagujecie? Jaraliście coś?

– Nie, spokojnie, wszyscy na razie trzeźwi jak pietruszka. – Koń wzdycha, polewa wódki, podnosi kieliszek i wręcza mi go z uśmiechem. – Tutaj nic się nie stanie. A tymczasem za spotkanie! Góra z górą się nie spotka, a my jakoś daliśmy radę.

Patrzę na naczynko, napędzane adrenaliną ciało w dalszym ciągu nie chce się uspokoić, z trudem chwytam kieliszek w palce i rozlewając przy okazji przezroczystą zawartość, zbliżam go do ust.

– Skoro tak twierdzisz, to za spotkanie – mówię cicho i wychylam setkę.

Język skręca się i wiję, małe, niewyczuwalne normalnie ranki ulokowane po wewnętrznej stronie ust palą żywym ogniem, żołądek buntuje się i wyraźnie zawiadamia, że nie przyjmie ani grama wysokoprocentowego ładunku. Zmuszam się do przełknięcia, požoga oblewa gardło, czkam ostrzegawczo, już mam oddać całą zawartość, ale powstrzymuję się siłą woli, odstawiam kieliszek i ze świtem wypuszczam powietrze.

– A co wy, Polaki robicie? – podnosi głos Tłok. – Co to za segregacja rasowa?

– Chyba narodowa, tępaku – odgryza się Koń i sięga po ogórka.

– Taki mądry, a pojęcia myli. Wracaj do podstawówki.

– A idź w cholerę.

– Czy ktoś mi w końcu wyjaśni, co tu się dzieje? Co to ma być? – mówię, patrząc prosto w ogień. – Siedzimy jak gdyby nigdy nic, gadacie jak najęci, zero skupienia, Siny wpadł przez okno, a wam nawet nie przyszło do głowy, że może grozić jakieś niebezpieczeństwo. Czy to są jakieś, kurwa, żarty?

Tłok pochmurnieje, Koń odstawia trzymaną w dłoni flaszkę, Mira podnosi głowę i patrzy w moją stronę, Hiszpan łyka kolejną porcję antyradów w płynie i zamiera. Siny odpala papierosa, uśmiechając się pod nosem.

– Sprawa, mój misiu ptysiu – zaczyna Tłok – wygląda tak, że to

jedyne bezpieczne miejsce w okolicy. Nie wiemy dlaczego. Nie podchodzi tu żaden mutant, anomalie są tylko na zewnątrz, a ludzi jak na lekarstwo. Jesteście pierwszymi gośćmi od kilku dni.

– Zaraz. Jak to nic nie podchodzi?

– A czy ja ci wyglądam na jajogłowego? Nie podchodzi i tyle. Sprawdzaliśmy to.

– Niby jak?

– Oj, stalker. Nie tobie w nasze sprawy zaglądać. Wiemy i już. Uwierz na słowo. Jeśli mówię, że jesteśmy bezpieczni, to jesteśmy bezpieczni. Jak dziewczica na weselu pedałów. Nikt jej nie puknie, tak i nas nic tu nie ruszy.

– Ale skąd możecie to wiedzieć?

– Nibypies – wtrąca się Siny.

– A ty...

– Kojot. Nie jesteś jedynym, który potrafi rozmawiać.

– Dobra, jebać to. – Tłok klepie się w uda. – Tydzień temu nasz stary stwierdził, że trzeba coś porobić. Nie wystarczy mu już trzepanie kapucyna, więc wydumał, że urządzimy polowanie. Kręcił się przy obozie mutant. Mocne kurewstwo, nikt z naszych nie mógł go wyhaczyć, więc poszliśmy w teren. Dziesiątka nas była. No i lataliśmy za nim jak kot z pęcherzem, zastrzeliliśmy kilka ślepaków, które się za bardzo zbliżyły, ale tego głównego to ni chuja nikt nie widział. Trochę nam zajęło, żeby go wypatrzeć. A że oddaliliśmy się od bazy, mało kto chciał iść dalej. Ale jak już się powiedziało „a”...

– To trzeba powiedzieć „b”. Znam to z autopsji.

– No właśnie. Więc trafiliśmy tutaj. Okazało się, że ten skurwiel ma tu leże. Pełno psów, jatka na całego, no ale my nie damy rady? W dziesięcioro? No i udało nam się go stąd wykurzyć. Ciężko było, Koń dostał od kolegi przypadkowo...

– Chuj tam przypadkowo – wtrąca się wolnościowiec i natychmiast milknie, uciszony karcącym wzrokiem Tłoka.

Wolność niby taka niezdiscyplinowana, ale jakieś resztki porządku potrafią zachować.

– No. I tak dochodzimy tutaj. Na noc zaszyliśmy się w środku. I jak nagle nie pierdolnie! Powiem wam, że to chyba największa

emisja, jaką miałem okazję w tej czarnej dupie przeżyć. Skitraliśmy się do piwnicy, smród jak cholera, w głowach kozioł matoł, ale przeżyliśmy. No i chłopaki zdecydowali, że pójdą za tym gnojstwem. Ja, Koń i Mira mieliśmy na nich czekać. No i minął dzień, drugi, teraz mija trzeci. Ni widu, ni słyhu.

– No dobra, ale co to ma do tego, że tutaj bezpiecznie?

– Nibypies miał tu leże, tak? – odzywa się Hiszpan.

– Ano miał, skurwiel bury. Ale podkreślam: miał.

– Więc może się boją, co?

– Nie wiem. – Tłok wzrusza ramionami. – Wiem za to, że od trzech dni wszystko, co tylko zbliżyło się do tej ruiny, albo zawracało na pięcie i spierdało, albo patrzyło z oddali i równie ochoczo spieprzało w podskokach. Więc jeśli nie wierzysz, Kojot, że tu bezpiecznie, niech za przykład posłużą nasze, jeszcze całkiem sprawne ciała.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

Siny jednak miał rację. Możesz chodzić po Zonie, zaglądać pod każdy kamień, myśleć, że nic już cię nie zaskoczy, a Ona zawsze znajdzie sposób.

– Dobra. Odłóżmy na bok przyczynę. Siedzicie tu od kilku dni. Nie ma problemu. Wierzę. Ale po co w takim razie? Czekacie na nich?

Tłok opuszcza wzrok, Koń chwyta butelkę wódki i szybko rozlewa ją po kieliszkach.

– Siny mówił, że nie mamy już po co czekać.

Marszczę brwi i dopiero zdaję sobie sprawę z sytuacji.

– Ci na drodze? To mogli być oni?

– Nikt inny w grę nie wchodzi. – Tłok podnosi kieliszek w górę.

– Za Wolność.

– Za Wolność – odpowiadamy wszyscy.

Wspólnie wypijamy setkę, pęka flaszka, Siny przynosi z plecaka swoją i podaje ją Tłokowi. Ten, nie czekając, polewa kolejkę, Koń dorzuca do ognia, Mira kładzie się na plecach, kompletnie odcinając się od towarzystwa.

– To jak to z tobą było, Kojot? – pyta po polsku Koń. – Od dawna tutaj?

– Już trochę – odpowiadam, czując układający się dziwnie język. Inne głoski, słowa, akcent. Niby nie da się zapomnieć jazdy na rowerze, a okazuje się, że mówienia w ojczystym języku już tak. – Spaceruję trochę.

– Przygoda? Recydywa? Żona suka?

– A co? Książkę pisziesz?

Koń uśmiecha się smutno.

– Nie chcesz mówić, nie mów. Nie zmuszam. Po prostu...

– Ile ty masz lat, co? – pytam nieco ostrzej, niżbym chciał.

– Dwadzieścia trzy. Bo?

– Życie ci niemiłe? Co to na policzku? Snork? Młody przecież jesteś, całe życie przed tobą. Źle ci w domu? Drugi raz nie będziesz miał takiego farta.

Koń marszczy brwi, wzdycha, wyjmuje papierosa i odpala go od ogniska.

– A idź do chuja. My was tutaj...

– Co wy nas? Że nie strzelaliście? Że przyjęliście jak swoich? Świetnie, dzięki. Ale nie o to pytam.

Koń macha ręką, wtyka papierosa między wargi, wstaje i pospiesznie wychodzi z sali.

– Co ty mu, Kojot, powiedziałeś? – pyta Hiszpan.

– Nic. Nieważne. Muszę coś zjeść.

Też podnoszę się z miejsca, spoglądam na Sinego i Tłoka, którzy dyskutują o czymś po cichu, Mira zerka na mnie, jej wzrok pełźnie na drzwi, przez które wyszedł Koń, szybko wstaje i zmierza w tamtą stronę.

– Debil – rzuca, przechodząc obok mnie, i znika w korytarzu.

To wódka tak na mnie działa czy do reszty zgłupiałem? Chłopak nie miał pewnie nic złego na myśli. Po cholerę potraktowałem go jak byle szczyła? Nie widział rodaka od Bóg wie jakiego czasu, zagadać chciał, a ja jak ta wredna ciotka sprowadziłem go do parteru. I za co? Bo zadał pytanie? Tutaj co chwilę ktoś o coś pyta. Taka ludzka natura. Więc o co mi chodzi?

Wyjmuję z plecaka puszkę, odchylam wieczko, siadam przy ścianie i czubkiem noża wygrzebuję zawartość. Smakuje to jak pies przemielony razem z budą, kawałki mięsa niemal chrzęszczą

pod naporem zębów, ale żołądek nie będzie wybrzydzał. W wojsku też nie było kolorowo. Jedzenie z kantyny potrafiło czasem wywołać odruch wymiotny. Konserwa to żadne frykasy, ale pod wódkę da się zjeść.

I wtedy, gdzieś między dźwiękiem szorującego o dno puszkę noża a połknięciem śliskiego od tłuszczu mięsa, zdaję sobie sprawę, dlaczego tak potraktowałem Konia.

On jest jak Świetlik. Mógłby mieć wszystko: dom, samochód, kochającą rodzinę, pieniądze i sławę. Ale nie. Skończy dokładnie tak samo jak ten, który umierał na moich oczach. Na mokrej, przesyconej krwią ziemi albo w pustym, zapomnianym przez Boga i ludzi pokoiku. Umrze jak każdy z nas. Prędzej czy później.

Bo kto ma szansę wrócić do normalnego życia? Ani Siny, ani ja, ani nawet Hiszpan nie wejdziemy z powrotem na Dużą Ziemię. Kiryłow już o to zadba. Zrobimy, co mamy zrobić, a potem wyrzuci nas bez płacenia. Jak tanią, odurzoną tabletkami dziwkę. Bo dla niego tylko tym jesteśmy.

Dobrem zbywalnym.

Rośnie we mnie wściekłość, z impetem rzucam pustą puszką w ścianę i chowam nóż do pochwy.

– Coś się stało? – Hiszpan odwraca się w moją stronę.

– Nie. Nic. Idę się przewietrzyć.

– Jakby tu było duszno... – zaczyna, ale Siny łapie go za ramię i siłą odwraca w stronę ogniska.

Stary chyba złapał aluzję.

* * *

Ciemno jest straszliwie, idę po omacku, niemal uderzam nosem w ścianę, przypominam sobie o latarce, wyjmuję ją z kieszeni i naciskam przycisk.

Klatka schodowa.

Budynek jest jednopiętrowy, więc zakładam, że to wyjście na dach.

Złość nadal buzuje w żyłach, zmęczenie, jakby ze strachu, chowa się gdzieś w głębi, alkohol przyspiesza tętno. Ten cały burdel na kółkach przecież nie jest z winy Konia. Dopiero co go

poznałem. Nic mi nie zawinił. Złościć mogę się tylko na siebie.

Siadam na schodach, odpalam papierosa, gaszę latarkę i patrzę w mrok.

Co jest ze mną nie tak? Czy to możliwe, że ten nibypies tak na mnie zadziałał? Hiszpan mówił o kontrolerze, który zabił jakiegoś stalkera, i nie mam powodu, żeby w to nie wierzyć. Nigdy żadnego nie spotkałem, ale dostatecznie dużo nasłuchiwałem się o tych mutantach. Przeróżające, humanoidalne istoty potrafiące wpłynąć na ludzką psychikę. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

Ale nibypies? Nawet gdyby był niezwykle wyrośnięty i silny, wątpię, żeby mógł dorównać kontrolerowi. Choć z drugiej strony dlaczego by nie? A znam ja się na tym wszystkim? Nigdy nawet głęboko w Zonie nie byłem, to co ja tam mogę wiedzieć.

Dźwięk kroków odrywa mnie od myśli, instynktownie łapię za kaburę i zastygam, widząc snop światła latarki.

– Wpierdolić mi przyszedłeś? – pyta Koń, schodząc po grubych, betonowych stopniach. Zaraz za nim pojawia się Mira.

– Recydywa – odpowiadam. – Wyjebali mnie z wojska. Trzeba się było gdzieś zaszyć. Przepraszam, warszawiaku, ale nie jestem sobą.

Wolnościowcy podchodzą do mnie, Mira siada kilka schodków wyżej, Koń usadawia się obok mnie i także wyciąga papierosa.

– Długo służyłeś?

– Parę lat. Dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że nie chcę tam zostać. A ty?

– Zabiłem gościa. – Mały, czerwony okrąg, jak ślepie dzikiego zwierza, rozpala się w mroku i przygasa po chwili. – W samoobronie. – Wzdycha i dodaje: – No powiedzmy.

– Jak mówisz „powiedzmy”, to jakbyś przyznawał się do winy.

– Znajomi stwierdzili, że napadną na kantor. Głośna sprawa była. Miałem stać na czatach. Dali mi kłamkę i postawili przed wejściem. No i napatoczył się ochroniarz. Nie chciałem strzelać, ale gość też miał broń. No i poszło.

– Dwadzieścia pięć albo dożywocie?

– Nie wiem. Spieprzyłem stamtąd, dzień po napadzie złapali

ziomków, więc dałem nogę.

Kiwam głową, choć wiem, że nikt nie jest w stanie tego zobaczyć.

Każdy popełnia błędy. W przypiływie głupoty, chwili albo durnego przeświadczenia, że tak będzie lepiej. A potem okazuje się, że nic nie jest jasne i proste, wszystko kręci się i płacze jak ogony dziesiątek tuszkanów zamkniętych na zbyt małej powierzchni. I mimo najszczerzych chęci czasem nie da się tego odplatać. Pozostaje jedynie przeciąć supły.

– Rodzina? – pytam.

– Tak – odpowiada lakonicznie Koń. – Ale pewnie myślą, że nie żyję.

– Może to i lepiej?

– Może.

Siedzimy tak w ciszy, zza ścian dobiegają rozmowy i śmiech. Jak wedle starych, szkolnych prawideł spotkań przy wódce – towarzystwo zawsze musi podzielić się na grupy. Inaczej się nie da.

– Zimno mi – odzywa się nagle Mira. – Chodźmy do ognia, bo zamarzną.

– Jasne – mówi Koń.

Błyska światło latarki, wolnościowiec pomaga dziewczynie wstać, wymijają mnie obydwójce i kierują się do głównej sali.

– Idziesz? – rzuca na odchodne Koń.

– Zaraz.

Mają się ku sobie, myślę, patrząc na oddalające się postacie. To widać gołym okiem. Młodzi, połączeni uniformem, możliwe, że i światopoglądem.

Może nie wszystko w Zonie jest takie straszne, jak to malują.

* * *

– Jest plan – mówi Siny, gdy tylko podchodzę do ogniska. – Tłok?

– O, dziękuję szanownemu przedmówcy za chujowe wprowadzenie tematu. – Mężczyzna kłania się teatralnie, niemalże przypalając sobie włosy w ognisku. – Ale do rzeczy.

Siny mówił, że nasi są na drodze. Niby moglibyśmy ich zostawić, ale to nie w naszym stylu. Chcę ich zobaczyć na własne oczy. Nie to, że wam nie wierzę. Po prostu tak trzeba. – Twarz wolnościowca pochmurnieje i nagle w miejscu żartującego, pyskatego chłopaczka pojawia się dowódca: zimny, kalkulujący, dbający o własnych ludzi. – Ilu naszych widziałeś przy ciężarówce?

– Sześciu – odpowiadam. – Mniej więcej. Czterech od strony wiatraka i dwóch po drugiej stronie wozu, jak już ich mijaliśmy.

– Jednego za mało – odzywa się Koń. – Było nas dziesięcioro.

– Ktoś przeżył? – włącza się Hiszpan.

– Marne szanse – mówię. – Kiedy to było?

– Prawie trzy dni temu.

– Była emisja. Raczej nikt nie dałby rady przeżyć.

– Raczej nie wchodzi w grę – stwierdza Tłok. – Trzeba to sprawdzić. Nie wiem jak wy, ale my swoich nie zostawiamy. Może gdzieś jest jakiś kanał burzowy, albo coś innego.

– Z tego, co wiem, to nie – mówi Siny. – Ale ręki sobie nie dam uciąć.

– Więc plan jest prosty. Pójdziemy, zobaczymy, sprawdzimy. Ha, prawie jak Cezar, nie?

– No dobra. Wszystko fajnie, ale co my mamy do tego?

– Jest nas trójka. – Tłok odwraca się w moją stronę. – Z wami będzie szóstka. Pójdziecie z nami i pomożecie.

Zerkam na Siniego, ten kiwa głową, Hiszpan patrzy w ogień.

Wracać? Nie bardzo podoba mi się taka perspektywa. Nie po to doszliśmy do rozdzielni, żeby teraz gonić z powrotem.

Tłok chwyta moje spojrzenie.

– W zamian pójdziemy z wami na Rude. Przynajmniej kawałek. To i tak w stronę naszego obozu, a sześciu ludzi nie ruszą byle bandyci. I wilk syty, i owieczka bryka.

– A jeśli nikogo nie znajdziemy?

– I tak musimy wrócić do obozu. Tam będzie dopiero jazda...

– Rozumiem, że to już uzgodnione? – Zerkam na kompanów.

– To dobry pomysł, Kojot – odzywa się Hiszpan. – Tam, na Rude, to trudna droga. Dodatkowe pary rąk się przydadzą. A

ciężarówka jest przecież tylko kawałek stąd.

Kręcę głową, chwytam za kieliszek i wlewam do ust setkę wódki.

Nawet gdybym zaoponował, na niewiele się to zda. Siny jest kupiony, Hiszpan też wydaje się popierać pomysł. A ja wciąż nie mam pewności, czy faktycznie wybieramy najlepsze wyjście. Niby niedaleko, droga w miarę prosta, sześciu ludzi ciężko zaskoczyć w polu, ale mam wrażenie, że coś mi umyka.

– Kiedy? Rano?

– Rano – odpowiada Tłok.

– Może i macie rację – stwierdzam wbrew przeczuciu.

– No to co? Za wyganianie radionuklidów! – Tłok podnosi kieliszek, brzdękają metalowe, stumililitrowe stożki.

– To ja proponuję... – Koń podnosi się z posadzki, idzie w stronę plecaków, klnie cicho pod nosem, w końcu słychać odczepiane klamry. – Muzykalnaja pauza!

Nie kryję zdumienia, szczeka mi opada, Hiszpan otwiera szeroko oczy, Tłok bije ciche brawa, Mira usadawia się przy ścianie i spogląda na chłopaka.

– Gitara? – pytam, upewniając się, że to nie zwidy. – Nosisz ze sobą gitarę?

– W Wolności trzeba dbać nie tylko o ciało, ale i o ducha. – Koń zasiada, łapie akord i po chwili salkę wypełnia brzmienie strun.

A co mi tam, niech Kiryłow się martwi. Wysłał nas, to niech teraz czeka.

* * *

„Każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i kierunku, lecz przeciwnie zwrócona” – tak głosi trzecia zasada dynamiki Newtona. Niemal na pewno poczciwy Izaak wpadł na tę zależność, leżąc w łóżku i odchodorowując monstrialnego kaca.

Niby człowiek wie, że po wypiciu pewnej dawki alkoholu kolejny dzień będzie piekłem, ale i tak, z uporem maniaka, za każdym razem brnie w tę samą matnię. Bo gdy pijesz, nie liczy się przyszłość. Jest tylko tu i teraz. Nic więcej.

– Stać – mówi Siny. – Przed nami.

Gwałtownie wciągam powietrze w płuca. Dostrzegam w trawie czarny grzbiet.

– Kabany. – Hiszpan wystawia lufę karabinu przed siebie.

– Zaczekajmy. Kojot, daj znać reszcie naszej grupy, że stajemy.

Cofam się kawałek, dopiero co wysuszone ubrania przemakają momentalnie, zbierając z trawy całą wilgoć. Łeb boli, jak gdyby ktoś przyłożył w niego sztachtetę. Co prawda wziąłem proszki, zjadłem śniadanie, ale kac jeszcze długo będzie o sobie przypominał. Tak to niestety jest, kiedy człowiek nie zna umiaru.

Podnoszę rękę, dając w ten sposób znać, że robimy postój, schodzę nisko, ze świstem zaciągam się świeżym powietrzem i od razu tego żałuję.

Zapach wilgotnej ziemi miesza się ze smrodem potu, swądem dymu z ogniska, który kompletnie przeniknął ubranie i lekką nutą taniej mielonki. Niby to nic, nie raz, nie dwa człowiek śmierdział, ale na kacu każde doznanie, od blasku słońca, przez krzyk, a kończąc na zapachu, wydaje się przygniatać do parteru i zmuszać do zaprzestania jakichkolwiek ruchów. Tylko błogi sen, butelka wody i kompletna, niczym niezmacona cisza.

Tylko o tym pomarzyć.

– Co jest? – słyszę gdzieś z trawy.

Podnoszę wzrok, rozorana pazurami twarz miga wśród zieleni.

– Dziki przed nami. Daleko, ale trzeba poczekać.

– A tam czekać, kotletów można by narobić.

– A wiesz, ile ich jest? Nie? No właśnie. Poczekamy, podejźmy na spokojnie. Przy ciężarówce i tak może być niewesoło.

Koń kiwa głową i znika w gęstwinie.

Nadal nie mogę się nadziwić różnicom w krajobrazie. Tutaj jest jeszcze w miarę zielono, trawa wysoka, może nie tak gruba i giętka jak za Kordonem, ale nadal imponująca. A za nami? Przy rozdzielni? Wszystko leży przy ziemi, nie mając sił wykiełkować choćby i centymetr w górę. Na Rudych Polach, wedle opowieści Hiszpana, ma być jeszcze gorzej: wszechobecna radiacja, anomalie, cholera wie co jeszcze. Idealne miejsce do badań, nie ma co. Ciężko będzie się ukryć i podejść niezauważonym. O ile w

ogóle będzie to możliwe.

Widzę, jak Siny podnosi rękę, podaję znak dalej i pełnę w kierunku kompanów.

– Tłok serio liczy, że znajdziemy kogoś żywego? – Hiszpan, trzymając broń cały czas w pogotowiu, meandruje w trawie.

– Nie wiem. Jak dla mnie to wie, że nikt nie ocalał. Grunt, że razem pójdziemy w naszym kierunku, nie?

– Ale w sumie w jakim celu wyszli szukać? Wyszliśmy – poprawia się stalker. – Na sentymentalnego nie wygląda.

– Patrz, gdzie leziesz, Hiszpan, i nie zadawaj mi głupich pytań. Wczoraj nie miałeś nic przeciwko temu.

– Niby tak, ale potem się zastanowiłem...

– No to zastanawiaj się dalej, ale po cichu. Łeb mnie tak napieprza, że zaraz ducha wyzionę.

Przechodzimy przez miejsce, w którym kilka minut wcześniej stały kabany, w mokrym gruncie dostrzegam ślady potężnych racic, przypominam sobie szarżę jednej z takich bestii podczas ostatniego przejścia przez Kordon i wzdrygam się mimowolnie.

Jasne, kotlety robić.

W tej trawie gównem byśmy zobaczyli. Oczywiście do momentu, w którym by się na nas rzuciły. Takie polowanie to skórka niewarta wyprawki.

Siny prowadzi powoli, z wyczuciem, za to pewnie i do celu. Mutry jedna po drugiej przecinają powietrze, szeleszczą kurtki, ułożone w ładownicach magazynki obijają się o siebie, wystukując rytm marszu.

Jakbym przeżywał *déjà vu*. Ubrania niemal równie mokre jak wczoraj, trasa kropka w kropkę ta sama i jedynie kierunek pochodu inny. Głowa też nie dawała mi spokoju, chociaż wtedy z nieco innego, mniej przyziemnego powodu.

Siny wyraźnie mówił, że wedle starych zasad nie powinno się chodzić dwa razy tą samą ścieżką. Słyszałem o tym przesądzie. Czasem kiedy złe przecucia brały górę nad zdrowym rozsądkiem, brałem go sobie do serca i wybierałem nieznaną szlak. Ale stary jest tradycjonalistą – weteranem Zony. Dlaczego więc zgodził się wrócić? Tak bardzo jest potrzebna nam pomoc?

Kolejne minuty wędrówki upływają w milczeniu. Zatopiony w myślach obserwuję lewą flankę, ale nikt ani nic nie burzy spokoju. Jakbyśmy wybrali się na wycieczkę po parku krajobrazowym. Starym, nieuczęszczanym, ale jednak parku, gdzie nie ma niebezpiecznych stworzeń ani pułapek, które w sekundę wysłą cię na tamten świat.



– Jest. Stoją tam.

Zatrzymuję się zaraz za Sinym, macham ręką i daję znać, że robimy zbiórkę.

– Patrzcie – mówię cicho. – Oni się chyba w ogóle nie ruszyli z miejsca. Pamiętam tego typa przy tylnej ośce. Stał tam dokładnie tak samo.

– To trupy – mówi Hiszpan. – Czego się spodziewałeś? Że będą łązić bez celu?

– No dokładnie tego. Albo że się położą. – Wzruszam ramionami. – A oni wyglądają jak skamieliny.

Wolnościowcy dołączają do nas po chwili, Tłok wyciąga

lornetkę, kontempluje rozkraczonego na środku drogi ziła i cmoka z niezadowoleniem.

– Jakbym wiedział, że są tak blisko, to nawet byśmy nie czekali. Oni tak od wczoraj stoją?

– Nawet pozycji nie zmienili – mówię, ocierając spoconą głowę.
– Przynajmniej tak mi się wydaje.

Tłok porusza niemo ustami, odrywa lornetkę od oczu i patrzy po nas.

– Jednego faktycznie brakuje. Chyba Gruchy. Może w środku ciężarówki?

– To co? Podchodzimy?

– Ja na pewno. Stąd go nie wypatrzę. Mira, ładuj się na pobocze. Będziesz osłaniać w razie czego. Jak dostaniesz sygnał, strzelaj. Koń, osłaniasz Mirę. Ktoś idzie ze mną?

– Nie będę stał i kibicował – mówię, zaciskam palce na drewnianych okładzinach automatu i podnoszę się lekko. – Panowie?

– Sprawdź lewo – stwierdza Hiszpan. – Siny, weźmiesz drugą stronę?

Skinienie głowy.

– No to ruchy – mówi Tłok i rusza do przodu.

Idziemy szybko i bez zbędnych ceregieli. Mlaskają buty, brzdękają sprzączki przy karabinach, filtry masek przeciwgazowych uderzają o magazynki.

Nie kryjemy się z obecnością. Za chwilę i tak cała okolica się o nas dowie.

Wychodzimy na pobocze, przed nami pojawia się mokry, lepki żwir drogi, kilkanaście metrów dalej widzę porzucone i kompletnie zardzewiałe truchło ciężarówki oraz cztery nieruchome postacie.

Wiem, że jeszcze niedawno byli ludźmi. Mieli swoje aspiracje, osiągnięcia, marzenia i porażki, ale nie mam wątpliwości, że to zniknęło. To nie są już członkowie frakcji. Nie są to już nawet istoty ludzkie, a jedynie wydmuszki – puste, bezrozumne stwory nieznające zmęczenia ani strachu. Ledwie parę dni temu bawili się i śmiali, rzucali sprośnymi żartami, decydowali o swoim losie.

Byli tacy jak ja, Siny czy Hiszpan. Ale dziś już nie są. Dla nich świat skończył się w chwili, gdy nadeszła emisja.

Jeśli pierwsza śmierć nie przyniosła im spokoju, druga z pewnością to zrobi.

Tłok wskazuje palcem, huk wystrzału niesie się w powietrzu, głowa stojącego daleko z przodu ciężarówki zombie rozpada się na kawałki, a ciało jak szmaciana lalka opada na ziemię.

Mira musiała go znać, a jednak nie było cienia zawahania. Zwykły gest i po nim strzał. Bez przestoju i niepotrzebnej zwłoki. Czy ja bym tak potrafił? Sam nie wiem. Nie umiałem skrócić mąk Świetlika. Czy zrobiłbym to, gdyby młody zamienił się w bezrozumne monstrum?

Wyrzucam z siebie dywagacje. Nie czas to ni miejsce.

Tłok wypala ze swojego L85, stojący po lewej stronie ciężarówki nieszczęśnik upada do tyłu, zgrywam przyrządy na kolejnym chodzącym trupie, naciskam spust, automat kopie w ramię i od razu przenoszę celownik na następnego.

Wypaleni przez gniew Zony nieumarli nawet nie reagują. Tylko jeden pokracznie rusza rękami, próbuje wyciągnąć z kabury pistolet, ale nie znajdując go, zacina się w jednym ruchu, jak kiepsko oskryptowana postać z gry komputerowej. Sekundę później jego czaszka dosłownie wybucha w powietrzu, kawałki szaro-czerwonej kaszy zostawiają na ciężarówce ohydny ślad, a pozbawione czerepu truchło łąduje na asfalcie. Z lewej strony dostrzegam zbliżającego się powoli Hiszpana, stalker przytula kolbę swojego AKSU, wypuszcza pojedynczy pocisk i kładzie znajdującego się z przodu ciężarówki trupa.

Jeszcze jeden, myślę, trawersuję drogę i szukam ostatniego celu.

Dobiegający z tyłu huk wystrzału niemal przyprawia mnie o zawał, odwracam się błyskawicznie i widzę wstającą z ziemi Mirę. Najwidoczniej była szybsza od nas.

– Można? – krzyczy Tłok.

– Czysto – odpowiada dziewczyna, podbiega kawałek, odwraca się do nas plecami, kłeka na ziemi i błyskawicznie przyjmuje pozycję strzelecką.

Gwiżdżę cicho, widząc z jaką wprawą posługuje się tak

ogromną bestią. Nie żebym uważał, że kobiety nie potrafią strzelać. Za czasów wojska mieliśmy parę takich dziewczyn, które w punktacji przebijały nas kilkukrotnie. Po prostu zawsze sądziłem, że Wolność tworzy zgraja niewyszkolonych, niepotrafiących się dogadać indywidualistów, którzy od ćwiczeń wolą siedzieć w zamknięciu i palić trawkę. A tu proszę, takie zaskoczenie. Może to i lepiej, że wcieliliśmy w życie ten mały plan. Ktoś taki, jak Mira, z pewnością przyda się nam w drodze.

Tłok podchodzi do ciężarówki i wskazuje na starą, wytartą plandekę.

– Otwierasz, ja patrzę. Na trzy, ty liczysz.

– Raz. – Chwytam za połać materiału. – Dwa. – Zaciskam palce na rogu plandeki. – Trzy! – krzyczę i szarpnię brezent do siebie.

Tłok momentalnie wsuwa do środka lufę, obrzuca spojrzeniem pakę i z krzykiem odsuwa się od ciężarówki. Potyka się o własne nogi, próbuje utrzymać w pionie, ale finalnie i tak ląduje na ziemi.

Nie czekam, nie celuję, po prostu kieruję broń w stronę wnętrza i kilkukrotnie naciskam spust.

– Nie, Kojot! – wrzeszczy Tłok, podnosząc się z ziemi. – Nie. Nie strzelaj.

Przerywam ogień, dostrzegam biegnącego w tę stronę Siniego, Hiszpan wyłania się z pobocza, Mira pozostaje nadal odwrócona plecami do nas, Koń patrzy na ciężarówkę, ale nie opuszcza stanowiska.

– Kurwa, co jest? – pytam.

– O ja pierdolę – mówi Tłok, opiera dłonie na kolanach i dyszy ciężko. Twarz ma białą jak ściana, ledwo stoi na nogach, ręce dygoczą mu, jakby przed chwilą odszedł od sztangi. – O ja pierdolę. Trupy.

– Co? – Biorę brezent w dłoń, szarpnię mocno i zaglądam do środka.

Serce przyspiesza gwałtownie, braknie mi tchu, wycofuję się spod ciężarówki, wodzę wzrokiem od Hiszpana do Siniego i z powrotem.

– Kojot? Znowu coś...

Siny podchodzi ostrożnie, podnosi materiał do góry i zaczyna

jeden z umiejscowionych na rogu brezentowej plandeki haczyków o pionowy, stabilizujący pręt i oddala się na kilka kroków.

- Trupiarka – mówi cicho i jakby z niedowierzaniem.

- Co? – pyta Hiszpan.

- Jebana trupiarka.

- A jaśniej?

- Mit – odpowiada Tłok, patrząc w głąb starego Ziła. – Jebana legenda.

Mija zaskoczenie, pełzający po karku strach przygasa nieco, podchodzę do samochodu i zaglądam do środka.

Nie potrafię zliczyć, ile trupów znajduje się w środku. To istna loteria. Leżą na sobie, ciało na ciele, czaszka przy czaszce, stare truchła, wyschnięte na wiór, w podartych, spranych kombinezonach, nie nadających się do niczego kurtkach i dziurawych kamizelkach. Przy samym wejściu zalegają stare maski przeciwgazowe, gdzieś w głębi dostrzegam licznik Geigera ze zbitym frontem. Wszystko wygląda tak, jakby stało tu od zawsze. A przynajmniej od wielu, wielu lat.

- Co to ma być? – pytam.

Siny patrzy na mnie, to na Tłoka, otwiera usta, zamyka je, znów otwiera, wreszcie macha ręką.

- Nic tu po nas – mówi w końcu. – Trzeba stąd spieprzać. To złe miejsce. Bardzo złe.

- A co z tymi...

- Pod plandeką są tylko stare trupy. Sprawdzę tamtych, których rozwaliliśmy na zewnątrz. Zobaczę, kogo brakuje – mówi Tłok, macha ręką do Konia.

Siny zasłania wnętrze ziła, patrzy na dłonie i wyciera je o spodnie, jakby brzydził się samego dotyku ciężarówki.

- Dawno mnie tu nie było, pozmieniało się w Zonie, ale żeby aż tak? Jak byliście tutaj jakiś czas temu, to ona tu stała? – pyta.

- Nie przechodziłem tędy – mówię cicho.

- Ja też nie. – Hiszpan nadal spogląda w kierunku wraku. – Rozdzielnie widziałem, ale tego tutaj nie.

Siny klnie pod nosem, spogląda mi w oczy, przenosi wzrok na

Hiszpana i niczym zdenerwowany pierwszą randką młodzik przeciera dłonie.

- Ja też jej nie pamiętam - stwierdza. - Wcześniej jakoś nie zwróciłem uwagi, ale teraz. Cholera.

- Więc co? Zmaterializowała się? Bo nie sądzę, żeby miała tu przyjechać. - Wyjmuję magazynek z karabinu, sprawdzam liczbę naboji i z powrotem wpinam go w gniazdo. Piętnaście - połowa. Wymieniać na nowy nie ma po co, choć z drugiej strony dobrze wiedzieć, jak dużo ich zostało. - I co to jest ta trupiarka?

- Tak jak mówił Tłok: legenda. Wy, młodzi nie znacie. I lepiej o tym tutaj nie mówić. Opowiem innym razem. Teraz trzeba stąd spieszyć.

- Ale trupy nam raczej wielkiej krzywdy nie zrobią. - Hiszpan pyka stawami w paliczkach, rozprostowuje dłonie i składa ręce na piersiach.

- Nie masz racji, Hiszpan. Tutaj wszystko może zrobić krzywdę. I nie gadajmy, tylko zwińmy się stąd jak najszybciej.

- Brakuje Bakaja. Grucha się znalazł. Leży przy szoferce. - Tłok podchodzi do nas, ręce drżą mu jak u przeżywającego atak epileptyka, oczy ma szeroko otwarte, białka przekrwione. W niczym nie przypomina wesołka sprzed kilku godzin. - Nie ma ciała, nie ma nic. Nawet broni. To znak, że mógł przeżyć.

- Tłok - mówię cicho - nie znajdziemy go. Mógł odłączyć się gdzieś wcześniej, coś go zjadło. Nawet jak leży gdzieś w pobliżu, to w tej trawie nie mamy szans, żeby go wypatrzeć. A broń? Może ktoś zabrał.

- Nie...

- No właśnie... - wtrącam.

- Nie przerywaj - mówi twardo Tłok. - Jeśli Bakaj miał przeżyć, to go znajdzie, rozumiesz? Wolność nie zostawia swoich.

- Bohater się znalazł - wzdygam.

- Kojot ma rację - wtrąca się Siny. - A im dłużej tu stoimy, tym gorsze mam przeczucia. Wolę nie stać zbyt długo przy trupiarni.

Wolnościowiec kręci głową, Koń nie odzywa się ani słowem, Mira zdaje się walczyć ze sobą, by nie zabrać głosu. Chodzi tylko w tę i z powrotem, pokonując kilka kroków to w jedną, to w

drugą stronę.

– Chcecie, to wracajcie do rozdzielni. My go poszukamy.

– Gdzie, do cholery, będziecie go szukać? W trawie? – irytuję się.

– Człowieku, daj spokój. W las będziesz szedł? On nie żyje, pogódź się z tym. Emisja była. Będziesz ryzykował życie swoich ludzi dla jednego niepewnego tropu? W zasadzie nawet nie tyle tropu, co własnego głupiego przekonania.

Tłok zbliża się do mnie, świdruje spojrzeniem, na czole wykwita mu pojedyncza pulsująca żyła.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. A tym bardziej moim ludziom. Ci tutaj zginęli, nie ma wątpliwości. Ale jeśli Bakaj zdołał uciec, znajdziemy go i zaprowadzimy z powrotem do obozu. Czaisz bazę, królowno?

– Panowie. – Siny wciska się między nas. – Spokojnie, bez nerwów. Kojot, ustąp, a ty, Tłok, go zrozum. Jest rano, minie trochę czasu, zanim wrócimy do rozdzielni. Dzisiaj pewnie i tak na Rude Pole nie ruszymy. Możemy szukać z wami, ale bez sensu będzie łązić za daleko. Podzielmy się na dwie grupy i sprawdźmy, czy gdzieś nie ma jakichś śladów. Jeśli za godzinę nic nie znajdziemy, wracamy do obozu. Pasuje?

Z całych sił staram się nie zaprotestować. Niby zgodziliśmy się pomóc, przyszliśmy tutaj, jakkolwiek by było, z własnej, nieprzymuszonej woli, ale gdybym wiedział, że skończy się to idiotyczną ratunkową eskapadą po trupa, zastanowiłbym się drugi raz. A mało ryzykujemy w tym momencie? Po co pchać się jeszcze głębiej w paszczę lwa? Tłok może i chce dobrze. Nawet go trochę rozumiem, ale nic usprawiedliwia takiej bezmyślności.

Czy mam wyrzuty sumienia, że nie zachowałem się jak Tłok? Powinienem był zrobić wszystko, co tylko można, żeby przenieść Świetlika za Kordon. A nie zrobiłem nic. Poszedłem po linii najmniejszego oporu. Czy ze strachu, czy poczucia bezsilności – nieważne. On mi zaufał, a ja go zawiodłem.

Kątem oka dostrzegam ruch, kieruję błyskawicznie spojrzenie w tamtą stronę, znajome zawroty głowy pukają do drzwi organizmu, dają krok w tył, by utrzymać równowagę, i oddycham miarowo.

Zapach zbutwiałego drewna, krwi i potu.

Widziałem go. Znowu. Lekki kombinezon, ręce ułożone wzdłuż ciała, wyżarte przez anomalie nogi... Był tam. Jestem tego pewien. Obok ciężarówka. Niby zjawa, a jak żywy.

Za każdym razem kiedy wrócę myślą do tamtych chwil, coś w mózgu zaczyna szwankować. Jakby mały, siedzący pod czaszką skrzat wduszał przycisk, który powoduje chwilowe spięcie.

– Może być – decyduje Tłok. – Za godzinę tutaj. Żadnych sprzeciwów?

Nie jestem w stanie wykrztusić choćby słowa. Chcę zaoponować, nie podoba mi się to całe ryzykowanie dla zamglonego, niepewnego celu, ale boję się, że każda kolejna myśl związana z negacją planu wywoła nieprzyjemną reakcję łańcuchową.

– Świetnie. Wezmę swoich. Widzimy się za godzinę.

Hiszpan patrzy na mnie krzywo, na jego twarzy rysuje się nieme pytanie.

Zamykam oczy i kiwam głową.

Chodźmy stąd jak najszybciej. Miejmy to już za sobą.

* * *

Minuty ciągną się jak topiony nad ogniem plastik.

Bgniemy przez trawy, Siny co chwilę przystaje, rzuca mutrą, odchodzi na bok. Raz za razem: ręka, rzut, kilka kroków, postój. Jeszcze trochę i zacznie przypominać robota.

– Nic tu nie ma, Siny – mówię wreszcie po dłuższym czasie. – Na cholerę my go w ogóle szukamy?

– Bo musimy.

Rzut, krok, postój.

– Jak to musimy?

– Bo czasem trzeba schować w kieszeń dumę i zdrowy rozsądek, żeby potem było łatwiej. Rozumiesz już?

– Tak bardzo zależy ci na ich towarzystwie?

Siny odwraca się do mnie, rozgląda się wokoło, Hiszpan gapi się gdzieś w przestrzeń po prawej.

– Odeszli, więc możemy pogadać – mówi stary, kuca, chowając

się w trawie, i pokazuje gestem, żeby zrobić to samo. – Gadałem wczoraj z Tłokiem. Ich obóz jest niedaleko Rudych Pól. Skorzystałem z okazji i podpytałem go nieco.

– I?

– I Kiryłow okazuje się większym skurwysynem, niż przypuszczałem.

– To znaczy?

– Tydzień temu patrol Wolności zauważył wojenstalkerów. Kilkunastu ludzi. Uzbrojeni po zęby. Szli w stronę Rudych. Mniej więcej od tej strony, najkrótszą drogą. Jak dla mnie to nie przypadek.

– Czyli sierżant jednak wysłał swoich? – Hiszpan siada na ziemi i przenosi karabin na kolana.

– Nie wiem, ale to cholernie śmierdzi.

– Może to jacyś przypadkowi – sugeruję, choć wiem, że szansa na zbieg okoliczności jest dość mała. Bo skąd niby mieliby się tutaj wziąć, jak nie z posterunku przy Kordonie. – No ale dobra. Coś więcej?

– Nie. Zobaczyli ich i nawet nie wdawali się w awanturę. A Wolność to akurat wojskowych nie lubi zbyt, więc tamci faktycznie musieli wyglądać na skurwysynów nie od parady.

– To co my tu robimy?

– Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Ale jeśli byli tam wojenstalkerzy, każda para rąk nam się przyda. Teraz, Kojot, rozumiesz, dlaczego odwalamy te poszukiwania? Przecież ja wiem, że nikogo nie znajdziemy. To nierealne po takim czasie. Ale jeśli mają nam pomóc, z chęcią położę chwilę w trawie.

Uśmiecham się pod nosem.

Można Siniego nie lubić, można uważać, że to stary, zrzędcący, przewrażliwiony dziad, ale na pewno nie jest głupi ani naiwny.

Łazimy jeszcze chwilę, mijamy delikatny, niewyczuwalny wręcz grawikoncentrat, wchodzimy, to znów schodzimy po wzniesieniu, pojedyncze smugi tarczy słońca przedzierają się przez barierę chmur, oświetlając drobne wycinki ziemi. Czuję się jak Kubuś Puchatek: im bardziej szukamy zaginionego członka Wolności, tym bardziej go tu nie ma. Żadnych śladów na ziemi,

choćby i odcisku buta, części oporządzenia, wgniecionych w ziemię łusek – niczego, co mogłoby naprowadzić na cel. Gdzie udał się Bakaj – nie mam zielonego pojęcia. Mógł oddalić się drogą, może napadła go banda psów, a uciekając w popłochu, wpadł w anomalie, która rozerwała go na strzępy. Każda z możliwości jest tak samo prawdopodobna jak poprzednia. Szukanie go jest czystą stratą czasu.

I już mamy dawać sobie spokój, zbliżamy się do ciężarówki, gdy dostrzegamy sunącego ku nam Konia.

– Znaleźliśmy chatę. W lesie na północ.

– Chatę?

– No chaty to już nie przypomina, ale Tłok kazał powiadomić.

Siny i Hiszpan zdają się tak samo zaskoczeni jak ja. Tutaj? Chata? W środku lasu? Zona jak zwykle postanowiła zakpić z naszego wyobrażenia o terenie, który powinniśmy znać.

– Dobra, prowadź.

Nie mam ochoty zagłębiać się w zagajnik, coś mi mówi, że to nie jest dobry pomysł, a jednak nie mogę powstrzymać ciekawości i wspólnie z kompanami ruszam za Koniem.

– Ktoś tam jest – mówi Tłok, gdy tylko docieramy na miejsce. – Mira?

– Nic nie widać.

Zajmuję pozycję przy wysokiej brzozie, biorę do rąk lornetkę i lustruję okolicę.

Nawet w pijanym widzie nie nazwałbym tego chatą. Wszędzie widać ślady szalejącego ognia, większość ścian już dawno opadła z sił i leży na trawie, tylko kilka drewnianych belek podtrzymuje zapadnięty w połowie dach.

Po lewej stronie widać zarys czegoś, co w przeszłości mogło uchodzić za studnię, z prawej spoczywającą w pokoju kupę zgniłych desek, nienadającą się już zapewne nawet na rozpałkę. Wszystko w stanie głębokiego i dojmującego rozkładu. Kiedyś mogło tu być pięknie, ale teraz to jedynie śmietnisko.

– No i? Nic nie widać. Już dawno nikogo tu nie ma.

– Poczekaj – szepcze Tłok.

Siedzimy w kompletnej, kłującej w uszy ciszy. Nie ma tu śpiewu

ptaków, nie lata robactwo, w oddali nie przemyka wiewiórka, zaskroniec nie ucieka przed nagłymi gośćmi. Martwa ziemia. Tylko drzewa trzymają się jeszcze w miejscu, choć gdyby dać im wybór, pewnie uciekłyby jak najdalej stąd.



Dźwięk odległego uderzenia. Raz, drugi, trzeci – bez wątpienia źródło znajduje się w domu. Skrzypi drewno, coś pęka głośno.

- Ktoś tam jest.
- Albo coś – mówię.
- To Bakaj – stwierdza Tłok. – To musi być on.
- Żebym miał tyle wiary co ty, pewnie góry bym przeniósł – komentuje Hiszpan. – To może być wszystko.
- Musimy sprawdzić. Jeśli jest cień szansy...
- Dobra, już zrozumieliśmy – wzdycham. – Nie zostawiacie swoich. Semper fidelis.
- Co?
- Jankesi tak mówią. Macie granaty?
- Mam dwa – odzywa się Mira.

– Ja wam, kurwa, dam granaty – oburza się Tłok. – Jeśli tam jest Bakaj, wyciągamy go, choćby nie wiem co.

– Tylko spokojnie – odpowiadam.

Dowódca Wolności patrzy na dziewczynę i kręci głową.

– Dobra, niech ci będzie – mówię. – Zróbmy tak: ja, Tłok i Hiszpan podchodzimy do środka, Siny, Mira, Koń zostają tutaj i osłaniają flanki. Pasuje?

– A skąd nagle w tobie taki taktyk się obudził? – pyta Tłok. – Jak podchodziliście do nas, to nie bardzo wam to wyszło. Widać was było z dobrych...

– Odupść sobie złośliwości – przerywam mu w pół zdania. – Masz rację, tam faktycznie może być twój człowiek, więc jeśli mamy coś zrobić, zróbmy to dobrze. Co ty na to?

Tłok milknie, uderza palcami o udo, w końcu podnosi głowę.

– Dobra, zgoda – mówi.

Chciałbym myśleć, że wyłaniamy się z krawędzi lasu niczym duchy. Jak mordercze zjawy, których nic ani nikt nie jest w stanie powstrzymać.

Ale to mrzonki. Nawet w najmniejszym stopniu nie przypominamy profesjonalistów. Wyglądamy raczej na niedzielnych graczy airsoftu, którzy raz na miesiąc wchodzą na teren lasu, żeby poczuć się jak na wojnie. Ani to mądre, ani szczególnie ciekawe. Oni mają natomiast nad nami jedną przewagę. Jeśli dostaną kulkę, mogą spokojnie zejść z pola, trzymając nad sobą czerwoną, oznaczającą trafienie chustkę. My takiej szansy mieć nie będziemy. Jeśli coś pójdzie źle, możemy zapłacić za to życiem.

Martwe gałęzie trzaskają pod butami, lekki, wiejący wprost na nas wiatr przynosi zapach starego, osmolonego drewna i lekką nutę czegoś innego. Nie potrafię tego rozpoznać, woń wydaje się znajoma, charakterystyczna, ale zmęczony kacem mózg nie jest w stanie połączyć ze sobą skojarzeń.

Staję na środku polanki, kilka promieni słońca pada mi na twarz, wyjmuję mutrę i rzucam ją przed siebie. Nakrętka opada na ziemię, toczy się kawałeczek i zamiera w bezruchu.

Czysto.

Kilka kroków w przód, za sobą słyszę oddechy Hiszpana i Tłoka, podchodzę do trzymającej się na słowo honoru ściany i zaglądam do środka.

Nadpalone meble, poczerniałe od ognia deski podłogi, zrujnowany piec kaflowy, kilka stopionych ze sobą wiader, zdezelowany, niekompletny rower. Hiszpan podchodzi do okna, Tłok ustawia się przy drzwiach.

Jedna z podtrzymujących dach belek wydaje się nieosmolona, a w dodatku całkiem świeżo ułamana. Sunę wzrokiem od góry w dół, w ułamku sekundy dostrzegam klapę w podłodze i stalowy uchwyt.

– Piwnica – mówię cicho, wskazując ręką kierunek. – Trzeba by podnieść belkę.

Gdzieś z dołu dobiega jęk i płacz, Tłok patrzy na mnie, blednie momentalnie i przestępuje przez próg chaty.

– Bakaj! – Wolnościowiec klęka przy klapie. – Bakaj, to ty?! Trzeba to złamać!

– Czekaj, chwila, moment. – Ostrożnie wchodzę do środka, naciskając butem co bardziej poczerniałe deski. Nie mam ochoty spaść. Niepokoję się nie tylko ewentualnym upadkiem. Coś tutaj jest mocno nie w porządku. Nawet jak na standardy Strefy.

Jęk, krzyk i zgrzytanie zębów.

– Tłok. Wiesz, że chcę pomóc, ale to chyba nie twój człowiek.

– Co ty pierdolisz? A co innego?

– Zombie? – ryzykuję. – Była emisja. – Była emisja. Sam mówiłeś, że zajebiecie wielka. A popatrz wokół siebie? Widzisz tu jakiś schron? Tłok. – Łapię go za ramiona. – Tam na dole nie czeka na ciebie twój człowiek, rozumiesz?

Wolnościowiec świdruje mnie wzrokiem.

– On ma rację – odzywa się Hiszpan. – Cholera. Przyjrzyj się. On nie mógł przeżyć. Nawet jeśli uciekł spod ciężarówki, nawet jeśli emisja go nie dorwała na zewnątrz, to w takiej piwnicy... W takim czymś nie był w stanie przeżyć.

Wiem, co się teraz stanie. Widzę to w oczach młodego, bądź co bądź, wolnościowca. Ten zapał, błysk w oczach, gniew i bezsilność. Bo on już zrozumiał. Nie potrafi tylko przetłumaczyć

sobie, że jego kumpla już nie ma.

Nie mija nawet sekunda.

Tłok wyrывa się z chwytu, jego pięść leci w moją stronę, z daleka słyszę krzyk.

Gdybym nie znał tego uczucia i nie był w stanie przewidzieć zachowania Tłoka, pewnie leżałbym na ziemi. Ale jestem szybszy.

Schodzę w bok, pięść mija mnie o milimetry, szybkim ruchem dosięgam dłonią karku wolnościowca, prostuję kolana i zakładam mu chwyt. Wystarczy jeden ruch, a torebka stawowa Tłoka zrejteruje i unieruchomię go na dobre. Ale nie chcę tego robić.

- Przestań – syczę przez zęby. – Przestań, kurwa!

- Puść mnie, ty psi dzyndzlu!

- Puść go! – słyszę gdzieś od strony lasu. – Bo mu jebnę!

Zerkam w tamtym kierunku, Koń trzyma Sinego na muszce, Mira, ledwie widoczna na tle zieleni, leży z karabinem i jestem pewny, że wiem, kto znajduje się na przecięciu siatki celownika.

- Tłok, nie rób niczego głupiego. Wiesz, że mam rację.

Z dołu słyhać głuchy, tępy jęk i uderzenie czegoś ciężkiego.

- Nawet... – zaczyna Tłok – nawet jeśli to nie on. Muszę sprawdzić. Rozumiesz? Muszę.

- I co ci to da? – mówię, luzując chwyt.

- Bo my rodzina. – Tłok siada ciężko. – Nie taka z krwi i pochodzenia. Zebraliśmy się pod jedną banderą. Na dobre i na złe. Śmiej się, jeśli chcesz. – Chłopak wyciąga ręcznie skręcane go papierosa. – Myślisz, że tutaj bogaci chodzą? Dobrze urodzeni? Nie. Tu idą ci, którym coś nie wyszło. I my wszyscy tacy. Popatrz na moją mordę. – Tłok odwraca się do mnie. – No popatrz. Co ona mówi? To nie jest twarz kogoś, kto wieczorami chadza po placach Kijowa, kupuje garnitury za dziesiątki tysięcy, pije prawdziwego szampana i jeździ rolls-royce'em.

- To nie powód, żeby nadstawiać karku za trupa – mówi Hiszpan. – Bo tam w piwnicy siedzi trup. Nieważne, jak bardzo ruchliwy i jak bardzo podobny do twojego ziomka. To już nie on. Przecież sam wiesz.

- Każdy z nich był z nami związany. Tak czy inaczej. Jednych

lubiłem, za innymi nie przepadałem, ale to nadal rodzina. Co by nie było.

Nie spodziewałem się czegoś takiego. Nie po nim. Żartujący ze wszystkiego i wszystkich, wydziergany, jakby dopiero co wyszedł z więzienia, może trochę głupkowaty, a jednak człowiek. Z krwi i kości, z całą gamą uczuć i rozterek. Tego w Zonie nie widzi się na co dzień. Większość stara się być twarda, jakby była wykuta z jednego kawałka granitu. Ale Ona wie, jak jest naprawdę. I pożre cię w całości, jeśli tylko jej na to pozwolisz.

I dopiero ta myśl uświadamia mi, jak wiele przejmuję od Siniego. Niby nie jest naszym mentorem, idziemy przecież oddziałem, grupą, w której każdy jest w miarę równy. A jednak doświadczenie starego stalkera sączy się w słowach i czynach, wpływa do głowy i zalewa to, co wcześniej brałem za drugą naturę. Jeszcze tydzień temu nie stroniłem od wracania tą samą ścieżką. Do tego przesądu podchodziłem raczej z rezerwą. A teraz? Już sama myśl o chodzeniu po własnych śladach napawa mnie niechęcią. Mimo że jesteśmy niemal równi, wiem, że tak naprawdę Siny prowadzi tę eskapadę, on daje wskazówki, wyjaśnia i mimo wszystko uczy.

– Na pewno chcesz sprawdzić? – pytam, opierając się o czarną ościeżnicę. – Pewny jesteś?

– Ta. Jeśli tego nie zrobię, będzie mnie to męczyło do końca życia.

– Hiszpan? Pomożesz?

– Jak sobie chcecie.

Wchodzimy do środka, stalker podchodzi do belki, ogląda ją, główkuje, w końcu wpełza pod drewnianą przeszkodę i kłęka.

– Dam radę ją podnieść, ale tylko na chwilę. Gotowi?

– Chcesz tam wejść? – pytam.

– Zaryzykuję. – Tłok chwyta pistolet w dłoń, szczęka zamek, nabój wpada do komory. – Dawaj – mówi i staje w rozkroku.

Hiszpan spluwa w dłonie, opiera drewno na ramieniu i powoli prostuje nogi.

– Ale. To. Kurewstwo. Ciężkie.

– Dasz radę?

– Dam. Byle nie za długo – sapie Hiszpan.

Gestem przywołuję Tłoka, chwytam osmoloną rączkę kłapy i otwieram ją powoli.

Słysząc jęk i zawodzenie, wolnościowiec zbliża się do ciemnego zejścia i kręci głową.

– Ciemno jak w dupie. Schody widzę. Potem jest zakręt.

– Schodzisz?

– Hiszpan, wytrzymasz? – Tłok spogląda na stalkera.

– Zamiast gadać, lepiej idź. – Stalker z każdą chwilą robi się coraz bardziej czerwony. – Kojot, dasz radę mi pomóc?

– Tak. Już. A ty, Tłok, schodź. Jakby coś się działo, spieprzaj na zewnątrz.

Staję przy samej kłapie, wchodzę pod czubek ułamanej belki, wystawiam ręce nad siebie i dźwigam drewniany legar. Hiszpan to kawał chłopca, ale czując, jaki ciężar spoczywa teraz na jego ramieniu, mam ochotę gwizdnąć. Sam nigdy nie dałbym rady tego podnieść.

Mijają sekundy, nic się nie dzieje, nagle słysząc trzask pistoletu i szybkie, zbliżające się kroki.

– Zamykaj. – Tłok wychyla się z piwnicy i odskakuje od kłapy.

Wychodzę spod belki, Hiszpan wciąga powietrze, łapie drewniany legar w dłonie, unosi go nieznacznie, po czym szybko schodzi na kolana, zrzucając jednocześnie ogromny ciężar do boku. Stalker łapie powietrze, twarz ma czerwoną.

– Załatwione – stwierdza Tłok. – Nic tu po nas.

– Bakaj?

– Tak.

– Miał ze sobą broń? Może coś dałoby się wziąć?

– Uwierz mi, nie chciałbyś. Niech wszystko zostanie pod ziemią. Może kiedyś trafi tutaj jakiś desperat. Wtedy mu się przyda. Ja tego nie tknę. I wy raczej też byście nie chcieli.

Widzę, że mówi poważnie, i nie mam zamiaru się kłócić. Nie po tym, co usłyszałem. Broń w Zonie to podstawa i jeśli Tłok mówi, że jej nie chcemy, nie mam powodu mu nie wierzyć. Nie chcę nawet wiedzieć, co tam zobaczył. Ma chłopak rację. Niech to zostanie pod ziemią.

Wychodzimy z chaty, kierujemy się ku ścianie lasu, Siny spogląda na nas niepewnie, Koń i Mira wyglądają na spiętych i przygotowanych do działania.

– Co to było? – pyta chłopak, ściskając w palcach chwyt karabinu.

– Wszystko załatwione. Nic się nie stało – odpowiada Tłok. – Bakaj... Widocznie nie przeżył emisji.

– Pytam o was. – Koń kiwa głową w moją stronę i przenosi wzrok na swojego dowódcę.

– Nieporozumienie. Nic, co warto roztrząsać.

Potwierdzam słowa Tłoka wzruszeniem ramion, zbliżam się do Sinego.

– Wszystko w porządku? – pytam cicho.

– Następnym razem ostrzegaj, że może być gorąco.

– Wybach. Taki mamy klimat.

– Pierdol się, Kojot. Młody mało co mi łba nie rozwalił.

– Wynośmy się stąd. – Tłok przechodzi obok Miry i klepie ją po ramieniu.

– Rozdzielnia, ma się rozumieć? – Hiszpan opiera się o drzewko plecami.

– Tak. Jutro ruszymy dalej. Na wschód, dzień drogi stąd, jest chałupa. Nocowaliśmy tam parę razy. Powinniśmy dać radę.

Powinniśmy, myślę.

Jeśli Ona nam pozwoli.

* * *

– *Otworzyłem ją. Przepraszam. Jesteś idiotą, Kojot.*

Otwieram oczy, kompletnie sina twarz Świetlika jest tuż przede mną, panika uderza jak obuchem, ciało ani drgnie i nie mogę nawet złapać oddechu. Chcę krzyknąć, przegonić senną marę, rzucić się do ucieczki, ale jedyne, co robię, to leżę w bezruchu, walcząc o władzę nad własnym organizmem.

Postać znika, uczucie bezsilności mija tak samo niespodziewanie, jak się pojawiło, błyskawicznie podnoszę się na materacu i dyszę jak biegacz po ukończeniu maratonu.

Ręce drżą, skurcze łapią za łydki, przestrzegając, bym nie

próbował gwałtownych ruchów, świadomość płączy się i potyka, szukając swojego toru, klatka piersiowa boli, jakby przebiegło po mnie stado kabanów.

Dojście do normalności zajmuje mi chwilę, tymczasem rozglądam się po sali. W mroku dostrzegam leżącego na plecach, pochrapującego cicho Tłoka, zaraz obok niego drzemie Siny, kawałek dalej rozlokowali się Mira i Koń; spleceni ze sobą wyglądają, jak gdyby wcale nie byli w Zonie, a po prostu usnęli na jednej z wielu studenckich imprez.

Hiszpana nie dostrzegam wcale, więc ma pewnie wartość.

Wstaję z twardego, zetlałego materaca, przecieram twarz, łykam wodę z manierki i cicho kieruję się w stronę korytarza.

Latarkę zapalam dopiero przy schodach, małymi kroczkami pokonuję skruszałe stopnie, niechcący trącam butem kamyk, ten spada i roztrzaskuje się na betonie. Chwytam za trzymającą się jeszcze w jednym kawałku barierkę, docieram w końcu na dach i wychodzę w noc.

Omiata mnie promień latarki, światło w sekundę wędruje na twarz, potem w dół, na nogi.

Hiszpan siedzi oparty o betonowy wywietrznik, ćmiąc papierosa.

– Czego nie śpisz? Już miałeś swoją wartość.

– Musiałem się przewietrzyć.

– Ta – śmieje się stalker. – Jakby na dole duszno było.

Przysiadam się obok, wyłuskuję fajkę z paczki, kręcę głową, widząc, jak mało ich zostało, ale wkładam do ust zwitek tytoniu, odpalam i zaciągam się mocno.

– Widziałeś parkę na dole? – pytam.

– Widziałem. Zazdrościsz?

– Zabawne, nie? Niby dookoła śmierć i rozkład, a oni jak dwa gołąbki. – Uśmiecham się pod nosem.

– Wiesz, że ona z Czech jest?

– Co?

– Ano. Najśmieszniejsze jest, że nikt nie ma pojęcia, skąd się tu wzięła. Gadałem chwilę z Koniem. Nawet on do końca nie wie.

– Niesamowite – mówię po chwili.

– Co?

– Cały czas słyszę, jaka Zona zła, jaka nieprzystępna i wredna. A Koń musi mieć zupełnie inne zdanie. No może nie zupełnie inne, ale odmienne.

– Wiesz, czego się nauczyłem ostatnio? Mówić a myśleć to dwie różne rzeczy – stwierdza Hiszpan. – To, co słyszysz albo widzisz, niekoniecznie musi być prawdziwe. Przecież wiesz, jak jest. – Wzdycha. – Na zewnątrz wszyscy mądrzy. Kłamią, przekręcają, wypaczają. Tam każdy próbuje odegrać jakąś rolę. – Stalker zaciąga się głęboko i wypuszcza szczypiącą w oczy chmurę dymu. – Po ostatnim razie, kiedy już stwierdziłem, że z tym kończę, dla zabawy przeczytałem o Zonie w Internecie. Panie! Cuda i dziwy. Niektórzy twierdzą, że to ziemia obiecana! Jakieś świry przygotowywały nawet pielgrzymkę.

– A czym Ona dla ciebie jest, co? – pytam.

– A co ty nagle taki ciekawski? – prycha Hiszpan.

– Nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie. – Śmieję się cicho.

– Ale tak serio, naprawdę to sam nie wiem – mówi, uśmiechając się pod nosem.

– Ja mam wrażenie, że coraz bardziej świruję.

Chwila ciszy.

– Kiedyś myślałem, że to druga szansa. Czysta kartka. Wchodzisz tu i stajesz się zupełnie inną osobą. Ale nie taką, jak na zewnątrz. Bardziej... prawdziwą – mówi.

– Prymitywną?

– Może? Chodzi o to, że nie masz odgórnych wskazań co do postępowania. Jeśli zrobisz coś złego, będziesz musiał z tym żyć. Jeśli nie dopadną cię wściekli ludzie, zrobi to sumienie. Prędzej czy później. Patrzysz w głąb siebie i dopiero wtedy możesz dostrzec, kim naprawdę jesteś. Dla jednych zbawienie, dla innych piekło na ziemi. W Zonie nie anomalie, nie mutanty i ludzie są największym przeciwnikiem. Jesteś nim ty sam i to, co masz w środku.

– Dlatego zrezygnowałeś z roboty w Zonie? – pytam.

– Nie. Nie uciekam od przeszłości. Fakt, zrobiłem parę rzeczy,

które do tej pory mnie prześladowają, ale jestem w stanie z tym żyć. Zrozumiałem po prostu, kim jestem i czego tak naprawdę chcę. I dokonałem wyboru. Tam, za Kordonem, czeka na mnie żona i dziecko. Cholera wie co sobie myśli. Nawet nie mogłem jej o niczym poinformować. Martwię się jak diabli i nic nie mogę poradzić.

- Zazdrościsz ci trochę.

- Życia na zewnątrz?

- Tak. Tej cholernej stabilności.

- Ha. - Stalker uderza mnie pięścią w ramię. - Widzisz? Dopiero tutaj zrozumiałeś, co tak naprawdę się liczy.

- Chyba. Wcześniej tego nie czułem. To znaczy może i miałem jakieś myśli, ale wszystko było schowane gdzieś pod spodem. A teraz, jak widzę Konia i Mirę, jakoś tak... inaczej jest.

- Musimy spróbować dogadać się z sierżantem. Albo znaleźć sposób, jak go obejść. Wrócimy na Dużą Ziemię i wyniesiemy się stąd w diabły. Już postanowiłem.

- O ile wrócimy. Mam wrażenie, jakby jakaś czarownica rzuciła na mnie urok. Cały czas coś mnie tu ciągnie. Nieważne, czy chcę, czy nie chcę. Po prostu jednego dnia siedzę w mieszkaniu, a następnego, zanim się obejrzę, wbijam się w kombinezon, pełzną po ziemi i liczę, że nic mnie nie zabije. Czy ja dążę do samodestrukcji?

- Nie wiem, Kojot. Odpowiedz sobie sam. Nie będę ci życia układał. Według mnie masz mnóstwo możliwości, tylko boisz się z nich skorzystać. Wiesz dlaczego? Bo tutaj jest łatwiej. Jesteś ty, cel i rzeczy, które mogą cię zabić. I mimo wszystko jest łatwiej. Nie przejmujesz się przyszłością, bo wiesz, że nie ma ona w Zonie znaczenia. Tylko teraźniejszość się liczy. - Hiszpan wyrzuca niedopałek i patrzy na fluorescencyjne wskazówki zegarka. - Idź obudzić Tłoka. Jego kolej.

- Myślisz, że to ten słynny zew, o którym paplają starzy wyjadacze? - pytam, podnosząc tyłek z azbestowego dachu.

- Myślę, że może to być cokolwiek, co sobie wydumasz. I że zawsze jesteś w stanie powiedzieć „dość”. Popatrz na mnie. Jestem na to świetnym przykładem.

Zbliżam się do schodów, kroki dudnią pośród ciszy, daleko na horyzoncie szarzeje niebo.

Świt już blisko, a wypadałoby urwać choć parę chwil snu. W końcu przed nami martwa ziemia.

Rozdział 6



Spust, błysk ognia, huk – wszystko zlewa się w jedną harmonijną całość. Bok ślepego psa wybucha fontanną wnętrzości, mutant chyba nie wie, co się dzieje, próbuje rzucić się przed siebie, ale nie mija sekunda i upada bez życia.

Reszta watahy kuli po sobie uszy, rozglądają się trwożnie i ujadając, zaczynają rozbiegać się na wszystkie strony.

Nie wyczuły nas.

Siedzimy w ledwo co odrastających od ziemi krzakach, Mira po lewej, Koń z tyłu, reszta ulokowała się za małym pagórkem. Trzaskają wieczka puszek, słychać ciche rozmowy.

– Ładnie – mówię w kierunku dziewczyny. – Dasz radę zdjąć jeszcze jakiegoś?

– Biegają jak pojebane. Szkoda amunicji.

– I tak idziemy w tamtą stronę. Może jednak?

– Dajmy się im uspokoić. Może będą chciały go zeżreć?

Odrywam oczy od lornetki, spoglądam w niebo. Ciężkie chmury snują się parami po niebie i tańczą na gnającym wietrze.

Od postoju w rozdzielni minęły dwa dni i choć wlecemy się żółtym tempem, to jednak cały czas jesteśmy żywi. Skutecznie przeszliśmy przez wypełnione anomaliami pola, zdołaliśmy wyminąć trzy czy cztery stadka mięsaczy. Gdy nocowaliśmy w zniszczonym gospodarstwie, podkradły się do nas ślepaki, ale Hiszpan do spółki z Tłokiem szybko przetrzebili szeregi wroga i pokazali, że mutanty nie mają czego u nas szukać. Zdążyłem pogadać z Koniem, pokłócić się o politykę i pośmiać z niemożliwych do przetłumaczenia na rosyjski żartów, czym

zresztą naraziliśmy się na krzywe spojrzenia reszty grupy. Siny wyluzował się trochę, Hiszpan znalazł w Tłoku partnera do rozmów o zawiłościach mechaniki, Mira i Koń niczym papużki nierozłączki odchodzili od grupy, oddając się doczesnym przyjemnościom.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie czające się pod skórą przeświadczenie, że coś nie gra. Strach, niepewność, niemożność zrozumienia tego, co się ze mną dzieje – wszystkie te uczucia, niczym szklane drzazgi, wniknęły do głowy i za nic nie chcą stamtąd wyjść. Bo tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co się ze mną wyprawia. Na pozór wszystko jest w porządku. Działam sam, normalnie, bez pomocy innych, ale wystarczy, że na chwilę odpłynę w przeszłość, a ta zdaje się wracać i prześladować mnie niczym widmo pirackiego okrętu, straszące zwykłych, prostych marynarzy. Nieważne, czy przyczyną tego stanu jest nibypies, który tak bardzo namieszał mi w głowie, czy ciągły stres.

– Jest jeden – mówi Mira. – Duże bydłę.

Ponownie zerkam w stronę skrzyżowania, potężny wrak czołgu rozstawił się na polance, obok niego widnieją zgliszcza małej chałupy. Znaki, jeśli kiedykolwiek tu były, już dawno pożarł czas, w oddali wygrzewa się przełamany w jednej trzeciej wysokości słup energetyczny.

Przebiegam lornetką po mutantach, dostrzegam wreszcie jednego, wyjątkowo wielkiego psa, paskudnie poznaczonego fioletową naroślą, i gwizdzę cicho.

– To chyba czarnobylec – stwierdzam.

– Bić w niego?

– A jak najbardziej! Jeszcze jak!

Dziewczyna pociąga za spust, samopowtarzalny karabin wyborowy radzieckiej produkcji rzyga ogniem, pocisk z hukiem przecina powietrze, trafia mutantą w okolice szyi i powala go na ziemię.

Żaden ze mnie snajper, nigdy nie miałem do tego zacięcia, ale potrafię docenić kogoś z wrodzonym talentem. Laikowi, trafienie na taką odległość mogłoby wydawać się proste. W końcu co to za

problem: umieścić nieruchomy cel pośrodku lunety i pociągnąć za cyngiel? Mało kto wie, jak wiele zmiennych potrafi wpłynąć na skuteczny strzał: wielkość obiektu, dystans, ukształtowanie terenu, wiatr, praca na spuście, oddech, sam karabin, waga i rodzaj pocisku – to wszystko trzeba poznać, nauczyć się zasad i wreszcie wcielić je w życie. To nie jest gra komputerowa, w której wystarczy nacisnąć lewy przycisk myszki i patrzeć, jak wróg pada martwy.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – pytam, obserwując kompletnie spanikowane mutanty. – Bo w wojsku raczej nie byłaś.

– A niby, kurwa, czemu nie?

Patrzę na Konia, ten uśmiecha się od ucha do ucha.

Dałem dupy.

– Nie no – mówię strapiiony. – Nie to, że...

– Tak, w wojsku. Nieważne – ucina dziewczyna i odrywa się od karabinu. – Uciekły. A panowie wpięprzają śniadanie? Pięknie.

Podnoszę się z ziemi, otrzepuję kurtkę z błota i ruszam w kierunku reszty towarzystwa.

– Psy dały nogę. Można ruszać.

– Kojot? – pyta Tłok. – A jakbyś miał do wyboru kobietę, co ma górę pijawki albo dół pijawki, to co byś wybrał?

– Twoją matkę – opowiadam. – Pojebało was całkiem? Zwijamy majdan i idziemy.

– Oho, okres mu się zaczął – śmieje się Tłok. – Zdążymy, nie bój żaby.

– Kojot ma rację – zgadza się ze mną Siny. – Za długi ten postój. Pewny jesteś, że nic już tam nie biega?

– Mira ustrzeliła czarnobylca. Bydlę wielkie. Samiec alfa chyba. No w każdym razie reszta poszła w rozsypkę.

– To broń w pogotowiu. Może i rezon straciły, ale nie znaczy, że nie zaatakują.

Kiwam głową, podchodzę do plecaka i zaglądam do środka.

Zapasy kurczą się wyjątkowo szybko. Żarcia mamy najwyżej na kilka dni, wódki prawie nie ma, woda na wyczerpaniu. Są co prawda tabletki oczyszczające, a będziemy przechodzić przez rzekę, ale wolałbym uniknąć picia śmierdzącej mułem i Bóg wie

czym jeszcze wody.

– Gotowi? – pytam, zatraskując klamry plecaka. – Możemy iść?

– Ta – odpowiada Tłok. – Do skrzyżowania, potem za czołgiem w lewo i przez las. Dwie grupy, jeden prowadzi.

– Pójdę przodem – mówię. Dźwigam plecak, zakładam pas z karabinem na ramię i ruszam przed siebie.

Schodzimy z niskiego wzgórza, niska, pożółkła, trącana lekkim wiatrem trawa kołysze się leniwie. Rzucam mutrę, kątem oka dostrzegam okrąg wypalanej do cna ziemi i omijam go szerokim łukiem. Trzaska uporządzenie, zza pleców dobiegają ciche rozmowy, chyba po raz pierwszy słyszę śmiech Miry i choć ciekawi mnie jego przyczyna, nie odwracam wzroku od ścieżki.

– Siny? – odzywa się Hiszpan. – Opowiedz o tej trupiarcie, co?

– Naprawdę chcesz teraz o tym rozmawiać? Lepiej wypatruj psów.

– Legenda – wyjaśnia Tłok. – Stara stalkerska legenda. Ponoć wywozili nimi trupy tych, którzy doszli do centrum Zony. Zwykle się o tym nie mówi, ale weterani, co to niejedno widzieli, wspominają o nich czasem. Po pijaku rzecz jasna. Jak zapytasz ich na trzeźwo, to tylko popatrzą na ciebie jak na idiotę.

– Ale jednak ją widzieliśmy, tak?

– Nie wiem, co widzieliśmy – odpowiada ostro Siny. – Nie wiemy. Najlepiej myśleć, że to po prostu jakaś ciężarówka. A że trupy w niej były? Może to jeszcze z czasów Pierwszej Katastrofy?

– Ale przecież sam przyznałeś, że jej tu nie było. Poza tym trupy w środku...

– Nie – przerywa Siny. – Przyznałem, że nie pamiętam, żeby tam stała. Tyle. Może nigdy na nią nie natrafiłem? Cholera wie. Skup się, do cholery, na otoczeniu, a nie mamłasz jęzorem.

Hiszpan nie odpowiada, milknie kompletnie i nie muszę na niego spoglądać, by wiedzieć, że ma skwaszoną minę. Ze mną zresztą jest podobnie. Też chętnie dowiedziałbym się nieco o tym, co widzieliśmy.

Zbliżam się powoli do skrzyżowania, podnoszę broń i wchodzę na szutrową drogę. Żwir chrzęści pod butami, zimny wiatr

omiata twarz, sprawdzam licznik Geigera, wskazówka drga delikatnie, ale nic nie odbiega od normy. Radiacja jest wszędzie i nic na to nie poradzę. Mogę jedynie napić się wódki, łyknąć antyrady i modlić się, żeby po takim zabiegu rewolucja w żołądku przebiegała nieco spokojniej niż ta w osiemnastowiecznej Francji.

Rozglądam się wokoło, rzucam mutrę, ta bez przeszkód przelatuje przez środek jezdni i upada miękko po drugiej stronie. Żadnego ruchu, nic nie wyje, nie warczy, próżno nasłuchiwać jęków, więc ruszam przed siebie, czując jednocześnie w dłoniach pokrzepiającą stal karabinu.

Dochodzimy wreszcie do truchła czołgu, geiger odzywa się mocniej, ale decyduję się nie wkładać maski. Zaraz i tak stąd ruszamy, a wolę uniknąć wątpliwej przyjemności męczenia się z gumowymi paskami.

– Ale bydlę – dochodzi do mnie zza pleców.

Odwracam się powoli, dostrzegam ogromne, pokryte dziwaczną naroślą ciało mutanta, którego położyła Mira.

– Bierzecie coś z niego? – pytam.

– Ogon można wziąć – mówi Tłok, podchodzi do truchła, wyjmując nóż i kilkoma potężnymi uderzeniami odrąbuje kawałek ciała wraz z kośćmi. – Koń? Weź mi wyciągnij z plecaka moje magiczne pudełeczko.

Klękam na jedno kolano, przytulam stopkę kolby do dołka strzeleckiego i obserwuję okolicę.

– A ten czołg skąd tutaj? Po wojnie został?

– Ta – mruczy Siny. – Ten kawałek drogi kojarzę. Bawiliśmy się tu jeszcze przed Katastrofą. Piękne czasy. Dorośli nas zganiłi, bo to pomnik historii był. A my i tak włąziliśmy do środka i udawaliśmy, że szarżujemy na tygrysy. Potem zaspawali włąz i tyle z tego było. Ale pamiętam, jak fajnie się skakało z czołgu. Mali byliśmy, to i wysokość była zacna. A teraz? Wszystko zżarła ruda, a radiacja poprawiła. Jak podejdziesz, zobaczysz, jak oddaje tłem.

– Nie, dzięki, daruję sobie. – Przenoszę wzrok i przez chwilę mam wrażenie, że gdzieś w małym zagajniku niedaleko przede

mną coś się poruszyło. – Czyli wiesz, gdzie jesteśmy, tak?

– Tak, Kojot, wiem. Ale pamięć już nie ta, a tutaj tyle się pozmieniało.

– Że niby co? – pyta Hiszpan.

– To ciężko wytłumaczyć. Ja tę okolicę zapamiętałem inaczej. Nie było tego skrzyżowania, tylko jedna, prosta droga. Ale to nic wielkiego. W moim wieku...

Słowa Siniego przelatują mi przez głowę, skupiam wzrok przed sobą i czekam.

Jestem pewien, że coś siedzi w lesie. Przemknęło szybko między drzewami, a potem rozpląnęło się w powietrzu. Choć może tylko moja niedyspozycja znowu się odzywa? Skoro gadają do mnie trupy, czemu nie mogą mieć też zwidów. Przecież to nie byłby pierwszy raz.

– ...i kości bolą. Za stary jestem na takie wyjścia.

– Cicho – mówię ostro, zgrywam przyrzady, poprawiam chwyt i nasłuchuję.

Tłok zamiera z nożem w ręku, Siny powoli zdejmuje karabin z ramienia, Hiszpan sięga po automat i klęka na jedno kolano.

– Lasek. Coś tam było – cicho informuję.

– Może ci się przywidziało? – sugeruje Siny. – Dobrze się czujesz?

Zerkam na niego ukradkiem, ten kiwa głową ze zrozumieniem i słyszę, jak manipuluje selektorem ognia swojego pistoletu maszynowego.

Mijają długie sekundy, wiatr obmywa gałęzie uschniętych drzew, zimny pot spływa po karku.

Trzask gałęzi i wyraźny tupot gdzieś od linii zagajnika.

– Którędy droga? – pytam cicho, nie odrywając się od celownika. – Prosto?

– Tak.

Przeklinam pod nosem.

– Pijawka pieprzona – mówi Hiszpan. – Narzuciła kamuflaż i czeka.

– Ale wygłodniała musi być, skoro tak podeszła – komentuje Tłok.

– Może wyczuła psa?

– Możliwe. Możemy obejść lasek, ale nadłożymy sporo drogi. No i nie ma pewności, czy da nam spokój. – Tłok uderza w ogon czarnobylca i odrywa pokryte cienką warstwą skóry kości.

– Jestem za – mówię. – Nie mam ochoty się tam pchać. Jedna pijawka na koncie mi wystarczy.

– Zabiłeś jakąś? – Siny wydaje się wyraźnie zaskoczony.

– Powiedzmy – przyznaję niechętnie.

Blask zielonej mazi, krzyżący Świetlik, zapach zbutwiałego drewna.

Potrząsam głową, podpieram się ręką, aby nie upaść na ziemię, serce bije jak oszalałe.

Jest coraz gorzej. Byle pretekst, a mózg jakby samowolnie oddala się we wspomnienia. Ale nie tak, jak wtedy, gdy przegląda się zdjęcia z młodości, wycieczek w góry czy odległych wojaży, ale w sposób, którego do tej pory nigdy nie doświadczyłem. Jakbym na ułamek sekundy, całym sobą, przeniósł się w przeszłość i przeżywał wszystko od nowa. Z tą różnicą, że nie jestem w stanie niczego zrobić. Patrzę, widzę, czuję, ale nie jestem w stanie zareagować.

– Kojot. – Hiszpan wyrывa mnie z przedziwnego marazmu. – Kojot? Wszystko dobrze?

– Tak, spokojnie. Nic mi nie jest – zapewniam, choć organizm zdaje się temu przeczyć. – Zamyśliłem się. Dużo trzeba nadrabiać?

– Sporo.

– Warto spróbować – mówi Siny.

– Może ktoś poprowadzi? – pytam. – Bo ja drogi nie znam.

– Koniu? Dasz radę czy ja mam pielgrzymować jako pierwszy? – pyta Tłok.

– Mogę. Tylko szybko, zanim mutant zmieni zdanie.

– No to już. *Paszli!*

* * *

Gdybym wiedział, jak daleko znajduje się skraj lasu, pewnie znalazłbym tę pijawkę, przystawił jej karabin do głowy i strzelił

między wredne, błyszczące nienawiścią oczy. Ale niestety. Tamta chwila minęła bezpowrotnie i mogę tylko płuć sobie w brodę.

Idziemy dwiema grupami: razem z Hiszpanem i Sinyim brniemy po lewej stronie ledwo widocznej ścieżki, Mira i Tłok pokrywają prawą flankę, Koń natomiast niestrudzenie prze naprzód, wyznaczając bezpieczny kurs. Co raz zakładamy, to znów zdejmujemy maski, Geiger ryczy wściekle, ostrzegając nas przed promieniowaniem, to znów milknie i zamiera. Czasem na sekundy, czasem minuty – bez ładu i składu, jakby cała ziemia dookoła była wielkim radiacyjnym polem minowym.

Z minuty na minutę wszystko szarzeje i traci kontrast, chmury jak na złość zasnuwają większość nieba, długie cienie drzew giną, podtapiane przez coraz śmielej postępujący mrok, i już niedługo będziemy zmuszeni iść przy świetle latarek. A to niezbyt dobry pomysł.

Mutanty przypominają czasem ćmy i zupełnie jak one, lgną do światła. Tyle że nie jest to spowodowane prostym błędem w nawigacji, a świadomością, że tam gdzie jasno – tam też posiłek.

Czuję odparzone stopy, plecak od dłuższego czasu gniecie w kręgosłup, każdy trzask oporządzenia, głośniejszy oddech czy choćby drobny, wywołany przez skrywającą się w ciemności anomalie postój jest jak gwóźdź, który powoli, ale skutecznie wbija się w mózg, trącając nerwy i każąc rzucić wszystko w cholerę.

– Daleko jeszcze? – przerywam ciszę. – Idziemy i idziemy, a końca nie widać. Jakbyśmy stali w miejscu...

– Wypluj to słowo – warczy Siny. – Jeszcze nam tego brakuje.

– Czego?

– Nieważne, nie było tematu. Po prostu idź.

– Noc już prawie. Tłok? Na pewno dobrze idziemy?

– Tak. Niedługo powinna być chałupa.

– Jeszcze trochę i gówno zobaczymy, a nie domek – rzuca uwagą Hiszpan. – Kojot ma rację, zaraz ciemno będzie.

Chyba każdy zdążył już o tym pomyśleć.

Nie chodzi się nocą po Zonie. Nieważne, co mówią inni ani jakie argumenty mogą przedstawić, by nie zgodzić się z tym

twierdzeniem. Staram się unikać łażenia w ciemności, jak tylko mogę. Bo może nie jest to odgórna, popularna i przestrzegana zasada, czasem trzeba ją nagiąć, ale nocny spacer po Zonie jest proszeniem się o bolesną śmierć.

– Stać – mówi Koń. – Coś tam jest. Przed nami.

Zerkam w tamtym kierunku, mała, okrągła, mieniąca się czerwonym blaskiem kula toczy się po ziemi, staje w miejscu i za sprawą tajemniczej siły wraca powoli na swoją pierwotną pozycję.

– Artefakt! – Hiszpan wyrywa się z szyku i podchodzi kawałek do przodu. – Kula ognia.

– Ładne znalezisko – stwierdza Siny. – Gorzej, że skądś musiała się tu wziąć, a iskrownika tak łatwo nie zobaczysz.

– Zaraz obadamy sytuację – mówi Koń.

Kląkam na jedno kolano i choć widoczność powoli schodzi do zera, wodzę lufą po płaskim jak blat stołu polu. Wiem, że w gruncie rzeczy mija się to z celem. Jeśli coś lub ktoś zdecyduje się nas zaatakować, będę mógł bić jedynie na ślepo, a taka bezładna strzelanina nigdy nie kończy się tak, jak byśmy sobie życzyli. W najlepszym wypadku jest tylko po prostu marnowaniem amunicji. Nawet jeśli chciałbym prowadzić ogień wsparcia, najczęściej okazuje się, że „wspiera” on tylko w teorii.

– Kurwa, przecież gdzieś tutaj musi to być – słyszę podenerwowanego Konia. – Ma ktoś mutry? Nie chcę tam wchodzić, a wszystkie poleciały mi jakoś daleko.

– Rzucaj tam, gdzie widzisz artefakt – podpowiada Siny. – W Wolności was nie uczą? Tylko odsuń się kawałek, do cholery.

Mija kilka uderzeń serca, nagle słyszę huk, ziemia trzęsie się lekko i widzę, jak kilka metrów od przewodnika wystrzeliwuje ogromny słup płomieni. Ryk ognia jest potworny, przyzwyczajone do głębokiej ciszy bębunki zdają się krzyczeć o pomoc, gorące powietrze uderza mnie w twarz, nęcąc i zapraszając w swoje ramiona.

Wiem, że to czyste samobójstwo, ale i tak miło jest poczuć na skórze żar. W Strefie rzadko kiedy temperatura przekracza dwadzieścia stopni. No chyba że podejdziesz się do takiego

spalacza. Tyle że zazwyczaj jest to podróż w jedną stronę.

– Ożeż kurwa! – krzyczy Koń, wycofując się szybko z zasięgu anomalii. – Szlag, zjarało mi włosy!

– Mówiłem, żebyś się odsunął! – wrzeszczy Siny. – Coś więcej ci przysmażyło?

– Nie, tylko to.

Kątem oka dostrzegam, jak Hiszpan podnosi karabin do ramienia.

– Padnij! – krzyczy z całych sił.

Reakcja jest natychmiastowa.

Wolnościowcy plaskają na ziemię, broń Hiszpana wypluwa z siebie serię, w ryku anomalii da się słyszeć dodatkową, znajomą mi nutę, wiodę wzrokiem po linii strzału i koncentruję wzrok na linii lasu.

W jasnym świetle spalacza dostrzegam kilkanaście par oczu... I tylko oczu. Nic więcej. A co gorsza – wszystkie skierowane są w naszą stronę.

Pijawki, jasna i klarowna myśl przebiega mi przez głowę. Nie jedna ani dwie; wydaje się, jakby była ich cała chmara.

Nie mam czasu myśleć. Zrzucam z siebie ciężki plecak, kieruję automat w stronę zbliżającego się, widocznego doskonale potwora, który zrzucił właśnie kamuflaż, i naciskam spust.

A mieliśmy być ostrożni.

Mutant biegnie w stronę leżących na ziemi wolnościowców, błyskawicznie zmienia kierunek, a moje pociski wędrują gdzieś w przestrzeń. W tym samym momencie odzywa się MP5 Siniego, dostrzegam, jak kule muskają pijawkę, bryzga krew, ale stwór nawet nie zwraca na to uwagi.

Szybki skok, kończy się drą mokrą ziemię, ogromna, najeżona zębami paszcza nieuchronnie zbliża się do Tłoka. Już widzę, jak pijawka miota potężną łapą, gdy nagle głowa mutanta wybuchuje jak miążdżony arbuz, a cielsko upada na dowódcę oddziału.

– W tył! – wrzeszczy Tłok, strąca z siebie truchło potwora i odpychając się nogami od ziemi, pełźnie na plecach w kierunku pola. – W tył, kurwa!

Spoglądam dookoła, dwa mutanty już są w drodze, Siny strzela

seriami i cofa się na pole, Hiszpan wypina magazynek, załącza nowy i szarpie za rączkę przeładowania. Naciskam spust, AKMS rzyga ogniem, jedna z pijawek obrywa gdzieś w okolicy boku, zwalnia znacznie i upada po sekundzie, rażona drącymi powietrze pociskami.



– Mira! Koń! Do tyłu! – krzyczę, mając nadzieję, że wśród pandemonium dźwięków mój krzyk odnajdzie adresatów.

Dziewczyna podnosi się nagle, szarpie chłopaka, ten wstaje, podpierając się swoją bronią.

I wtedy ją dostrzegam: ogromna pijawka jest tuż przy nich.

Musiła mi gdzieś umknąć, złać się z tłem albo dopiero teraz zdecydowała się zrzucić maskowanie.

Czas zwalnia bieg, sekundy wloką się niemiłosiernie. Przenoszę celownik na łeb mutanta, ale nie mogę strzelić. Zbyt duże ryzyko. Koń wydaje się całkowicie nieruchomy. Odwrócony twarzą w moją stronę, nie widzi zagrożenia. Wyprężone macki już sięgają chłopaka, potężne łapsko, uzbrojone w ostre jak brzytwy pazury,

leci w kierunku wolnościowca, dziewczyna zwraca głowę ku niespodziewanemu zagrożeniu, ręka wędruje po czekający w kaburze pistolet. W blasku bijącego z ziemi ognia dostrzegam rozszerzone z przerażenia oczy Miry i wiem już, że jest za późno.

Pijawka ryczy głośno, łapa uderza chłopaka w prawy bok, młody niczym uderzony przez samochód przechodzień leci w powietrze, upada na ziemię i niczym szmaciana lalka koziółkuje kilkukrotnie.

Nie czekam ani chwili dłużej. Naciskam spust, Mira łapie za pistolet, błyskawicznie wyciąga go przed siebie i raz za razem strzela w potwora. Głowa mutanta odskakuje w tył, zawartość czaszki miesza się z krwią i wytryskuje z ran, dziewczyna wrzeszczy głośno, zamek pozostaje w tylnym położeniu, ale ona nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Pijawka upada na ziemię, dziewczyna mimo pustego magazynka rzuca się na potwora i zaczyna okładać go rękojęcią.

– Kojot! Młody!

Zapach drewna, zielona, błyszcząca breja, upiorny ryk.

– *Muszę cię stąd przenieść.*

NIE TERAŻ!

Serce wali jak oszalałe, ciało telepie się niczym trzcina na wietrze, potrząsam głową i spoglądam w kierunku Konia.

Nieruchome ciało leży na granicy piekielnej anomalii, materiał kombinezonu topi się momentalnie, pod wpływem żaru włosy skręcają się i znikają błyskawicznie. Lewa ręka, znajdująca się najbliżej epicentrum, wydaje się spalona na proch. Nie myślę, nie kalkuluję, nie zastanawiam się – to, co robię, to czysty odruch. Po prostu rzucam karabin na ziemię i ruszam pędem w kierunku młodego.

Kawalkada strzałów nie milknie ani na sekundę, nisko przy ziemi dopadam do chłopaka, ciągnę go za nogawki kombinezonu, w mig ściągam z siebie kurtkę i uderzam miejsca, gdzie płonie otwarty ogień.

– Mira! Kurwa jego mać! – wrzeszczę.

Ale ona jest już przy mnie.

– *Ne, ne, ne!* – powtarza w kółko, rzuca pistolet na ziemię i klęka

przy Koniu. – *Ne! Oh Bože, ne!*

Huk strzałów, ryk mutanta, kawałki ziemi lecą w moją stronę i rozpadają się przy upadku.

– Uspokój się, do cholery, i pomóż! – krzyczę na dziewczynę.

Jest w ciężkim szoku, pewnie nie wie nawet, co się dzieje, ale nie mogę dać jej żadnej taryfy ulgowej. Jeśli czegoś szybko nie zrobimy, to chłopak umrze, a zaraz potem i my.

– Muszę go przenieść, rozumiesz? Mira! Osłaniaj mnie!

– Jeszcze jedna! Na prawo! – krzyczy Tłok.

– *Ne, nedělejte mi to!*

– Mira! – krzyczę. – Dziewczyno! Przenoszę go! Strzelaj! – Podaję jej mojego forta.

Dziewczyna patrzy na mnie nieobecny spojrzeniem, po policzkach spływają jej łzy, usta cały czas powtarzają coś niemo.

I nagle jakby wreszcie do niej dotarło. Kiwa głową, sprawnie przeładowuje pistolet i wstaje.

Chwytam młodego na ręce, dopiero teraz dochodzi do mnie smród palonego mięsa, plastiku i materiału, żołądek kurczy się gwałtownie, mięśnie nóg odzywają się bólem.

– Kryj! – Odwracam się tyłem do linii lasu i czym prędzej biegnę ku kompanom.

– Bardzo źle? – Tłok pojawia się natychmiast przy mnie.

Hiszpan oddaje jeszcze kilka strzałów, Siny instruuje Mirę, ta wypala dwie kule i rusza w moim kierunku.

– Bardzo – odpowiadam, dysząc ciężko.

Mira błyskawicznie podchodzi do niesionego przeze mnie chłopaka i sprawdza puls.

– Żyje!

– Nie zatrzymujemy się – mówi Siny, ledwo łapiąc oddech. – Ich może być więcej.

– Jeszcze więcej? Kurwa, przecież to cały jebany pułk mutantów – krzyczy Hiszpan.

– Trafiliśmy chyba na gniazdo.

– Ale, kurwa, gdzie?

– Hiszpan, czy ja ci wyglądam na encyklopedię? Tylko zgaduję, do cholery.

– Tłok? Daleko do tej chałupy?
– Nie, kawałek.
– Niech ktoś weźmie mój plecak i karabin. I prędko, bo on nie przeżyje.

I tak jest za późno, szepcze mi głos w głowie. Nie uratujesz dzieciaka. Kolejnego zresztą.

Taki los.

* * *

Światło latarki biega po ziemi, drobię nogami najszybciej jak mogę, zza pleców słyszę pojedyncze wystrzały i odległy ryk mutantów.

Albo faktycznie trafiliśmy na legowisko pijawek, albo bestie urządziły sobie jakieś chore, zorganizowane polowanie. I to właśnie ta druga opcja przeraża mnie bardziej. Bo gdyby chodziło o terytorium, prędzej czy później bestie odgoniłyby nas od swojego lokum i dały spokój. To logiczne, nawet jak na zachowanie mutantów. Znacznie gorzej, jeśli pijawki wcale nie chcą nas przegonić, a wręcz przeciwnie – dopaść, zabić i urządzić sobie ucztę. W takim przypadku, nawet jeśli dotrzemy do obiecanej przez Tłoka chałupy, będziemy musieli walczyć o życie. A w ciemnościach, na nieznanym terenie, z umierającym na rękach Koniem i kończącym się zapasem amunicji, nie będzie to ani łatwe, ani przyjemne.

– Daleko jeszcze, do cholery? – krzyczę, ledwo łapiąc oddech.

Światło latarki umyka mi sprzed oczu, pędzi w dal, jasna plama wyrывa z mroku zarys stojącej na polu, dwupiętrowej chałupy i błyskawicznie powraca na pole.

– To tam! – krzyczy Tłok. – Biegiem!

Zaciskam zęby, zmuszam się do jeszcze większego wysiłku, organizm pracuje na najwyższych możliwych obrotach i tylko modlę się w duchu, by nie wpaść w jakąś anomalię. Bieganie czy nawet szybki marsz bez sprawdzania terenu też jest proszeniem się o śmierć. Nie mamy nawet jak rzucić mutry czy rozejrzeć się dokładnie, pędzimy na łeb na szyję, byle tylko dostać się do jakiegokolwiek schronienia.

– Chyba odpuszczają! – słyszę głos Siniego. – Bład', nie mam już prawie amunicji.

– U mnie tak samo. – Hiszpan wyraźnie niedomaga i z trudem łapie oddech.

Proszę. Daj nam żyć. Ten jeden, ostatni raz, dziwna, zupełnie obca modlitwa przebiega mi w myślach i ze zdumieniem pojmuję, że nie rzucam jej ku niebu, ale daleko na wschód – ku wyrastającym z ziemi wielkim kominom Elektrowni. Bo Bóg nie ma tutaj nic do gadania. To Ona, nie pytając o pozwolenie, zaanektowała ten teren, wbiła weń swoje proporce i zadowolona rozsiała się od południa Białorusi po niemal środek Ukrainy. I to Ona decyduje o życiu bądź śmierci.

Promień latarki przebiega po polu, kątem oka w jaskrawym świetle dostrzegam kawałek pustej, jakby wyprasowanej gigantycznym żelazkiem ziemi.

– Grawikoncentrat – krzyczę, w ostatniej chwili trawersuję gołą połąć gleby.

Chwieję się, tracę równowagę i lecę na ziemię.

Nieprzytomny, ledwo żywy Koń ześlizguje mi się z ramienia, jego ciało uderza głucho o grunt, zaraz potem dołączam do wolnościowca i ryję twarzą o glebę. Czoło natrafia na kamień, ból przesywa czaszkę, ciepła krew błyskawicznie wypływa z rozcięcia i czuję, jak jej strużki spływają po kościach, natrafiają na nos, perlą się na jego czubku i spadają na martwą ziemię.

– Kojot! – Tłok błyskawicznie znajduje się przy mnie, łapie mnie za kamizelkę, przekręca na plecy. Dyszę ciężko, igielki cierpienia przesywają całe ciało, pulsujące łydki ostrzegają przed zbliżającym się skurczem.

Mira od razu dopada chłopaka i krzyczy coś w swoim języku.

– Nie dam rady – zipię, plując jednocześnie grudkami gleby. – Nie dam rady.

– Dasz! Weź mój sprzęt, ja go poniosę. – Tłok błyskawicznie ściąga oprzyrządowanie, pomaga mi wstać, brutalnie odpycha klęczącą dziewczynę, chwyta nieruchome ciało Konia i zarzuca sobie go na ramię.

– Tłok, pomogę! – mówi Mira, doskakując do jęczącego z

wysiłku wolnościowca.

– Pomóż osłaniać, my damy radę!

Wiem, że muszę dojść do siebie, uciekać jak najdalej od zagrożenia, ale coś mi nie pozwala. Jakby nogi zapadły się w bagno, które z całej siły przytrzymuje mnie w miejscu i za wszelką cenę nie chce puścić.

Pieprzona anomalia!

Nagle skojarzenie faktów wywołuje paniczny strach, z przerażeniem spoglądam w dół, ale stopy znajdują się daleko od niebezpiecznego, spłaszczonego terenu. Oddycham głęboko, próbuję wyciszyć nerwy i nagle wszystko wraca do normy – czuję ból nóg, poruszam palcami w niewygodnych butach i wiem, że dokuczające mi na paluchach odciski właśnie wyhodowały swoje własne bąble.

– Do przodu!

– Kojot, kurwa mać, rusz się! – Siny dobiega do nas. – W anomalię wpadłeś?

– Prawie. – Podnoszę z ziemi karabin i plecak, włączam własną latarkę i uważając na skrytą w ciemnościach pułapkę, ruszam przed siebie.

– Świeć mi na drogę. Gównno widzę! – stęka głośno Tłok.

Wściekły basowy ryk dudni za nami i choć z pewnością nie jest tak blisko, jak jeszcze parę minut temu, włosy automatycznie stają dęba, a zimny pot zalewa kark. Pijawki nie zrezygnują tak łatwo – myśl uderza mnie jak rozpędzona, wielotonowa ciężarówka. To nie bandyci, którzy dają spokój po dłuższej konfrontacji, ani też pozbawione samca alfa ślepanki, uciekające w popłochu przed zagrożeniem.

– Jest! Przed nami! Na górę.

Chata wyrasta jakby spod ziemi, skruszałe cegły walają się po podwórku, dziurawy dach, niczym otwarta szeroko gęba, straszy rzędem połamanych, drewnianych podpór. Nie mogę jednak wybrzydząć. Nie czas na to.

Wbiegamy do środka, buty drą i rozpychają zalegający w pomieszczeniu piach, przebiegam wzrokiem po zmurszałych ścianach i dostrzegam prostą, drewnianą drabinę, prowadzącą

na poddasze. Siny klęka przy drzwiach, wystawia lufę na zewnątrz, Hiszpan, dysząc jak parowóz, wpada do pomieszczenia, rozgląda się, w mig ogarnia sytuację i pędzi w kierunku drabiny.

– Nie wniesiemy go. Szczebile się połamię! – mówi głośno.

– Damy radę. Idź! Wciągniesz go!

– Idą za nami? – pytam gorączkowo Sinego.

– Nie widzę. Iskrownik zgasł. Teraz mamy już kompletne ciemności.

Mijają pełne napięcia sekundy, Hiszpan z pomocą Tłoka i Miry wciąga rannego na górę, dziewczyna wpycha się na drabinę, Tłok jest zaraz za nią.

– Idź, Kojot, osłaniam!

Drabinka trzeszczy i jęczy pod naporem mojego ciężaru, mam wrażenie, że posklecane byle jak, poziome deseczki za moment pożegnają się z życiem, łapię rękami za wejście na poddasze i wczołguję się na górę. Oddech: jeden za drugim, szybko, aby tylko dostarczyć tlenu do komórek. Łapię brytyjski karabin, podbiegam do wyrwy w dachu, wystawiam latarkę na zewnątrz i wykorzystuję jedną z kilku desek jako podporę dla automatu.

Promień światła przelewa się przez najbliższą okolicę, dostrzegam błyszczące w ciemności, szeroko otwarte oczy i strzelam bez zastanowienia.

Ślepia giną w mroku, słysząc ryk i towarzyszący mu z dołu huk wystrzału, Mira pokrzykuje na Tłoka, szczękają zaślepki apteczek, Hiszpan klnie głośno i złorzeczy na plastikowe opakowania.

Kolejny cel, następny strzał – tym razem mierzony, precyzyjny, kalkulowany. Snop światła ukazuje bryzgającą z mutanta krew, dostrzegam jeszcze kilka biegnących w naszym kierunku pijawek i przeklinam w myślach.

Nie mamy szans.

Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Zupełnie jakby te cholerstwa dostały jakiegoś szau. Z początku wydawało się, że atakują wedle jakiegoś dziwnego, znanego tylko sobie planu, ale teraz przypomina to bardziej pospolite ruszenie. Tu jedna, tam

druga, wszystkie biegają, ryczą wniebogłosy, nie narzucają nawet kamuflażu. Ale nawet gdyby nie byłyby ich tak wiele, i tak nie mielibyśmy szans. Nie mamy po prostu żadnej karty przetargowej. Jedynie kończąca się amunicją i przewagą wysokości.

Ale tutaj może to wcale nie pomóc.

I nagle nachodzi mnie myśl.

- Mira, dawaj granaty!

- Co?

- Granaty, kurwa jego mać!

Dziewczyna w mig znajduje się przy mnie, odstawiam karabin, dwie obłe cytrynki lądują mi w dłoniach.

- To wszystko, co mam.

- Jaki zapalnik?

- Cztery sekundy.

- Nada się.

Dziewczyna momentalnie traci zainteresowanie, znika mi za plecami i zaczyna dyskusję z Tłokiem.

- Siny - krzyczę. - Siny, mam pomysł.

- Jaki?

To nie ma prawa się udać, myślę. To bez sensu. Z drugiej strony dlaczego mielibyśmy nie spróbować? Jeśli nic nie zrobimy, mutanty równie dobrze mogą przypuścić szturm i zabić nas wszystkich za jednym razem.

A jednak, jeśli istnieje choć jedna prawda, której zdążyłem się nauczyć, mówi ona, że lepiej jest spróbować i ponieść porażkę, niż nie próbować wcale. W końcu to nasze życie jest tutaj na szali. I choćbym dążył do autodestrukcji, odbędzie się ona na moich zasadach. I tylko na moich.

- Wal do nich, ale tak, żeby zebrały się w miejscu, które podświetlę latarką!

- Co?

- Gówno! To, co słyszysz. Nie musisz w nie trafić. Po prostu zmusz do biegu w tamtą stronę. Ty od lewej, ja od prawej. Rozumiesz?

- I co to...

– Nieważne. Jak krzyknę, schowaj się za czymś porządnym.

– Czy ty... – krzyczy Siny.

Nie słucham go. Sięgam po granat, przyciskam łyżkę palcami i wyciągam zawleczkę.

Stare porzekadło mówi, że po wyjęciu małego, przechodzącego przez dziurkę kawałka metalu granat przestaje być twoim przyjacielem i trzeba jak najszybciej go wyrzucić. Tyle że jeśli nie zgram się z Sinym i źle wymierzę czas, cały plan legnie w gruzach.

– Hiszpan, szybko tutaj!

– Zajęty jestem!

– Natychmiast, kurwa, bo zaraz wszyscy wylecimy w powietrze. Tupot butów, ciężki oddech przy ramieniu.

– Co jest?

– Weź latarkę i świeć.

– Tylko tyle? Cholera...

– Nie dyskutuj! Świeć, do kurwy nędzy.

Nabieram powietrza w płuca, jasny krąg światła ląduje na polu, przymierzam się do rzutu i dopiero po sekundzie krzyczę na całe gardło:

– Teraz!

Siny, zgodnie z umową, strzela od prawej do lewej, biorę zamach i celując w środek oświetlonego terenu, rzucam cytrynką. Podnoszę karabin, bez mrugnięcia okiem biję z automatu od lewa do prawa, w mroku rozjarzają się ślepia mutantów, dwa czy trzy osobniki ruszają się z miejsca, uchylają przed kulami i gnają w zaplanowanym przeze mnie kierunku. Człowiek może i spodziewałby się takiej zasadzki, ale pijawce daleko do tak szczegółowej analizy. To przecież tylko potwór. Nieważne, jak wydawałby się inteligentny.

Sekundy wloką się nieubłaganie, mutanty gnają wprost w pułapkę i choć nie liczę, że uda mi zabić wszystkie, szrapnele obronnego granatu F-1 z pewnością zdołają poharatać kilka z nich.

– Padnij! – krzyczę, ciągnąc za ramię Hiszpana. W momencie klapnięcia na deski powietrze rozrywa głośny wybuch, który

przykrywa najbliższe dwieście metrów morzem pędzących z zawrotną prędkością odłamków. Szrapnele przelatują nam nad głowami, przebijają drewno, drą resztki dachu, tworząc nowe ujścia dla deszczu, pisk w uszach kompletnie zagłusza resztę dźwięków i skutecznie odseparowuje od reszty świata.

Widzę otwarte szeroko usta Hiszpana, po kilku sekundach pisk gaśnie miarowo i zastępuje go gardłowy, dochodzący z dołu ryk.

Siny!

Zrywam się miejsca, chwytam za brytyjskie L85, w dwóch susach dopadam do drabinki, zerkam jeszcze na zbierających się do kupy wolnościowców i pomimo wrzeszczącego potępieńczo instynktu samozachowawczego zwieszam nogi z poddasza i lecę w dół.

Ziemia przychodzi niespodziewanie, uderzam twardo o klepisko, karabin trzaska o ziemię, koziołkuje, by wytracić nieco energii, podrywam latarkę do góry i przejeżdżam nią po pomieszczeniu: ledwie stojąca ściana działowa, stary piec, pusta rama na obraz, pozbawiona drzwi framuga... Jest! Mam ją!

Pijawka stoi plecami do mnie, widzę ją w całej, obrzydliwej okazałości, zerkam jeszcze na boki i dopiero wtedy orientuję się, dlaczego mutant nawet na mnie nie spojrział.

Przy ścianie, tuż za mutantem, dostrzegam stopy Siniego.

Słyszę ohydny mlask, wiotczeją mi nogi, ponure uczucie strachu zmienia się w czystą złość i panikę, podrywam karabin do ramienia i już mam naciskać spust, gdy pijawka nagle leci na ziemię. Wskazujący palec wciąż drga na spuście, kark mam zimny, mokry od potu i ciężki, jakby ktoś uwiesił na nim kilkutonowy odważnik.

– Nie. Mogłeś. Szybciej? – Siny opada na zasypaną piaskiem podłogę.

Jak rasowy atleta zrywam się z miejsca, przeskakuję nad drgającym spazmatycznie ciałem wielkiej pijawki i dopadam do Siniego.

Świecę latarką – kurtka, kamizelka i prosta tielniaszka – wszystko pokryte jest krwią, z szyi starego wystaje pojedynczy ostry kiel mutantą, twarz stalkera jest biała jak kreda.

– Kurwa mać! – wrzeszczę.

Nie jestem medykiem, zaliczyłem tylko pierwszą pomoc, do zajęć z profesjonalnej medycyny pola walki nigdy nie przystąpiłem, a teraz wiedza przydałaby się jak nigdy. Nie mam pojęcia, czy wyjąć kieł, czy może go zostawić. A jeśli się wykrwawi? Cholera, jeśli nic nie zrobię, to umrze tak czy tak.

Szlag, szlag, szlag.

Coś muszę zrobić.

Wyciągam nóż, tnę własną, wystającą spod kamizelki koszulkę, zawijam ją w palcach, chwytam kieł, wysuwam go z rany i wyrzucam daleko w bok. Krew wybija z przecięcia niczym woda z górskiego źródła i jeśli wcześniej miałem nerwy w postronkach, teraz nie mam ich wcale.

– Nie. Do cholery, nie! – krzyczę. – Hiszpan, Mira, Tłok, ktokolwiek! Siny się wykrwawia!

Jak to było, do cholery? Jak to było?

On umrze.

Jeśli się nie opanuję i będę wierzgał jak nieposłuszny ogier na wybiegu, Siny się wykrwawi, zachłyśnie albo udusi. Jeszcze przed chwilą wrzeszczałem na Mirę, która nie mogła dojść ze sobą do ładu, a sam wcale się od niej nie różnię.

A przecież gdzieś tam, w środku, wiem, co robić. Wystarczy to wykonać.

I nagle spływa na mnie dziwny spokój. Jakby pamięć wróciła na odpowiednie tory.

Krew jest ciemna, wypływa strugą, nie tryska, więc uszkodzona jest żyła. Z dwojga złego lepiej w tę stronę. Gdyby pijawka trafiła obok, mogłoby być już po zawodach. Siny stracił sporo krwi, ale porządny ucisk powinien, przynajmniej na razie, wystarczyć.

Przewracam starego na lewy bok, udrażniam drogi oddechowe, zwijam koszulkę w gałgan i przyciskam prowizoryczny opatrunek do szyi rannego.

Wzdrygam się, słysząc suchy wystrzał z karabinu, tupot nóg zwiastuje nadejście pomocy, Hiszpan wparowuje do pomieszczenia.

– Co mu się stało? O kurwa, czy on... – mówi dysząc.

– Nie wiem. Na razie żyje. Opatrunek, szybko.

Hiszpan omija ciało mutantą, klęka, otwiera apteczkę i rozpakowuje jałowy opatrunek.

– Jak Koń? – pytam.

– Źle. Bardzo źle. Umrze bez profesjonalnej opieki.

– Tłok twierdzi, że do ich bazy jest niedaleko.

– Mówił, że ile biegali za tym nibypsem? Tydzień? No jakie to blisko?

– Przecież mówił, że długo im schodziło. Zresztą pytaj mnie, a ja zapytam ciebie.

Do spółki z Hiszpanem zakładamy opatrunek na ranę starego, z góry dobiegają podniesione głosy, na zewnątrz panuje kompletna cisza.

– Co z mutantami?

– Mam nadzieję, że zrezygnowały. Strzeliłem jeszcze w jedną, ale uciekła. Chyba się wycofały.

– Chyba?

– A możesz mieć pewność?

– Nie, chyba nie.

Nie wiem, jak długo przyciskamy ranę. Jakbym kompletnie oderwał się od rzeczywistości i płynącego swoim nurtem czasu. Opieram się o ścianę chatki, adrenalina schodzi z żył, całe ciało jest jednym kłębkim bólu, głowa chybotrze się i opada, blask latarki przesącza się przez sufit, rozpraszając gęsty mrok, w którym widzę rozdygotane ręce i upačkane krwią nogawki spodni.

Zerkam w stronę mutantą, z otwartej szeroko paszczy wystaje rękojeść noża, mrugam kilkukrotnie, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

– On ją... on ją nożem?

Siedzący obok Hiszpan wzrusza ramionami.

– Twardy skurwysyn, nie ma co.

– Mam nadzieję, że przeżyje.

– Ja też, Kojot. Mogę go nie lubić, możemy się nie dogadywać, ale weszliśmy tutaj razem. I razem wyjdziemy.

– Żebyś nie powiedział tego w złą godzinę – mruczę pod nosem.

– Masz jakieś fajki jeszcze? Moje mi chyba wypadły.

– Ostatnie dwie. – Hiszpan podaje mi paczkę.

– Myślisz, że jesteśmy potrzebni na górze? – Odbieram zgniecionego papierosa i odrzucam kartonik.

– Zajmują się Koniem – mówi Hiszpan, odpala papierosa i wtyka go w usta. – Zresztą co możesz zrobić? Chłopak jest prawie martwy. Jeśli przeżyje tę noc, to będzie cud. Lepiej pilnujemy Sinego.

– Racja – stwierdzam ciężko i wysupłuję z kieszeni prostą, taną zapalniczkę. – Racja.

– Kojot. Nic na to nie poradzisz.

Najgorszy jest fakt, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę, a jednocześnie nie mogę się pogodzić z takim rozwojem wypadków. Gdyby nie nasza wizyta w rozdzielni, chłopak pewnie wróciłby do obozu i nic by się nie stało.

Choć z drugiej strony, to wcale nie był mój wybór. To Kiryłow wysłał nas z tą cholerną misją. I on ma krew na rękach. No i gdyby się Tłok tak cholernie nie uparł, by szukać Bakaja...

– Wezmę pierwszą wartę – mówi Hiszpan.

– Trzeba go przenieść. Pomożesz?

Stalker kiwa głową, wstaje z miejsca, ostrożnie podnosimy Sinego i powoli udajemy się na poddasze.

* * *

Koń umiera.

Nie wśród krzyku i błagań o ulżenie mu w cierpieniach, ale w oparach gęstej, niemalże możliwej do dotknięcia ciszy. Jakby cały świat po prostu zamarł i czekał na ten jeden moment.

Mira klęczy obok chłopaka, trzyma go za rękę i patrzy tylko, jak klatka piersiowa młodego unosi się coraz słabiej i słabiej. Wie, że już nic nie możemy zrobić. To nierealne. Nawet w szpitalu nie byłoby zapewne szans, a co dopiero tutaj, gdzie ani sprzętu, ani lekarza.

Nie jestem w stanie sięgnąć do niej umysłem, boję się zburzyć pulsujący bezgłos, a jednak domyślam się, jak musi się czuć. Oszukana, zła, ogarnięta bezsilnością – człowiek, który nigdy

tego nie przeżył, nie jest w stanie zrozumieć, co przynoszą kolejne pędzące z zatrważającą prędkością myśli.

Niech umrze setka osób, tysięcy, nawet i milion, a człowiek wzruszy tylko ramionami i powie, że tak już jest. Ale gdy zginie ktoś ważny dla ciebie, wszechświat zaczyna się sypać i kruszyć jak zbudowany z piasku zamek. Ziarenko po ziarenku, kawałek po kawałku, wszystkie smukłe wieże, krążganki, wyprofilowane ściany i mosty lecą w dół, by upaść i zlać się ze sobą w bezsensownym chaosie.

Zawrót głowy, serce przyspiesza, przeszłość wraca nagle, znów widzę wewnątrz tartaku i przerażone oczy Świetlika.

– *Wyjdę z tego, prawda?*

I znowu wspomnienia. Jakbym oglądał trójwymiarowy film.

Na początku Świetlik był dla mnie nikim. Ot, zwykłym, żadnym przygody małym, których pełno przy Kordonie. Wielu idzie w Strefę, chcąc pochwalić się wśród znajomych, pokazać wszystkim, jakimi są twardzielami, uszczknąć coś z anomalii, by żyć przez kilka dni, trwoniąc gotówkę na wszelakie idiotyzmy i zachcianki. Tak samo było z młodym. Nie wyróżniał się wcale na tle lokalnych szurków, pragnących jak najszybciej zarobić. Ale prosił, błagał, obiecywał i w końcu, dla świętego spokoju, zgodziłem się, by więcej mnie nie zaczepiał. Bo co mi szkodziło? Jeśli Zona by go zabrała, może reszta nie byłaby taka chętna na wejście.

Tyle że Świetlik wrócił. Cały i zdrowy. I to właśnie wtedy poczułem, że coś się we mnie zmieniło. Jakbym odnalazł powołanie, którego szukałem całe życie. Chciałem go uczyć, nie dlatego, że był wyjątkowy, ale dlatego, że w przypływie egoizmu miałem nadzieję odnaleźć sens we własnym postępowaniu. I to właśnie ta skaza, przekonanie, że jestem dobrym nauczycielem, doprowadziło mnie do tego miejsca. Gdzie ginie kolejny młody chłopaczek.

– Nie żyje – mówi cicho Mira. – Przestał oddychać.

Podnoszę się spod ściany, Hiszpan idzie moim tropem. Tłok, siedzący przy samej krawędzi strychu, zwiesza głowę nad karabinem.

– Wybacz, Mira – mówię, choć zdaję sobie sprawę, jak banalne wydają się te słowa.

– Kiedy... – Głos dziewczyny drży. – Tłok. Kiedy wrócimy, ja odchodzę.

– Nie musisz. – Dowódca Wolności podnosi głowę i odwraca ją w kierunku dziewczyny. – Wiem, że to boli. Za dużo ofiar, jak na kilka dni. Przecież wiesz, że on nie był mi obojętny, ale nie odchodź. Pomożemy ci jakoś.

– Tłok, przestań pierdolić – mówi twardo Mira i podnosi się z kolan. – Wszyscy się liczymy, tak? Przecież to jebane brednie! Cała ta pogoń za mutantem! Farsa! Stary sobie zażyczył, a ty jak grzeczny piesek poszedłeś. I po co? Włazisz mu do dupy i tyle! To nie miało sensu, rozumiesz? Nie miało! – Dziewczyna nie kryje się z krzykiem. – Wiesz, co jest najlepsze? Koń nie chciał, żebym szła. I wiesz? Gdybym go posłuchała, nawet nie wiedziałabym, gdzie umarł. A rozdzielnia? Krasz, Grucha, Talib, Bakaj! Mam wymieniać dalej? To twoja głupota i nuda starego! Nic więcej! Mówisz, że nie lubisz starego, że wkurwia cię jego bezmyślność. Gównu prawda! Przytaknąłbyś mu nawet, gdyby kazał ci zjeść własne gówno.

– Nie przeginaj. – Tłok wstaje z miejsca, drżące dłonie opiera o karabin i zbliża się do dziewczyny. – Nie waż się tak mówić. Rozumiesz? Nie waż się.

– A co? Boli prawda, chuju? Już od dawna mówiłam, że tak się nadajesz na starszego, jak ja do ruskiego baletu. Może i masz zadatki na przywódcę, w końcu w każdej kurwie jest trochę romantyczki, ale ja się z tej zabawy wypisuję.

Tłok doskakuje do dziewczyny, otwarta dłoń wystrzeliwuje znienacka, Hiszpan błyskawicznie skraca dystans do wolnościowca, ale Mira okazuje się szybsza, niż mogłem przypuszczać. Unika ciosu, omija Tłoka, w dłoni dziewczyny błyska nóż, który momentalnie znajduje się przy szyi dowódcy.

– Jeszcze raz podnieś na mnie rękę, a zabiję, rozumiesz?

– Spokój, do kurwy nędzy! – krzyczy Hiszpan. – Mira, puść go, Tłok, trzy kroki do tyłu. Natychmiast.

Z oczu dziewczyny wypływa kilka łez, które szybko przebiegają

po zakrwawionej i poznaczonej kurzem twarzy, odsuwa nóż od szyi mężczyzny i chowa go wprawnym ruchem.

Czerwony na twarzy Tłok patrzy na nią, oddycha ciężko i zgodnie z poleceniem Hiszpana odsuwa się ku krawędzi poddasza.

– Obydwoje jesteście pojebani. Właśnie zginął wasz kolega, przyjaciel. – Hiszpan patrzy w stronę Miry. – Twój chłopak, do cholery, a wy co? Skaczećcie sobie do gardeł? Co wy jesteście? Zwierzęta?

– Ona nie ma prawa...

– Człowieku, obudź się – mówię głośno. – Nikogo nie zostawiacie z tyłu, wszyscy jesteście swoi. Koledzy! Na jednym wózku jedziecie. Właśnie widzę. Mira na jeden koniec, Tłok na drugi. Uspokoić się.

– Ten skurwiel... – zaczyna Mira.

– Gównu mnie to obchodzi! Musisz się uspokoić.

Dziewczyna chce odpowiedzieć, patrzy wprost na mnie i nie wiem, czy działa pod wpływem mojego spojrzenia, czy może swoich własnych przemyśleń, ale zamyka usta i w jednej chwili odwraca się i idzie do przeciwległego kąta.

Tłok zdejmuje pas nośny karabinu, siada na krawędzi poddasza i zapala papierosa.

– Pożrą się – szepcze Hiszpan. – Jeśli nic się między nimi nie zmieni, zastrzelą się przy pierwszej lepszej okazji.

– Nie. Nie zrobią tego. Gdyby mieli do siebie strzelać, zrobiliby to teraz.

– No to co robimy?

– Siny się ocknął? Nie. Stracił w cholere krwi, tętno ma wyczuwalne, ale słabiutkie.

– Myślisz, że nie da rady?

– A wyglądam ci na lekarza? – Patrzę na stalkera spode łba. – Wiem tylko, że trzeba by profesjonalnej opieki. Zwykła apteczka nie wystarczy.

– No to raczej jasne, tylko co możemy zrobić? Za Kordon teraz go nie zaniesiemy. Chyba że...

– No co? Mów, do cholery, bo ja mam pustkę w głowie.

- Przecież sam mówiłeś. Baza Wolności. Przecież muszą tam kogoś mieć.
- Tyle że z nimi będzie ciężko. – Wskazuję dłonią Tłoka i Mirę.
- Trzeba próbować. Koniowi... – wzdycha Hiszpan. – Jemu i tak nic już nie pomożemy.
- Niby nie, ale jest jeszcze jedna rzecz – mówię cicho. – Ostatnio tego nie zrobiłem i męczy mnie do teraz.
- Czyli co?
- Pogrzeb.

* * *

Stoję w ciszy, deszcz kapie na gołą głowę, spływa po czole, perli się na nosie i kropla po kropli upada na mokrą, dopiero co przekopaną ziemię.

Ułożone w kopczyk kamienie, zbite w prawosławny krzyż deski i trącana lekkim wiatrem, górująca nad wszystkim maska przeciwigazowa – to wszystko, co byliśmy w stanie zrobić. Takich mogił jest w Zonie bez liku: w lasach, na polach, wśród gęstych traw i na zupełnych pustkowiach. Proste, zwyczajne, niemal ascetyczne. Nikt nie tworzy tutaj zwartych konglomeratów cmentarzy czy okazałych, marmurowych nagrobków. Bo i komu to potrzebne?

Chciałbym coś powiedzieć, wspomnieć czy choćby pocieszyć Mirę, ale kiedy tylko zbieram się w sobie, czuję bezsens własnego zachowania. Co niby mógłbym oświadczyć? Że teraz jest mu lepiej? Że trafił do lepszego miejsca? Banalność takich stwierdzeń przyprawia o mdłości. Wiedział, co mu grozi i jakie jest ryzyko tej gry. Chcąc nie chcąc, godził się na jej zasady. A Mira? Ona też musiała zdawać sobie sprawę, jak kończą dzieci Strefy.

W bezimiennym grobie, w martwej, przeklętej ziemi.

- Trzeba iść – woła Hiszpan zza rogu chaty. – Sinemu się chyba pogarsza.

- Już – mówię cicho, zakładam kaptur na głowę i oddalam się powoli od grobu. – Mira? Tłok? Wiem, że jest wam ciężko, ale zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Jemu nie pomożemy, a

Siny może jeszcze przeżyć.

- Do bazy jest kilka godzin drogi. - Tłok zbliża się do ustawionych przy ścianie chaty plecaków. - Nie wiem, czy...

- Tym się nie martw - mówi Hiszpan. - Damy radę.

- Ja nie wracam - wtrąca się nagle Mira. - Zostawcie mi sprzęt Konia. Zostaję.

Spoglądam na nią, oczy ma przekrwione i napuchłe od płaczu, wargi drżą lekko, z dłoni skapuje rzadkie błoto.

Odłączenie się tutaj, w tym momencie, przy wypełnionym pijawkami lesie jest czystym idiotyzmem albo ukrytą próbą samobójczą. I choć mam ochotę zaprotestować i uświadomić dziewczynie, jak wielki błąd popełnia, w ostatniej chwili gryzę się w język. Jej życie i jej wybór. Może i jest podyktowany złością, rozgoryczeniem i bólem, ale nie mogę po raz kolejny wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Mira. Ja przepraszam. Nie chciałem tak ostro. - Tłok zbliża się do swojej towarzyszki.

- Podejdź bliżej, to zabiję - syczy przez zęby, chwytając za rękojęść noża. - Zostawcie mi sprzęt i wynoście się stąd. Wszyscy. Macie krew na rękach. Każdy z was.

- Ale Mira...

- Powiedziałam coś! - Nierdzewna stal błyska w dłoni, dziewczyna staje w rozkroku, jakby tylko czekała na ofiarę. - Zostawcie nasze rzeczy przy domu. Nie wracam. - Mira łapie za materiał stroju maskującego i szybkim ruchem odcina znajdujący się tuż przy prawym ramieniu znak Wolności.

Naszywka z zielonym wilkiem upada w błoto, Tłok kręci głową z niedowierzaniem, dziewczyna chowa nóż i z powrotem klęka przy grobie.

- Won - syczy. - Może kogoś jednak uratujecie.

Rozdział 7



Tętno prawie niewyczuwalne – stwierdza Hiszpan, nachylając się nad Sinym. – Za dużo krwi stracił. Musimy przyspieszyć.

Patrzę na wschód. Mała, przypominająca ściek rzeczka bez pośpiechu ciurka w wąskim korycie, w oddali mającą truchła ciągników, ściany drewnianych sadyb chylą się ku upadkowi. Wszędzie tylko zniszczenie, rozpad i gnilizna.

– To raczej niewykonalne – odpowiadam, zakręcam manierkę i przypinam ją do pasa. – Popatrz na Tłoka. Niby zna teren, a skrada się, jakby był tu pierwszy raz. Pieprzona emisja pozmieniała ścieżki.

– Ale jeśli nie ruszymy szybciej...

– Wiem, Hiszpan. Przecież wiem. Ale co mamy zrobić? Jeśli będziemy iść szybciej, na pewno władujemy się w anomalię. Ile trampolin już minęliśmy? Dziesięć? Piętnaście?

– Na Rudych będzie jeszcze gorzej. Zdobyć tam sto metrów to jak wspiąć się na Mount Everest. O ile w ogóle do nich dotrzemy.

– A powiedz ty mi, dlaczego tam lałeś?

– Zarobić chciałem, a co innego? Mało kto się tam zapuszczał, więc artefaktów powinno być od groma. Byłem dwa razy i obydwie chodki bez jakiegokolwiek zysku. Raz jeden widziałem baterijkę w elektrze, ale tak głęboko się usadowiła, że nie dałem rady jej wyjąć.

– Bywa i tak – ucinam rozmowę, widząc, jak Tłok zbliża się do nas powolnym krokiem.

– Na razie czysto. Odpoczęli?

– Daleko jeszcze? – Hiszpan staje przy prowizorycznych noszach, skleconych naprędce ze zbutwiałych desek. – Z Sinym

coraz gorzej.

– Nie. Maksymalnie godzina.

– Tłok? Nie martwisz się o Mirę?

Wolnościowiec robi nadętą minę.

– Jej życie, jej sprawa. Nie wytrzymała napięcia, no i tyle. Co innego, że teraz będzie miała przerabane po całości.

– Nikogo nie zostawiamy z tyłu, co? – pytam z przekąsem.

– Nigdy nie zostawiamy kumpli na pastwę losu – przytakuje Tłok. – Ale ona już do nas nie należy. Pozbyła się znaku i może sobie robić, co tylko zechce. Jest samotnikiem.

– Wystarczy odpruć naszywkę i już się dla was nie istnieje? – pyta Hiszpan.

– Tak, misiu kolorowy. Tak właśnie jest. Opuściła naszą rodzinę. Wyrzekła się każdego, kto zdechł na tym pieprzonym polowaniu, i teraz musi radzić sobie sama. I chuj mnie obchodzi, czy przeżyje. Odeszła. Koniec i kropka. Ruszajmy już.

Do spótki z Hiszpanem podnosimy nosze, obłożony derką Siny zdaje się poruszać niemrawo, ale wiem, że to tylko złudzenie.

Odchodzimy kawałek od miejsca odpoczynku, zimny wiatr wnika pod kurtkę i tańcząc pod materiałem, kąsa ciało. Omijamy z daleka duże zgrupowanie grawikoncentratów, Tłok wskazuje ręką kierunek marszu, przechodzimy tuż obok uśpionego spalacza. Z drewnianych, trzymających się na słowo honoru słupów zwisają girlandy spalonego puchu i choć nie jest to specjalnie niebezpieczna anomalia, przechodzenie tuż obok niej napawa mnie niepokojem.

Dopóki idziesz równo i powoli, nic nie powinno się stać. Zmutowana, przez niektórych nieuważana nawet za anomalię roślinność będzie po prostu wisieć nad głową, strasząc jedynie gęstą plecionką brązowo-szarych witek. Co innego, jeśli ktoś nieuważny trąci ją przypadkiem albo nierozsądnie wykona gwałtowniejszy ruch. Spalony puch zareaguje wtedy natychmiastowo – setki ostrych, malusieńkich, toksycznych igiełek wystrzelą z niesamowitą prędkością, wbijając się w ciało delikwenta, paraliżując i wywołując potworny ból. Słyszałem o paru śmiałkach, którzy w imię nauki celowo wystawiali się na

atak, ale żaden z nich nie miał na tyle determinacji, by powtórzyć doświadczenie. Może i sama w sobie anomalia nie jest śmiertelnie niebezpieczna, ale w połączeniu z kręcącymi się nieopodal mutantami może stanowić realne zagrożenie.

Mijają minuty, chmury nawet nie myślą o przzerzedzeniu gęstych szyków, wiatr wzmacnia się i dmie ze wschodu, geiger raz na jakiś czas zanosi się trzaskiem i sugeruje, by założyć maski przeciwgazowe. Żaden z nas nawet nie sięga ku przypiętym do kamizelek, gumowym namordnikom. Teraz liczy się prędkość pochodu, a w maskach niewątpliwie będziemy musieli zwolnić. Nie możemy sobie na to pozwolić. Nie teraz gdy Siny wydaje się słabnąć z każdą upływającą chwilą.

Tłok oddalił się znowu, widzę przelatujące raz po raz mutry, rozglądam się wokoło, starając się zapamiętać szczegóły okolicy i czując, jak zmęczenie w połączeniu z nieprzespaną nocą dają mi w kość. Wraz z Hiszpanem targam nieruchome ciało Siniego w kierunku bazy Wolności.

– Hiszpan? – pytam, czując, jak chłodne powietrze wnika i drażni gardło. – Myślisz, że ci wojenstalkerzy byli faktycznie od Kiryłowa?

– A skąd ja mam wiedzieć? Może i od niego, a może po prostu kręcili się w okolicy.

– I sądzisz, że to przypadek, że kierowali się akurat w tę stronę?

– Ja nie sądzę, żeby sądzić. Kiedy oni tam byli? Tydzień temu? Więcej? Przecież gdyby Kiryłow wysłał swoich, nie byłibyśmy mu potrzebni, nie?

Milknę całkowicie, zatapiając się w myślach.

Stalkerzy wzięci z łapanki, błyskawiczne wejście w Zonę, brak jakichkolwiek informacji i jedynie przedstawiony jasno cel: wyprowadzić jajogłowych. Jakież to wygodne! A do tego ci wojenstalkerzy. Czy znaleźli się tu przypadkiem? Takie rzeczy nie zdarzają się na co dzień. Wojsko nie urządza sobie wypraw w głąb Strefy tylko dlatego, żeby pokazać, że jeszcze istnieje. Zawsze jest jakiś cel. Nieważne – mniejszy czy większy, ale żeby wojenni ruszyli się z Kordonu, musi być jakiś powód. Więc co oznacza obecność wojenstalkerów w Zonie i dlaczego tak bardzo

mnie ona niepokoi?

Myśli toną w bagnie, każdy wniosek czy rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, błyskawicznie ginie w matni niewiedzy. Mam zbyt mało informacji, by wykombinować cokolwiek sensownego. Tak, Kiryłow wysłał nas po naukowców. Tak, tydzień wcześniej patrol Wolności widział oddział wojska, kierujący się na Rude Pola. Co mogę z tego wywnioskować? Jedynie tyle, że te sytuacje miały miejsce. Nic więcej.

– Już niedaleko – słyszę głos wolnościowca. – Jeszcze tylko...

Grom wystrzału przebija powietrze, Tłok urywa nagle, widzę lecące na ziemię ciało chłopaka i rwany krzyk przerażenia.

Padamy z Hiszpanem na glebę, trzaskają selektory ognia, rozglądam się w panice, próbując odnaleźć źródło strzału: z lewej mała rzeczka i puste, kompletnie wyjałowione pole, przed nami małe wzgórze z pojedynczą, ledwo odrosłą brzoźką, z prawej porastające równinę krzaki. A więc pewnie walą do nas stamtąd.

Przemykam wzrokiem po otoczeniu, deszcz nie ustaje ani na chwilę, woda przesiąkła już przez kaptur i zalewa oczy, mrugam kilkukrotnie i zauważam leżący na poboczu głaz.

– Za kamień!

Ciężko jest ukryć się wśród niskiej trawy. Tym bardziej w sytuacji, gdy niemal cały plecak wystaje znad poziomu zielska, jak gigantyczny, rzucający się w oczy garb. Leżąc na polu, jesteśmy jak kaczki na strzelnicy. Bez szans na jakąkolwiek obronę.

– Hiszpan, na prawo! Już!

Stalker zerka na mnie, kiwa głową i trąc brzuchem o ziemię, rusza w kierunku prowizorycznej, lichej zasłony.

– Pomocy! – słyszę wrzask Tłoka. – Pomóżcie, do cholery! Kojot! Hiszpan! Do kurwy nędzy, dostałem!

Czyli żyje. I dobrze, i źle jednocześnie. Jeśli strzelec nas nie widział, teraz już z pewnością wie, że Tłok nie był sam. Z drugiej strony, wolnościowiec nie zginął na miejscu, a w przypadku jakiegokolwiek zasadzki oznacza to jedną z dwóch opcji: albo strzelec jest dupą, albo nie zależy mu na zabijaniu. I z dwojga złego wolę jednak tę drugą ewentualność.

Hiszpan dociera do kamienia, adrenalina krąży w żyłach, w ustach czuję kwaśny, nieprzyjemny posmak. Stalker pokazuje mi ręką, żebym ruszał, zaplątuję się w pas nośny karabinu, klnąc pod nosem, odpinam szybko haczyki i ruszam z miejsca.

Nie powinienem zostawiać Sinego. On nie ma szans się obronić. Jeśli napastnik uzna go za niebezpiecznego, bez pytania wpakuje mu kulkę. I o ile przeciwnik z jakiegoś powodu może chcieć nas tylko zranić, Siny w przeciwieństwie do nas postrzału nie przeżyje.

Centymetr po centymetrze, z głową przy samej ziemi, tak jak uczyli mnie w wojsku, prę w kierunku Hiszpana, który wychyla się zza osłony i wodzi lufą automatu, celując w oddalone o kilkadziesiąt metrów chaszczce.

Oczami wyobraźni widzę już bezpieczną pozycję, w myślach łapię za karabin i wysyłam wiązkę ołowiu w pozbawione zieleni krzaki jałowca. Jeszcze parę ruchów i dostanę się pod relatywnie bezpieczny głąz.

Huczy wybuchający proch, grudy ziemi wylatują w górę i wśród przetaczającego się gromu zasypują mi kaptur, wpadają w oczy i uderzają o stal karabinu.

Nie myślę już o niczym. Paniczny strach przewala się kawalkadą przez głowę, logika idzie do kosza, pierwotny instynkt przetrwania bierze górę, otwieram usta, krzyczę głośno, podnoszę się i na czworakach dopadam do schronienia.

Od śmierci dzieliły mnie milimetry. Tylko tyle, a zarazem aż tyle. Wystarczyło, by niewidoczny strzelec przeniósł lufę odrobinę w lewo, a głowa wybuchłaby mi jak przygniety wielotonowym odważnikiem arbus. Ale tak się nie stało. Nadal żyję, z karabinem w dłoni i buzującą w żyłach adrenaliną.

- Tam, w krzakach! - mówi przymierzający się do strzału Hiszpan.

Nie pytam o nic więcej, wystawiam lufę za obły, pokryty mchem kamień, zgrywam muszkę ze szczerbinką i biję pod punkt.

Pociski drą krzewy, nie mam pojęcia, czy w cokolwiek trafiłem, ale przynajmniej wiem, że nie jestem kompletnie bierny.

Seria z obcego karabinu uderza o twardą powierzchnię tuż

obok mojego ramienia, chowam się za osłonę, płuca walczą o powietrze, nogi drżą i proszą o pozwolenie na ucieczkę, ale siłą woli opanowuję bezmyślny w tym przypadku odruch. Wypinam magazynek, zerkam na amunicję i sycząc przez zęby, kręcę głową.

Wczorajsza potyczka poważnie uszczupliła zasoby. Został mi jeden pełny magazynek, kilkanaście pocisków w obecnym i drugie tyle w kartonowych pudełeczkach znajdujących się w plecaku.

Słabo. A prawdę mówiąc, bardzo słabo, biorąc pod uwagę obecną sytuację.

Przekręcam się na plecy, ponownie wpinam dwurzędowy pojemnik na pociski i przypominam sobie o schowanym do ładownicy granacie, który oddała mi Mira.

Granat obronny, dwieście metrów zasięgu i niekorzystna pozycja do rzutu. Wielkie ryzyko, ale tonący chwyci się i brzytwy.

Z oddali dobiegają krzyki, pojedyncze pociski rozbijają się o powierzchnię kamienia, rykoszetują, wnikają w mokrą ziemię albo oddalają się, koziołkując w powietrzu. Biję się z myślami, w końcu odpinam rzep, obły kształt wypełnia dłoń, zaciskam palce na zimnej łyżce i biorę parę wdechów. My powinniśmy być bezpieczni, ale czy Tłok i Siny też będą? To loteria.

Hiszpan wychyla się zza osłony, częstuje niespodziewanych napastników krótką serią, zmienia magazynek i ciągnie za uchwyt zamka.

– Długo tak nie pociągniemy!

– Wiem, do cholery.

I wtedy go dostrzegam. Pojawił się niczym z podziemi: czarny uniform, nowoczesny hełm, zapełniona ładownicami kamizelka, w rękach zmodernizowany rosyjski karabin. Wyglądem przypomina chłopaków z oddziałów specjalnych, których miałem okazję poznać jeszcze za czasów wojska. I już wiem, z kim mamy do czynienia. Na takie wyposażenie mogą sobie pozwolić tylko nieliczni.

– Zostaw to! – krzyczy mężczyzna, poważnie kalecząc rosyjski i kierując na mnie czarną otchłań lufy. – Osłaniaj mnie! Mają

granat!

Szybka decyzja. Nie mogę zwlekać.

– Zostaw to, mówię! Nie macie szans, jesteście otoczeni. Odłóż to spokojnie, a nie zrobimy wam krzywdy.

Pieprzeni najemnicy.

– Pierdol się! – krzyczę, wrywam zawleczkę i twardo trzymam palce na łożce granatu. – Nie zdążysz uciec. Czterosekundowy zapalnik. Jak puszcze, to wszyscy padną. Rozumiesz?

Najemnik patrzy na mnie, kiwa głową, chwila milczenia.

– Macie dwa wyjścia – mówi twardo. – Jeśli się ruszysz, twoi ziomkowie dostaną po kulce. Tamten z przodu zresztą już leży i chyba się wykrwawia.

– Ja to widzę inaczej – mówi Hiszpan, trzymając karabin w dłoniach.

Dalej z prawej strony dostrzegam kolejnego, ubranego w bardzo podobny strój mężczyznę, który klęka w trawie, poprawia chwyt karabinu i przygotowuje się do strzału.

– Chuj mnie to obchodzi. Dajemy wam pięć sekund na decyzję. Raz...

Tłok. On mnie nie interesuje. Pomogliśmy mu, fakt, ale nikt nie mówił, że będziemy za niego umierać. Nie po dzisiejszym dniu. Braterstwo i jedność, które prezentował jeszcze w rozdzielni, to nic innego jak poza. Albo kłamstwo, którym sam się karmi.

– Dwa.

Ale Siny. To zupełnie co innego. On stał się kimś więcej niż tylko kompanem w niełatwej podróży. Prowadził nas, udzielał rad, chociaż równie dobrze mógł nas olać, oddzielić się od grupy i pójść w sobie tylko znanym kierunku. Przecież ma wiedzę, umiejętności i najdłużej z nas przebywał w tym niegościnnym miejscu. Nikt by go nawet nie zatrzymał. Mógł przejść przez Kordon, złapać pierwszy pociąg do Kijowa, odnaleźć córkę i ostrzec ją przed niebezpieczeństwem. Mógł, a jednak tego nie zrobił.

– Trzy.

Nie zamierzam zginąć w ten sposób.

– Hiszpan, odpuszcze – mówię cicho.

– Pojebało cię? Zabiją nas.

– Cztery.

– Może i tak, Hiszpan. Może i tak. Ale nie rzucę tego granatu.

Wiesz, że nie mogę.

– Pięć.

– Dobra – mówię głośno, choć przychodzi mi to z największym trudem. – Niech ci będzie. Odłożę granat.

– Do ładownicy! Już!

– Zastrzelę go – mówi Hiszpan. – Zabiję.

– Nie – szepczę, teatralnie pokazując, że wkładam zawleczkę na swoje miejsce, odginam metalowe wąsy i wciskam granat do ładownicy. – Zabiją nas, jak tylko się ruszysz. Po prawej masz jeszcze jednego.

Hiszpan przeklina głośno, zdejmuje palec ze spustu i patrzy w kierunku napastnika.

– Teraz broń – krzyczy najemnik. – Odepnijcie magazynki, pocisk z komory i na ziemię.

– Kojot. – Hiszpan odpina magazynek, odciąga zamek, pocisk wylatuje na głębę i toczy się kawałeczek przez trawę. – Raz ci zaufałem, ale teraz przeginasz. To mordercy. Zabiorą nam wszystko, co mamy, a potem wrzucą do tego ścieku, który płynie tuż obok.

Patrząc na niego, wzdycham ciężko, postępuję zgodnie z instrukcjami najemnika i kładę karabin na ziemi.

– Pistolety! To samo!

Odrzucam starego forta na bok, Hiszpan kręci głową, ale posłusznie pozbywa się wysłużonego makarowa, gdzieś z tyłu słychać błagalne krzyki Tłoka.

Najemnik zbliża się powoli, gestem pokazuje, żeby ustawiony za nim strzelec cały czas był w pogotowiu, zwiesza swój nowoczesny automat na pasie i chwytą nasze uzbrojenie. Patrzy na nas uważnie, marszczy brwi.

– Jesteście z Wolności? – pyta nagle.

– A wyglądamy na takich, psia jego mać? – pytam.

Najemnik stoi przez chwilę, wygląda, jakby poważnie się nad czymś zadumał, po czym macha ręką do kogoś za naszymi

plecami.

– To nie Wolność! – krzyczy w końcu.

– Nieważne. Przydadzą się – mówi ten ktoś zza naszych pleców.

– Przygotować ich do drogi.

– Jakiej, kurwa, drogi? – Hiszpan podnosi się niespokojnie i opiera plecami o kamień.

– Dowiesz się w swoim czasie – mówi ten przed nami.

Czarne postaci pojawiają się zupełnie znikąd, nie zdążam odwrócić się w ich kierunku, gdy nagle ktoś narzuca mi na głowę śmierdzący przegniłym sianem worek.

– Ej! Kurwa! Co to jest? – krzyczę, czując, jak drobiny kurzu mieszają się ze smrodem jutowego wora i drażnią nos. – Co to jest?

– Wy szmaty! – wrzeszczy Hiszpan, słyszę szelest kurtki i nagłe, głuche uderzenie.

Sięgam do góry, chcę zdjąć ciemną zasłonę sprzed oczu, ale ktoś łapie mnie za nadgarstki, wykręca mi mocno ręce do tyłu, aż brakuje mi tchu, i sprawnymi ruchami obwiązuje je sznurkiem.

– Co wy! Pogłupieli?

– Zamknij się – słyszę głos. – Ten, co w trawie leży. To od was?

– Tak, kurwa. Od nas.

– No i dobra. Kindżał, weźmiesz wielkoluda, ja tego tutaj. Świr i Karwasz, bierzecie tamtego z trawy.

– A ten z przodu? – pyta ktoś.

– Opal już się nim zajmie. Idziemy.

Czuję twardy uścisk na dłoniach, ktoś szarpie mnie w górę, popycha ostro do przodu, potykam się o własne nogi i lecę na ziemię.

– Wstawaj, do cholery. Nie mamy całego dnia.

Zaciskam zęby, z trudem podnoszę się do pionu, smród narzuconego na głowę worka jest niemal nie do zniesienia, ale staram się nie krzyżeć ani nie wierzgać. Głuche puknięcie i fakt, że Hiszpan nie odzywa się po nim ani słowem, świadczy o tym, że stalker albo stracił przytomność, albo napastnicy zdołali go skutecznie przekonać do milczenia.

Poznaję na plecach dotyk lufy karabinu, gdzieś dalej jęczy Tłok,

słysząc ciche stęknienia i trzaski prowizorycznych noszy.

Wzięli Sinego, myślę i choć nasze położenie jest, jakkolwiek rzecz biorąc, nieciekawe, przynajmniej nie zabili nas na miejscu. Kolejne kilka minut życia. To sporo czasu, by coś wymyślić. Oczywiście pod warunkiem, że nie każą nam za chwilę kłęknać i przygotować się na podróż łodzią Charona.

– Będę cię instruował. Na razie idziesz do przodu – mówi najemnik. – Jak upadniesz i wpieprzysz się w anomalie, będzie to tylko twoja wina, więc radzę, żebyś brał sobie do serca wszystko, co mówię. I nie myśl, że uciekniesz. No już! Idziesz!

* * *

Wpadłem z deszczu pod rynnę. I to dosłownie.

Siedzę oparty plecami o drewnianą belkę, ciężki strumień wody leje mi się na głowę, jutowy worek, podobnie zresztą jak całe ubranie, przemókł już do suchej nitki i klei się do twarzy. Nie mogę się ruszyć, wygięte, skrępowane z tyłu ręce skutecznie studzą zapał do ucieczki, wokół cały czas słysząc rozmowy, szum deszczu i ciapiące w błocie buty.

Targa mną dreszcz, ktoś łapie mnie za ramię, czuję pochylającą się postać i słyszę znajomy głos najemnika:

– Zapytam jeszcze raz. Co tutaj robicie?

Zimna woda spływa po policzkach, zęby dzwonią jak kastaniety, ciało buntuje się i nalega, by odnaleźć jakiegokolwiek źródło ciepła.

– Idziemy... – mówię z trudem, starając się jednocześnie uspokoić drzenie. – Idziemy do bazy Wolności. Nasz towarzysz jest ciężko ranny. Mówiłem już przecież.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Co tu robicie ogólnie?

Łgać – tylko to przychodzi mi do głowy. Tyle że najlepsze kłamstwo to takie, które ma w sobie szczyptę prawdy. Nie jestem teraz w stanie wymyślić prawdopodobnej historyjki, która odcięta od pępownicy umysłu mogłaby samodzielnie funkcjonować dłuższy czas. A właśnie czegoś takiego mi potrzeba. Kłamstwa, które powtórzone z ust do ust nie tylko będzie żyć swoim życiem, ale zdoła odwrócić uwagę od naszego celu.

– Szukaliśmy artefaktów – wyjaśniam. – Ponoć na Rudych Polach ich pełno. No i wybraliśmy się na chodkę. A potem spotkaliśmy wolnościowca i napadły na nas mutanty.

– Skąd idziecie?

– Z zachodu, od rozdzielni.

– Strasznie nadłożyliście drogi. Czemu nie prosto przez las? Prościej by było.

– Widzieliśmy pijawkę, więc nie chcieliśmy się tam pchać. Poszliśmy naokoło.

– Karwasz? – pyta głośno najemnik. – Co z tym wolnościowcem?

– Będzie żył – słyszę basową, ciężką odpowiedź. – Wyjęliśmy kulę.

– A ten na noszach? – pytam. – Żyje?

– Żyje. Słabo z nim, ale jeszcze żyje. Jak cię wołają?

– Kojot.

– Widzisz, Kojot. Sprawa jest następująca. Pojawiliście się w złym miejscu i czasie. To znaczy dla was złym. Jesteście nam potrzebni. – Wywracam oczami, choć wiem, że najemnik nie jest w stanie tego zobaczyć. – Mam propozycję nie do odrzucenia.

– Czyli?

– Wszystko w swoim czasie. Na razie bądźcie grzeczni. To wszystko.

– I będę tak siedział na tym deszczu? – pytam, czując narastającą gdzieś w środku wściekłość.

– Zaraz pójdziesz w bardziej ustronne miejsce. Nie krzycz, nie rzucaj się, bo i tak nic ci to nie da. Jeśli będziecie współpracować, nic złego nie powinno się wam stać. Przynajmniej z naszej strony.

Słyszę oddalającego się najemnika, szczypią poprzegryzane wargi, pieką otarcia na nadgarstkach, poznaczone bąblami stopy, choć mają teraz chwilę wytchnienia, zdają się błagać o zdjęcie butów.

Mamy szczęście w nieszczęściu, przebiega mi przez myśl. Z jednej strony, już dwa razy natknęliśmy się na ludzi, którzy bez mrugnienia okiem mogliby nas po prostu zastrzelić na miejscu, a jednak nadal żyjemy. Nie w luksusie, bez pewności co do następnych godzin czy minut, ale jednak nie dostaliśmy po kulce

w łeb.

Tylko co miał na myśli najemnik, mówiąc, że jesteśmy im potrzebni? Jaką to hekatombę szykują nam ubrani w czarne kombinezony zawodowi zabójcy? Bo tym właśnie się zajmują, zadawaniem śmierci. To ludzie bez sumienia – ostateczne rozwiązanie wszelkich problemów. Masz gotówkę i chcesz załatwić sprawę? Wynajmujesz ich i czekasz na efekty. Zabójstwa, poszukiwania, sprawdzanie terenu, konwoje – ci goście zrobią wszystko, jeśli tylko odpowiednio im zapłacisz. Nie liczą się z nikim i niczym, a jedyne, co do nich przemawia, to pieniądze.

– Świr! – słyszę gdzieś z przodu. – Wsadź go pod daszek. Potem do mnie. Trzeba to obgadać.

Młaskanie butów, rytmiczny łoskot deszczu uderzającego o blachę, proste, krótkie komendy. Po paru minutach słyszę zbliżające się kroki, lina na nadgarstkach opada niespodziewanie i całym sobą powstrzymuję się przed ucieczką.

Nic przecież tym nie ugram. Dwa, trzy kroki i wyrznię jak długi z kulą w plecach albo głowie.

– Powoli – mówi ktoś z prawej i łapie mnie za ramię. – Nie wyrywaj się.

Idę posłusznie, buty z trudem odklejają się od błota, przemoczone ubranie drażni skórę, worek zakrywa pole widzenia i tylko dzięki drobnuteńkim przerwom w splocie materiału jestem w stanie dojrzeć, że jesteśmy na jakimś błotnistym podwórzu.

Ślizgam się lekko, twardey uchwyt najemnika podtrzymuje mnie w pionie, drobię nogami, w końcu czuję, że wchodzę na twardą powierzchnię, deszcz ustaje niespodziewanie, najemnik siłą nakazuje mi usiąść i wykręca mi rękę.

– To konieczne? – syczę przez zęby, czując, jak lina ponownie wrzyna się w nadgarstki.

– Nie – odpowiada lakonicznie najemnik. Chyba ten cały Świr. – Ale tak jest wygodniej.

– Chyba dla was.

– A dla kogo innego? – śmieje się Świr i słyszę gasnący dźwięk

kroków.

– Kojot? – odzywa się cichy, znajomy głos. – Kojot?

To Hiszpan.

– Jestem. Żyję. Co z tobą?

– Łeb mi pęka. Chyba przyłożyli mi kolbę. Gdzie my jesteśmy?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Zona jedna wie.

– Siny żyje? A Tłok? Co się, kurwa, dzieje?

– Siny chyba żyje. Tłok też, przynajmniej tak usłyszałem. I nie mam pojęcia, czego oni chcą. Ten, którego widzieliśmy na polu, mówił, że jesteśmy im potrzebni.

– Ja pierdołę. Trzeba było walnąć tym granatem.

– Jasne – wzdycham. – I zabić nas wszystkich. Niespieszno mi na tamten świat. Teraz przynajmniej możemy coś wykombinować.

– Co wykombinować? – unosi się Hiszpan. – Co niby? Jesteśmy związani, cholera wie gdzie, i co chcesz robić? Masz jakiś genialny plan? Ucieczka z Alcatraz?

– Żyjemy – mówię twardo. – A to już coś.

– Ale co to za życie, a? Trzeba było od razu strzelić sobie w łeb przy Kiryłowie i byłoby po sprawie. A tak? Siedzimy Bóg jeden wie gdzie i czekamy na wyrok. Bardziej spieprzyć to się chyba nie da.

– Weź się w garść, Hiszpan. Nie zabili nas, czyli faktycznie do czegoś jesteśmy im potrzebni. Jeśli dowiemy się, o co chodzi, będziemy mogli analizować.

– A analizuj sobie to i do usranej śmierci. Wpadliśmy jak śliwka w gówno. Tylko to wiem. Po co mi to było? Po cholerę się tu pchałem...

– Hiszpan! – niemal krzyczę na kompana. – Hiszpan, do cholery, przestań! Tak, jesteśmy tu. I tak, mamy przesrane, ale nie zmienisz swoich wyborów. Jesteśmy tu i teraz. Spróbuj odpocząć.

– Zniżam głos i niemal szeptem dodaję: – Jeśli mamy coś wywinąć, trzeba będzie mieć chłodną głowę, rozumiesz? Bez emocji.

– A Siny? Co z nim? Jak już, geniuszu, wymyślisz, to swoje wywijanie, jak chcesz go w nie wtajemniczyć? Z tego, co

pamiętam, jest troszkę niedysponowany.

Wzdycham ciężko, zaciskam zęby i powstrzymuję się od krzyku.

Hiszpan ma rację. Cokolwiek teraz bym wymyślił i jakakolwiek by się pojawiła okazja, nic nie zmieni faktu, że Siny nadal jest nieprzytomny. Nie mogę liczyć na to, że najemnicy mu pomogli. Ba, nawet wiem, że tego nie zrobili. A przecież nie po to szliśmy ze starym do bazy Wolności, żeby zostawić go na pastwę losu. To bez sensu.

Im więcej szczegółów pojawia się w wymyślonym scenariuszu działań, tym bardziej zaczynam wątpić w całe przedsięwzięcie. Bo cokolwiek bym zrobił, zawsze pozostaje ten jeden element, który nie pasuje do całości. Zdobyć broń i wystrzelać najemników? Marne szanse. Samo zdobycie broni wydaje się w tym punkcie nierealne. A nawet jeśli zdołalibyśmy, jakimś cudem, położyć łapy choćby i na dwóch pistoletach, najemnicy dysponują przewagą liczebną. Zwykła, prosta ucieczka? Szanse powodzenia są mniejsze niż wygrana na loterii.

W ten sposób niczego nie osiągniemy. Nie bez informacji. Potrzebujemy ich, choćby i cząstkowych. Musimy czekać.

A właśnie czekanie jest tym, czego nie znoszę.

* * *

Ktoś kopie mnie w nogę.

– Pobudka! Halo! Wstawać!

W pierwszej chwili nawet nie wiem, co się dzieje.

Odruchowo chcę złapać za broń, skrzepowane ręce, choć z pewnością chciałyby posłuchać jednoznacznego sygnału z mózgu, nie ruszają się ani o jotę. Całe ciało – wychłodzone, spięte, wymęczone trudami ostatnich kilkunastu godzin, zdaje się być jedynie kłębkim wyjątkowo paskudnego bólu.

Nie wiem, kiedy zasnąłem, i nie mam pojęcia, ile spałem. Szczerze powiedziawszy, jestem zaskoczony, że w tych przemokniętych ubraniach zdołałem zmrużyć oczy. Mimo wszystko jednak do tego doszło i teraz nie mam innej możliwości, jak pogodzić się z tym faktem.

– Pobudka, mówię! – głos najemnika rozbrzmiewa w głowie

echem.

– Już, już – mówię, czując nieprzyjemne drapanie w gardle. Oho, jeszcze tylko przeziębienia mi brakowało. Niby mały szczegół, na Dużej Ziemi nawet nie zwróciłbym pewnie uwagi, ale tutaj to inna historia. Zwykłe przeziębienie, a może przesądzić o twoim być albo nie być.

– Świr, rozwiąż ich. Panowie, nie rzucajcie się, bo tylko pogorszycie swoją sytuację.

Więzy opadają, ktoś ściąga mi worek z głowy, ze zdumieniem mrugam, przecieram twarz dłonią i wzdycham głęboko, czując, jak zimne, przesycone wilgocią powietrze wciska się do płuc.

Wokół panuje ciemność. Nie taka, którą obserwowałem zza zasłony worka, kiedy pojedyncze promienie światła przebijały się przez malutkie dziurki juty, ale całkowita i pełna ciemność nocy.

Ile ja przespałem, do cholery! – paniczna myśl odbija się od wnętrza czaszki, mroząc świadomość. Przecież miałem myśleć, ustalać plan, słuchać rozmów i starać się wywnioskować coś z tego burdelu! A co tymczasem się stało? Zasnąłem. Jak ostatni idiota!

Z prawej strony słyszę podnoszącego się powoli Hiszpana, który mruczy coś pod nosem. Światło latarki rozprasza nagle mrok, mrużę oczy, przez sekundę widzę trzy postacie, stojące nieopodal, i przeklinam w myślach. Gdyby przyszedł po nas tylko jeden z najemników, może i mógłbym go zaskoczyć. Ale teraz byłoby to czyste samobójstwo.

Promień światła przebiega po betonie, dostrzegam parę wysłużonych, kilkudziesięciolitrowych plecaków, obok spoczywają maski przeciwgazowe i dwa poplamione krwią kombinezony Wolności, z pyszniącymi się na ramionach szarozielonymi naszywkami.

– Zakładać. Tylko migiem.

– Po cholerę? – odzywa się Hiszpan. – Chyba się z fiutem na łby zamieniliście.

– Chcesz kulkę? Nie? To zrzucaj ciuchy.

Przejeżdżam dłonią po zmaltretowanych nadgarstkach,

wzdycham i zbliżam się do kombinezonów.

– Rób, co mówią – szepczę, mijając Hiszpana. – Na razie rób, co mówią.

Nie bez radości zrzucam z siebie prześmierdłe, przemoczone do cna ubranie, wiatr chłozczy gołą skórę, najszybciej jak potrafię wbijam się w uniform, dopinam klamry i dopasowuję ściągacze.

– Teraz wyjaśnię wam, co macie robić. Na samym początku powiem, że jeśli któryś zdecyduje się na ucieczkę, dostanie kulkę. Jesteśmy w stanie wam to zagwarantować. Druga sprawa jest taka, że słuchacie poleceń. I nie przesadzę, jeśli powiem, że od tego zależy wasze być albo nie być. Zrozumieli?

– Po co to wszystko? – pyta Hiszpan, próbując dopiąć paski kamizelki. – Lubicie przebieranki?

– Nie twój interes. Jeśli będziecie grzeczni i wszystko pójdzie gładko, jeszcze trochę sobie pożyjecie. Nie płacą nam za was.

O co tu chodzi? Co te sępy próbują ugrać?

Mogę dwoić się i troić, a i tak nic nie wymyślę. Zapewne najemnicy mają jakiś plan, z pewnością przemyślany, biorąc pod uwagę, że dali nam stroje Wolności, ale nadal nie widzę sensu. Jesteśmy blisko bazy, to fakt, tylko co z tego wynika? Chcą tam wejść niepostrzeżenie? Przecież to głupota! Wolnościowcy od razu poznają, że coś jest nie tak.

– Co wy chcecie zrobić? Mamy być mięsem armatnim? – Poprawiam kombinezon, zakładam pusty, jak się okazuje, plecak i staję w miejscu, patrząc w stronę źródła światła.

– O to się już nie martw.

– A co z naszym znajomym? Tym na noszach?

– Jeśli wam na nim zależy, róbcie dokładnie to, co wam powiem.

Rozumiesz?

– Czyli żyje?

– Powiem ci coś, Kojot. Bo tak na ciebie wołają, tak?

– Tak.

– No to posłuchaj. Tak się zdarzyło, że obejrzelśmy tego waszego kumpla, i nie jest z nim za dobrze, kapujesz? Znasz pojęcie: wstrząs oligowolemiczny? – Coś mi się obito o uszy. Kiedyś, gdzieś, jeszcze za czasów wojska. – Ułatwię ci. Wasz

znajomy stracił dużo krwi. Teraz znajduje się w stanie niemalże agonalnym. Bez pomocy umrze w ciągu kilku godzin. Może trzech, może dwóch. Prawdę mówiąc, może się przekreślić w zasadzie w każdej chwili.

– A wy tej pomocy nie zapewnicie?

– Nie wiem – stwierdza najemnik lakonicznie. – Ale jeśli zrobicie wszystko, jak należy, może uda nam się coś wykonypować.

Zamykam oczy, słyszę tętniącą w uszach krew, dłonie same zaciskają się w pięści i nawet ból nadgarstków wydaje się śmieszny i nieważny. Znowu czuję się jak narzędzie. Nic więcej. „Zrób to”, „zrób tamto” – żadnych gwarancji na powodzenie.

Mam świadomość, że nie mogę zostawić Sinego. Sytuacja podobna do tych z Koniem i Świetlikiem – wszyscy znają stawkę. Kątem oka dostrzegam ruch, widmo chłopaka czołga się w moją stronę. I choć wiem, że to przecież niemożliwe, panika momentalnie opanowuje ciało i wżera się w głąb świadomości. Zaciskam oczy, oddycham głęboko, uchylam powieki i tuż za Świetlikiem dostrzegam spalone ciało Konia. Jest ciemno, a mimo to widzę ich dokładnie – pokiereszowanych, o ślepych, pozbawionych źrenic oczach, z pogardliwie wykrzywionymi ustami.

Krok w tył, serce wali jak oszalałe, słyszę niewyraźny szept, potrząsam głową, starając się wyrzucić sprzed oczu karykaturalne miraży, potykam się o coś i upadam jak długi.

Instynktownie przytulam podbródek do klatki piersiowej, zasłaniam rękami tył głowy i objam tyłkiem twardy beton.

– A tobie co? – pyta któryś z najemników.

– Potknąłem się – mówię, rozglądając się jednocześnie za widmami. – Nic mi nie jest.

Najpierw Świetlik, teraz jeszcze Koń...

Sądziłem, że doszedłem do siebie. Podczas ataku pijawek byłem w stanie przezwyciężyć zawroty głowy i dziwną, przerażającą niemoc. Myślałem, że cokolwiek poprzestawiało mi się w głowie, w tamtym momencie wskoczyło na odpowiednie tory i przedziwne wizje opuszczą mnie na dobre.

A jednak się myliłem. Nadal coś jest ze mną nie tak.

– No to wstawaj. Ubrali się? Świetnie. Świr i Kindzał, zaprowadźcie ich na miejsce. Ja zaraz dołączę. Porozmawiam sobie jeszcze z naszą kartą przetargową.

Światło latarki pada na długie lufy automatów.

– Podrapcie się po tyłku bez mojej zgody, a będzie kulka – stwierdza jeden z najemników. – Jasne?

Rozdział 8



Ostre światło reflektorów widzimy już z daleka.

Baza Wolności – tego jestem pewien.

Tylko oni jedni w okolicy mogą sobie pozwolić na luksus posiadania energii elektrycznej. W końcu kto inny miałby czas i środki na konserwację i naprawy tego całego majdanu? Świetlówki, przewody, układy scalone – wszystko kosztuje tutaj krocie i tylko ktoś o dobrych kontaktach z handlarzami może sobie na to pozwolić. W Strefie każdy zasilany elektrycznością sprzęt, choćby i najmniejszy, prędzej czy później musi się zepsuć. Niektórzy twierdzą, że to przez pole magnetyczne, inni znowu, że taka po prostu jest Jej wola. Nie wnikam w szczegóły, nie są mi one do niczego potrzebne, ale fakt, że Wolność może pozwolić sobie na reflektory, budzi we mnie pewną nadzieję. Siny potrzebuje opieki medycznej i jeśli baza okaże się dobrze zaopatrzona, może będzie miał szansę na przeżycie.

Deszcz leje się z nieba, suche ubrania bardzo szybko przesiąkły wodą, w butach nie jest wcale lepiej i czuję się, jakbym brnął nie przez las, ale przez zimną, górską rzekę.

Idziemy, przyświecając sobie delikatnym, niemal niewidocznym pośród szarugi światłem latarki, najemnik prowadzi nas zawijasami i mogę się tylko domyślać, że to z uwagi na anomalie. Skubaniec musiał zapamiętać ścieżkę i teraz bez zbędnego zatrzymywania się kieruje nas w stronę błyszczącej w oddali poświaty obozu.

Moglibyśmy teraz zaatakować. Sytuacja może nie jest idealna, ale lepsza może nam się nie trafić. Tyle że nie mam pojęcia, gdzie

jest Siny. Może i udałoby się nam zaskoczyć najemników, ale trzeba pamiętać, że to nie byle bandyci szlajający się po bezdrożach, ale mordercy, którzy w przypadku zagrożenia nie będą bawić się w ciuciubabkę, a po prostu zarzną nas bez litości.

– Teraz nawet nie próbujcie schodzić ze ścieżki – odzywa się przewodnik. – Dokładnie za mną.

Szum zagłusza trzaskanie gałązek, powolutku brniemy naprzód. Nie wiem już, czy to woda spływa mi z karku, czy może zimny pot.

– Co my mamy robić? – pyta idący za mną Hiszpan.

– Przyjdzie Janczar, to wyjaśni – informuje nas mężczyzna zamykający pochód.

Janczar – pewnie dowódca. Domyślam się, że to ten, który mnie przesłuchiwał.

– A długo będziemy tak moknąć? – pytam, stąpając ostrożnie po ściółce.

– Ile będzie trzeba.

Najemnik przystaje na skraju zagajnika, pokazuje nam, żebyśmy weszli za chudziutkie, powykręcane niczym palce u artretyka drzewka. Gasi latarkę.

– Czekamy tutaj. Cisza bezwzględna. Jak ktoś będzie szedł, padacie na ziemię i czekacie. Zrozumieli?

– Tak – potwierdza z ciemności Hiszpan.

Milczę zgodnie z przykazaniem i choć wiem, że nasz przewodnik oczekuje odpowiedzi, jakaś mała cząstka mnie ma ochotę go nieco podrażnić. Ani to mądre, ani potrzebne, ale nie mogę się powstrzymać.

– A ty, jak ci tam... Kojot? Zrozumiał?

Różne są sposoby na rozładowanie stresu. Niektórzy chodzą na siłownię, inni produkują tyrady na forach dla fanów teorii spiskowych, jeszcze inni zabijają się nawzajem w wirtualnym świecie gier. A ja lubię kogoś raz na jakiś czas, zwyczajnie i po ludzku wkurwić. Tak dla zasady i własnego komfortu psychicznego.

– Zrozumiał, do cholery, czy ci głos odjęło?

– No kazałeś się nie odzywać, więc milczę. Sam drzesz się teraz,

zamiast czekać w ciszy. Jakbym nie zrozumiał, tobym gadał jak najęty.

– Taki jesteś śmieszek? A wpierdol byś chciał obskoczyć?

– Uspokoić się obydwaj – mówi drugi z najemników. – Morda w kubeł.

Mała rzecz, a jednak potrafi poprawić nastrój. Tego mi właśnie było trzeba – odrobiny ucieczki od bagna, w które się władowaliśmy. Chwilowego zapomnienia o Kiryłowie, naukowcach, Koniu, samotnej Mirze i umierającym gdzieś niedaleko Sinym. O tym syfie, który wylewa się na nas od kilku dni i nic nie zapowiada, aby miał przestać. Bo człowiek nie może tak funkcjonować. Cały czas na najwyższych obrotach, bez momentu na złapanie oddechu, wśród czyhającej na każdym kroku śmierci.

Deszcz szumi jednostajnie, skrzypią trącane wiatrem gałęzie, odparzone stopy błagają o litość, więc krzywiąc się z bólu, odklejam plecy od drzewa i siadam na mokrej ściółce.

Wychyłam się lekko zza pnia i patrzę w stronę obozu.

Blask odległych reflektorów oświetla asfaltowy placyk, przy którym widać parę ceglanych, dwupiętrowych budynków. Nieco dalej, w półmroku, stoi górująca nad wszystkim metalowa konstrukcja, która nigdy nie doczekała się wykończenia, tuż obok niej zalegają hałdy żwiru. Do tego małe szkielety wież strażniczych, kilka namiotów, ustawione przy prowizorycznej bramie worki z piaskiem, zasieki i okalający cały obóz betonowy mur.

Sięgam pamięcią do pokazywanej nam przez Kiryłowa mapy, staram się uprzytomnić sobie, jaką funkcję pełniło kiedyś to miejsce, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Mogę jedynie zgadywać, co działo się tutaj przed Katastrofą. Może miała tu być jakaś mała stacja badawcza albo punkt przerzutowy materiałów budowlanych – każda opcja jest niemal tak samo prawdopodobna i choćbym głowił się całymi godzinami, niewiele wniesie to do sprawy.

Za plecami słyszę kroki, odwracam powoli głowę, w słabym świetle latarki dostrzegam kilku najemników i zielony

kombinezon Tłoka.

– Dobra, wszystko gotowe – poznają głos Janczara. – Panowie wiecie, co robić? Jak druga grupa?

– Powinni być na miejscu – odpowiada jeden z najemników.

– Dobra, zaraz zaczynamy. Opal, podaj im broń.

Po chwili pojawia się przede mną karabin, Hiszpan łapie za swój automat i pośpiesznie sprawdza magazynek.

– E. No tak się nie robi. Może chociaż ze dwie kule dacie.

– Gdzie jest Siny? – pytam.

– Widzisz, wasz kolega jest w takim stanie, że raczej nigdzie nie pospaceruje – mówi Janczar. – Ale, z uwagi na dobrą wolę, jaką chcemy okazać, nasz medyk trochę się nim zajął. Niemniej, gdybyście nie chcieli współpracować, pamiętajcie, że wasz towarzysz został w obozie. Tak wspominam na wszelki wypadek.

Cholera jasna.

Nie żebym się nie spodziewał podobnej zagrywki, ale domyślać się, a mieć pewność, to dwie zupełnie różne rzeczy.

– A teraz zamknąć się i słuchać, bo nie będę się powtarzał. – Janczar podchodzi do nas, prowadząc Tłoka za ramię. – Wy się już znacie, wasz kolega wie, co za chwilę się stanie, więc teraz wyłożę to i wam. I naprawdę nie radzę się wygłupiać.

* * *

– E! Pedały! Przyszliśmy pogadać – krzyczy Kindżał. – E! Warty nie macie? Nawet harcerze wystawiają kogoś do obserwacji, a tutaj nic. Zajęci jesteście? Pindole sobie pokazujecie?

– Kto?

– Koń w palcie! – odpowiada najemnik. – Swój i nie swój idzie. Macie tu kogoś wysokiego szarżą, kto aktualnie nie trzepie kapucyna do kolegi?

Stoję wyprostowany, pot leje się ciurkiem i miesza z zimną wodą, nogi mam jak z waty, ręce mi drętwieją i nie wiem, czy to wynik stresu, czy może znów ujrzę widmowe zjawy.

Jestem wystawiony na strzał nie tylko ze strony obozu Wolności. Wiem, że tam, gdzieś na skraju lasu, leży Opal i obserwuje nas przez potężny celownik noktowizyjny. Nie wiem,

jakim cudem taka błyskotka jest w stanie działać w Zonie. W końcu im więcej elektroniki w sprzęcie, tym szybciej można go tutaj wyrzucić na śmietnik, ale tak czy owak jestem pewien, że w szarozielonym świecie snajper widzi nas doskonale. Jak na dłoni.

– To znowu wy? Stary kazał strzelać, jak tylko was zobaczymy, więc powiem po dobroci: w tył zwrot i wypierdalać! Nie gadamy z wami.

Z trudem przełykam ślinę.

To już nie jest strach – on dawno zrejterował i schował się w miejscu, gdzie nie dosięgną go kule Wolności i najemników. Nie jest to też panika, bowiem ta kazałaby mi wiać, gdzie pieprz rośnie. To coś w rodzaju niemocy i wymuszonego odgórnie zrezygnowania.

Stoję jak posąg, zerkam na Hiszpana, to znów w kierunku obozu i wieży strażniczej, przenoszę wzrok na Kindżała i modlę się w duchu, by pierwsza kula była przeznaczona właśnie dla niego.

– Zamiast bawić się w przepychanki słowne, możemy dobić interesu, ale do tego potrzebny wasz przełożony, starszy czy jak wy tam między sobą go nazywacie. Dla mnie może być i sponsor, po prostu niech podejdzie do płotu.

Nie wyjdziemy z tego żywi, myślę. Plan jest o tyle błyskotliwy, co absurdalny. Nie może się udać.

Już kiedy Janczar wyjaśniał, co mamy robić, chciałem rzucić się do ucieczki. Tyle że nie miałem jak. Bez amunicji, zapasów, mutr i z pękniętą maską przeciwgazową daleko bym nie zaszedł. Nawet jeśli uniknąłbym kul, wpadłbym pewnie do jednej z wielu błyszczących wśród deszczu anomalii. Znalazłem się między młotem a kowadłem.

– Panowie! – słychać tubalny głos ze strażnicy. – Mówiłem wam już, że nikogo nie oddamy. Chcecie się strzelać? Proszę bardzo. Lep, dawaj...

– Starszy, rozumiem? – zaczyna szybko Kindżał, widząc chyba, że sytuacja robi się bardzo nieciekawa. – Przyszliśmy dobić targu! Mamy waszych ludzi i wiesz, czego chcemy.

– Z wami się nie handluje. Ostatnie moje słowo.

– Zelenko, nie strzelaj! – wypala nagle Tłok. – Zelenko, to my!

Tłok tutaj!

Chwila ciszy.

– Hasło!

– Arrarat, kurwa! To ja, nie strzelajcie. Wpakowaliśmy się na nich. Ranny jestem, pomóżcie!

– Świetnie – mówi Kindżał. – A teraz zamknij mordę. Jedna uwaga i leżysz.

Słysząc poruszenie na wieży, coś uderza o blachę strażnicy.

– Głowy w dół – syczy Kindżał.

Oblewa nas światło, automatycznie chowam głowę w ramionach i odliczam swoje ostatnie sekundy. To niemożliwe, żeby to łyknęli. Przecież muszą wiedzieć, jak wyglądają ich ludzie. Sam kombinezon nie wystarczy.

– Musieliście, co? – pyta Zelenko. – Musieliście wpierdolić się akurat na tych gnojków? Gdzie reszta?

– Odpowiadaj szczerze – syczy Kindżał.

– Emisja była. Jestem tylko ja, Grucha i Bakaj. Reszta nie dała rady.

No to teraz będzie strzał. Na pewno. Tylko kto dostanie pierwszy? Ja? Hiszpan? Kindżał? Cholera, kto pierwszy?

Zaciskam oczy, staram się nie myśleć i wciągam głęboko powietrze. To już, teraz, zaraz. Pieprzyć Kiryłowa i jego plan. Pieprzyć wszystko i wszystkich. Pójść, zabrać, wyjść – prosty, jednoznaczny plan. Szkoda tylko, że wyglądał tak jedynie w teorii.

Słysząc szcęk metalu, oczami wyobraźni widzę padającego na ziemię Hiszpana, organizm jakby przeczuwa, co się zaraz stanie, obrazy minionych dni przelatują mi przed oczami.

– Psia wasza mać! – krzyczy Zelenko. – Dajcie mi chwilę.

Otwieram oczy, rozglądam się wokół, mięśnie przy zuchwie alarmują o zbliżającym się skurczu, luzują zaciśnięte zęby i próbuję zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

Nie strzelili, nie padłem trupem, nadal stoję wśród lejącego się deszczu i czekam. Jak petent przed wejściem do gabinetu państwowego urzędnika: pokornie, w ciszy, nie licząc na wiele, ale z rozpaloną nagle nadzieją, że wszystko jakoś się ułoży.

Tylko kogo właściwie mają zamiar przejąć najemnicy? Janczar tego nie zdradził, powiedział, że to nie nasza sprawa, ale jasne jest, że nie biorą pierwszego lepszego z brzegu. W końcu nie przeprowadza się takich akcji dla nieistotnego elementu. Po co ten cały teatrzyk?

Szperacz w dalszym ciągu łapie na nas z wieży strażniczej, gdzieś dalej słyhać zgrzyt blachy, zerkam kątem oka na Kindżała, przenoszę wzrok na Hiszpana i mrużę oczy. Co mogę teraz zrobić? Jaką mam pewność, że gdy tylko dojdzie do wymiany, nie dostanę kulki w plecy? Mam uciekać? Spokojnie wejść do obozu i czekać, aż Tłok wyjaśni sprawę? W tej chwili nie jestem potrzebny żadnej ze stron i obydwie stanowią dla mnie zagrożenie.

Promień reflektora odchodzi nieco w lewo, podświetlając zbliżające się do nas postacie.

– Puście mnie, do cholery! Nie macie prawa! – Prowadzona przez dwóch wolnościowców kobieta stara się wyrwać z uścisku.

– Spokojnie, spokojnie – mówi Kindżał, uśmiechając się pod nosem. – Zostawcie ją i spierdalać do mamy. No już. Po chuj tu stoicie?

– Nie macie prawa! – krzyczy kobieta, wyrывa się wartownikom, ślizga na błocie i upada na ziemię.

Coś jest nie tak.

Przykładam dłoń do czoła i zakrywając bijące po oczach światło reflektora, spoglądam na podnoszącą się z gleby postać.

Znam ją. Nie jestem pewien, kiedy mogłem ją spotkać, ale z pewnością już ją widziałem. Wymizerowana, chuda twarz, pęknięte szkła okularów, czarne, utyłane błotem włosy zaplecione w długi warkocz, flanelowa, sprana koszula w kratę i jasne, szerokie bojówki.

Niby obca, a jednak dziwnie znajoma. Jak koleżanka z podstawówki, o której nie pamiętało się wiele lat. Przedziwne wrażenie nie zbliża mnie jednak do żadnej konkluzji, ale trwa gdzieś w środku jak mała, irytująca drzazga w palcu.

– No już. Wstawaj, wstawaj. – Kindżał podchodzi do kobiety, łapie ją za ramię i brutalnie ciągnie w stronę skrytej w mroku

ścieżki. – Mogliście jej chociaż kurtkę dać. Ale, ale. Zaraz, zaraz. – Zatrzymuje się nagle. – Gdzie walizka?

– Nie twój interes!

– Akurat tutaj bym się nie zgodził. Mówisz po dobroci czy mam cię zmusić, co? – Najemnik kładzie rękę na nożu.

– Tłok, wszystko w porządku? – pyta jeden z eskortujących. – A wy, chłopaki?

– A co wy tacy ciekawscy? – wtrąca się Kindżał, odwracając głowę w stronę eskorty. – Mówiłem: spierdalać w podskokach. Macie swoich, wszyscy zadowoleni. Won stąd. – Najemnik cofa się, ciągnąc za sobą kobietę.

– Hej, chłopaki, co wam? – pyta jeden z wolnościowców, zbliżając się do Tłoka.

– To nie oni! – krzyczy nagle Tłok i rzuca się przed siebie.

O cholera!

– Padnij! – ryczę na całe gardło i rzucam się w błoto.

Karabiny, niczym zakłete w metalowe skorupy smoki, rzygają ogniem, ogłuszający huk prochu miesza się z ostrymi wrzaskami, które zagłuszają szum ulewy. Rozlega się dźwięk syreny, w ostrym świetle ustawionego na wieży strażniczej szperacza dostrzegam dziurawionego kulami podkomendnego Zelenki.

Kobieta wyrывa się zaskoczonemu Kindżałowi, zawraca ku bazie Wolności. Najemnik próbuje ją złapać, pochyla się w kierunku uciekinierki i gdy już wydaje się, że zdołał jej sięgnąć, głowę mężczyzny przeszywa pocisk. Szaro-czerwona masa tryska na błoto, kawałki czaszki lecą w moim kierunku i upadają tuż obok.

Strach, panika, niepewność uderzają natychmiastowo. Blokady, których zadaniem było hamować natłok uczuć i emocji, nie dają rady, pękają na skruszałych łączeniach i zalewa mnie fala czystego szaleństwa.

Stojący nieopodal Tłok łapie automat, przechyla się gwałtownie, wybałuszone na wierzch oczy wyrażają bezgraniczne zdumienie, upada w błoto i rozchlapuje wokół krwistą breję.

Jestem pośrodku tego burdelu, za chwilę z pewnością zginę,

więc czy jest więc sens leżeć na ziemi i czekać na smutny koniec? Czy właśnie tak chciałbym odejść? Skulony i przerażony, lejąc pod siebie niczym zbity pies?

Podnoszę się na łokciach i pełnę przed siebie, choć w gruncie rzeczy nie wiem nawet, dlaczego to robię. Widać w jakiś chory sposób ciało zdołało obejść połączenia w mózgu i zmusić się do ruchu. Bezwiednie i kompletnie niewytłumaczalnie sunę do przodu.

Coś uderza mnie w ramię, ból błyska jak ogromna petarda odpalona dzień przed sylwestrem. Klnę, zaciskając jednocześnie zęby, i ze zdumieniem stwierdzam, że znalazłem się tuż obok Kindżała.

Zerkam na lewą rękę, żyłki cierpienia wciskają się do głowy, chcąc oznaczyć swoje miejsce, zieleń kombinezonu z sekundy na sekundę ciemnieje od rozchodzącej się radialnie plamy krwi. Pisk przestaje wreszcie zagłuszać otoczenie, wokół huczą karabiny, w oddali słychać detonowane granaty, od strony szperacza dobiega przerażający krzyk i dźwięk wystrzału.

Widać najemnicy ani myślą odpuścić.

Chwytam za leżący w błocie automat Kindżała, ściągam go z trupa wraz z taktyczną uprzężą i sprawdzam bezpiecznik.

– Kojot! – słyszę za sobą głos Hiszpana. – Dawaj do mnie.

– Napierdalaj w nich! – wrzeszczę na całe gardło.

– Nie mam jak!

Odwracam głowę, pochylona nisko nad ziemią sylwetka Hiszpana majaczy na granicy oświetlonego przez szperacz pola, mrużę oczy, zasłaniam dłonią źródło blasku i dostrzegam, że stalker biegiem rzuca się za ustawione pod murem worki z piaskiem.

Już mam się odwrócić i skryć się całkowicie za ciałem martwego najemnika, gdy dostrzegam siedzącą w błocie, kompletnie nieruchomą kobietę.

Z jej szeroko otwartych oczu bije brak zrozumienia, głowa kiwa się na boki, we włosach dostrzegam fragmenty czegoś, co jeszcze niedawno było ludzkim ciałem, a co kule skutecznie przemieniły w krwawy strzęp mięsa.

Mam wrażenie, że serce za wszelką cenę chce mi wyskoczyć z piersi, panika podnosi łeb, chwając się jednocześnie tysiącem ostrych jak brzytwy scenariuszy, z których żaden nie kończy się dla mnie dobrze.

Kule uderzają tuż obok, chwytam za truchło najemnika i odwracam je na bok, starając się uzyskać jak najwięcej osłony. Ciało co prawda nie zatrzyma pocisków tak dobrze, jak porządny worek z piaskiem, ale kamizelka Kindżała do najtańszych też na pewno nie należy. Jeśli będę miał szczęście, zdołam wytrzymać parę chwil.

Podnoszę automat, opieram go o trupa i biję na oślep, raz za razem naciskając na spust.

– Kojot, dawaj! Mogę kryć – krzyczy Hiszpan.

Jeśli wstanę i ruszę w jego stronę, zastrzelą mnie bez dwóch zdań. Grupa Janczara to nie są chłopcy do bicia. Kule co chwilę orają błoto, nakrapiana dziurami głowa Kindżała odskakuje raz za razem i mam wrażenie, że z każdą sekundą oddział zabójców zbliża się do mojej pozycji.

Atak będzie bezlitosny. Najemnicy nie mogą czekać. Obrońcy już teraz zasypują ich gradem kul i każda kolejna chwila działa na korzyść Wolności. To będzie blitzkrieg, przechodzi mi przez myśl. Precyzyjne, szybkie ciosy, po których przeciwnik nie będzie miał sił na drugą rundę.

Daję jeszcze ognia zza trupa, patrzę w kierunku kobiety, która zdaje się przebywać teraz w innym, lepszym świecie i czuję, jak młot olśnienia opada na mnie nagle i roztrzaskuje zaśmienie umysłu na kawałki.

Już wiem, skąd ją znam.

Powietrze ucieka z płuc, dreszcz strachu pełźnie w górę po kręgosłupie, zatrzymuje się na karku, wbija igły w ramiona i z radością usadawia się na nich, przygniatając mnie do ziemi z całą dostępną mocą.

Już wiem, gdzie ją widziałem.

Pamięci – ty wredna suko!

– Ty jesteś Udowenko?! – krzyczę, ile mam siły w płucach.

Kobieta otrząsa się nieznacznie, jakby chciała obudzić się ze

złego snu.

– Kobieto! Ty jesteś Udowenko? Profesorka z Kijowa?

Patrzy na mnie, w oczach widzę cień zrozumienia, głowa niczym u robota porusza się w górę, potem w dół, by zastygnąć w bezruchu.

Jest kilka metrów ode mnie. To po nią i po jej kolegów weszliśmy do Strefy. Tak blisko, a jednak tak daleko. Co ona, do cholery, tu robi? Przecież powinna być w bunkrze! Dlaczego spotykamy ją akurat teraz? I czego chcą od niej najemnicy?

Pytania kłębią się pod czaszką i choć pragnę odpowiedzi, nie mogę sobie teraz pozwolić na błąd. Już nie chodzi jedynie o mnie.

I nagle pojawia się myśl.

Najemnicy czegoś od niej chcą i tylko to sprawia, że widoczna jak na dłoni kobieta nadal oddycha. Snajper położyłby ją w pierwszej kolejności. Ale tak się nie dzieje. Potrzebują jej. I dlatego jest nietykalna.

To jest mój los na loterii. Moje wyjście z beznadziejnej sytuacji.

Kolejna kula przesuwa ciało Kindżała, ociera się o moją rękę, jęczę z bólu, czując rozrywane tkanki. Draśnięcie, a boli jak cholera.

Następny strzał, głowa trupa nie wytrzymuje, odrywa się bezgłośnie od ciała i turla w moim kierunku. Wyrwam nóż z kabury najemnika, zakrzywione, półokrągłe niemal ostrze błyska w świetle szperacza, biorę głęboki oddech, w świadomości jarzy mi się jasnoczerwona lampa informująca o niebezpieczeństwie, ale mimo to podejmuję decyzję.

Udowenko to moja szansa. Do mnie mogą pruć ile fabryka dała, ale jej nie postrzelą. To ich cel. Ktoś im za niego płaci.

Nie jestem dumny z planu, ale nie mam też wielkiego wyboru. Raz kozie śmierć.

– Hiszpan! Bij, zabij! Ruszam!

Karabiny szczerkają jak wściekłe, spuszczone ze smyczy dobermany. Chwytam głowę Kindżała, lepkie od błota i krwi tkanki przyprawiają o mdłości, wychylam ją lekko, tak aby snajper nie miał pewności, do kogo należy czerep, i przygotowuję się do akcji.

Odległy huk, resztki łba rozbryzgują się na boki, błyskawicznie podnoszę się z miejsca, łapię karabin w dłonie, kule świszczą obok moich uszu, krzyczę jak potępiony i strzelając w mrok, rzucam się ku tkwiącej w błocie kobiecie.

Jeden krok, drugi, trzeci. Ruchy wydają się powolne, brak mi dynamiki, lewe ramię pali żywym ogniem, nogi, jak ulepione z gorącej plasteliny, gną się i z trudem utrzymują mnie ponad linią błota. Czuję gorący powiew wystrzałów, myśli toną we wrzawie, odbijam się od ziemi i rzucam w kierunku kobiety.

Uderzenie wyrywa powietrze z płuc, Udowenko odwraca gwałtownie głowę, puszcza karabin, a zakrzywione ostrze śmiga w powietrze. Przywieram do pleców profesorki, ściskam ją mocno ręką i przystawiam nóż do gardła.

– Nie zrobię ci krzywdy – mówię cicho, czując drżenie jej ciała. – Nie zrobię ci krzywdy, tylko współpracuj.

Nie jestem dumny z własnego zachowania. Wykorzystywanie postronnej osoby jako tarczy stanowi raczej modus operandi wszelkiej maści ekstremistów, ale nie mam innego wyjścia.

– Puść mnie! – Udowenko budzi się z przedziwnego marazmu, próbuje uwolnić z chwytu. – Zostawcie mnie wszyscy, do cholery!

– Uspokój się – syczę, obejmując ją jeszcze mocniej i zmuszając jednocześnie do podniesienia się z błota.

Huk potężnej eksplozji przetacza się po okolicy, wzdrygam się gwałtownie, nóż przejeżdża po szyi kobiety i nieomal przebija cienką skórę.

– Granatnik! – wrzeszczy ktoś ze środka obozu.

Najemnicy nie bawią się w półśrodki. Mają zadanie do wykonania i nie powstrzyma ich nawet betonowy, gruby na kilka centymetrów mur.

– Puść mnie! – krzyczy przeraźliwie Udowenko, gdy ciągnę ją w stronę obozu.

Czuję, jak wali jej serce, płuca pracują jak kowalskie miechy, skóra na ramionach pokrywa się gęsią skórką.

– Uspokój się – cedzę.

Rzucam spojrzeniem na boki, przez chwilę mam ochotę odbiec w przeciwną stronę, skryć się gdzieś w ciemności lasu, ale

błyskawicznie porzucam pomysł. Snajper z celownikiem noktowizyjnym, zgrana grupa Bóg wie ilu najemników... Nie, to nie mogłoby się udać. Teraz ochronić nas może tylko upór Wolności, mnóstwo amunicji i masa szczęścia.

– Hiszpan, kryj – wrzeszczę ile sił w płucach.

Pada strzał, błoto rozpryskuje tuż przy naszych nogach, Udowenko krzyczy wniebogłosey i próbuje wyrwać się z uścisku. Zakrwawiona, mokra, pokryta szlamem ręka profesorki jest śliska, wymyka mi się z uchwytu, ale w ostatniej chwili zaciskam palce i ciągnę kobietę w kierunku bramy obozu.

Słyszę, że Wolność ponosi straty. Karabiny odpowiadają coraz rzadziej, słychać wrzaski rannych. Najemnicy musieli chyba przynieść całą skrzynię granatów, bo co chwilę słychać charakterystyczne wstrząsy wywołane detonacją wypełnionych trotylem ładunków.

Brama jest tuż-tuż, przed nami wyrastają zasieki, Udowenko ledwie idzie i myli kroki. Muszę uważać na znajdujący się w dłoni nóż, a jednocześnie cały czas obserwować sytuację. Nie chcę zrobić kobiecie krzywdy, ba... właśnie tego pragnę za wszelką cenę uniknąć, ale jeśli pokażę słabość i brak zdecydowania, wyszkoleni najemnicy w mig zauważą, że coś nie gra.

A na to pozwolić sobie nie mogę. Jeden zły ruch i lecimy do piachu. A w zasadzie ja lecę.

– Hiszpan, do tyłu! Prawie jesteście!

Z ciemności dobiega huk kanonady, pociski szybują mi koło uszu, pochylam się nisko i mimo bólu biegnę ile sił w nogach.

Druga grupa, o której mówił Janczar, okrążyła bazę i siły najemników nacierają teraz na Wolność z obydwu stron. Ilu może ich tam być? Pięciu? Dziesięciu? Więcej?

Kule świszczą w powietrzu, w środku bazy widzę biegających bez ładu i składu wolnościowców, ciągnę Udowenko za rękę i wpycham ją za bramę.

Kobieta z gracją wyrzuconej na brzeg ryby przeskakuje zasieki, rozrywa spodnie, koziołkuje, wrzeszcząc na całe gardło, zatrzymuje się w błocie i zaciska dłonie na nodze.

Rozcięcie? Złamanie? Cholera jasna, tylko tego brakowało!

Podrywam karabin do ramienia i nie celując, ale odwracając jedynie lufę w stronę nadbiegających napastników, naciskam spust.

– Hiszpan, cofaj! Osłaniam!

Schodzę nisko, niemal do samej ziemi, łuski jedna po drugiej wypadają na mokrą, przesyconą wodą glebę. Ogień najemników ustaje na chwilę, zerkam w tył, Hiszpan jest przy samym wejściu i wystarczy jeszcze sekunda albo dwie, żeby przebył zasieki.

Uda się! Musi. Przecież już tak niewiele brakuje.

Błąd. W Zonie nic nie jest pewne.

Czuję, jak coś niebotycznie ciężkiego uderza mnie w klatkę. Powietrze do wtóru głośnego wrzasku ucieka z płuc, niemal słyszę trzaskające żebra. Upadam w tył, uderzając głową o drewnianą belkę bramy.

Ciemniej mi w oczach, nie mogę złapać oddechu, z całej siły próbuję łyknąć choćby odrobinę tlenu, ale na próżno. Mięśnie klatki piersiowej odmawiają posłuszeństwa, przerażenie chwytając za gardło, wypuszczam broń z dłoni, przytykam rękę do piersi i szukam dziury w przemocznym do cna kombinezonie.

A więc tak to ma wyglądać?

Palec natrafia na małą, okrągłą wypustkę, myśli gnają przed siebie, podpowiadając mi, że za chwilę zemdleję, wokół szczekają karabiny, dostrzegam Hiszpana, który bije zza rogu bramy i macha do mnie w geście przywołania.

Oddech wraca niespodziewanie, zachłystuję się powietrzem, dojmujący ból maleje nieco, a wetknięty w kamizelkę palec odnajduje stalową blachę, poszarpane włókna kevlaru i rozgrzane fragmenty ołowianego pocisku.

Szczyście.

Zapomniałem, że mam na sobie kombinezon Wolności. W ferworze walki, w ciągłym stresie nie zwracałem nawet uwagi na to, że targam na sobie obleczone kevlarem, kuloodporne, stalowe płyty.

– Kojot! Wstawaj, do cholery!

Potrząsam głową, wyrzucam z siebie przemyślenia, łapię zdobyczny, wciąż przyczepiony na jednopunktowym

zawieszeniu automat i odpychając się nogami, czołgam się w stronę bazy.

Kule jak wściekłe osy atakują z każdej strony, Hiszpan chowa się za betonową osłonę, rezygnując z dalszej wymiany ognia, ziemia obok mnie wybucha, błoto zalewa twarz. Klnę głośno, plując mokrą glebą. Hiszpan łapie dłońią za rozciągnięty na całej szerokości drut kolczasty, więc wykorzystuję sytuację, przeczołguję się przez otwarte przejście i docieram wreszcie do środka obozu.

– Trzeba spierdalać – krzyczy kompan, pomagając podnieść mi się na nogi. – To jest rzeź! Wytluką nas!

Podnoszę głowę, zaciskam zęby, ból w postrzelonym ramieniu i klatce piersiowej uderza falami i niczym wielka, sztormowa nawałnica zalewa świadomość.

Muszę dać radę, wmawiam sobie.

Rozglądam się, oceniając sytuację. Grupy wolnościowców przebiegają przez asfaltowe podwórze, gdzieś niedaleko wybuchają granaty, ktoś krzykiem wzywa pomocy, w półmroku reflektora widzę wybitą w murze potężną wyrwę, przy której zebrała się spora gromada obrońców.

Odwracam wzrok, przy najbliższej wieży strażniczej dostrzegam ciało wąsatego, podstarzałego mężczyzny, tuż nad nim zwisają zwłoki zabitego snajpera.

Cholerna, regularna wojna, przebiega mi przez myśl. Nie przyszło mi walczyć w Afganistanie, to teraz mam okazję powąchać prochu. Z tą różnicą, że nie wezwę wsparcia, nikt nie przyleci na ratunek, nie zbombarduje pozycji wroga. Jesteśmy tylko my, karabiny i instynkt przetrwania.

Przeklinam w duchu i zaciskam pięści.

Z tym zapleczem, murem, zasiekami, wieżami strażniczymi, zabarykadowanymi budynkami i mnóstwem amunicji, powinniśmy poradzić sobie z tak nielicznym napastnikiem. Właśnie – powinniśmy. Ale z jakiegoś powodu atak wciąż trwa i nie zanosi się, by coś miało się w tej kwestii zmienić. Najemnicy musieli przygotować nie lada plan. Kryją się w ciemnościach, cholera wie ile nowoczesnych, noktowizyjnych celowników ze

sobą przynieśli. Do tego jeszcze granatnik... A najgorsze, że działają równo i precyzyjnie. Po prostu tworzą dobry, zgrany oddział. A tutaj? To Wolność! Ci ludzie potrafią walczyć, ale różnica w poziomach jest aż nadto widoczna. Jakby niedzielny strzelec sportowy chciał konkurować z operatorem jednostek specjalnych. Krótko mówiąc – nie ta liga.

– W ten sposób niczego nie ugramy – mówię, starając się złapać oddech. – Bierzymy profesorkę i barykadujemy się w środku.

– Że co? Kogo? – pyta zaskoczony Hiszpan. – Ją masz na myśli? – Wskazuje na grzebiącą się w błocie, kurczowo zaciskającą zranioną nogę panią profesor.

– Tak, ją! Kurwa, Hiszpan, to po nią mieliśmy iść, rozumiesz?

Stalker wytrzeszcza oczy, szczęka leci w dół.

– Chyba sobie...

– A wyglądam, jakbym żartował? – drę się.

– Jesteśmy tutaj jak kaczkę. Trzeba spieszyć poza obóz! – wyrokuję Hiszpan.

– Nie mamy rady. Mają dwie grupy snajperów, ona ma coś z nogą. Kurwa jego mać, jesteśmy w kropce.

– No to co? Lepiej tutaj? Wejda, jebną raz z granatnika i będzie po sprawie.

– Trzeba się gdzieś schować i bronić. Nie przywalą nam ze wszystkiego, bo zależy im na niej.

– Kojot, ale...

Grzmot nadchodzi niespodziewanie, razem z Hiszpanem padamy na ziemię, a fragment betonowego muru, przy którym zebrała się spora grupa obrońców, po prostu przestaje istnieć.

Podnoszę się i biegnę do leżącej w błocie Udowenko.

– Rusz się! – krzyczę na kobietę. – Pomóż!

Nie widząc żadnej konkretnej reakcji, chcę zawołać do Hiszpana, ale ten jest już przy nas. Łapię profesorkę za rękę, Hiszpan chwyta jej nogi i czym prędzej wynosimy kobietę za wypełnione piachem, ułożone na zakładkę worki z piaskiem.

Rozglądam się w popłochu, ostre światło reflektorów bije po oczach, w głowie niepodzielnie króluje chaos.

To światło...

– Gdzieś tutaj musi być piwnica – krzyczę.
– Co ty pieprzysz, Kojot? – Hiszpan podnosi się z ziemi i celuje w miejsce wybuchu.
– Jakoś ta elektryka musi działać!
– I co z tego?
– Nie będziemy tu siedzieć i czekać na śmierć.
– Jak już, to lepiej szukać zbrojowni – odpowiada głośno Hiszpan i daje ognia w ciemność.

Piwnica, zbrojownia – mogłaby to być nawet Bursztynowa Komnata, byle choć na chwilę ukryć się przed najemnikami.

– Wszystko jedno. Może być!
– Co wy robicie! Bronić obozu, do cholery! – Wysoki, szczupły wolnościowiec pojawia się jakby znikąd.

Hiszpan nie czeka, nie pertraktuje, ale wstaje błyskawicznie i uderza go w podbródek. Mężczyzna traci przytomność i niczym kłoda opada w błoto.

– Cholera, jeszcze tych nam do szczęścia brakowało. Przecież wiedzą, że nie jesteśmy od nich!

– Trudno. Najwyżej będziemy sobie torować przejście. – Odwracam głowę w kierunku patrzącej gdzieś w dal Udowenko.
– Gdzie tu jest zbrojownia? Szybko!

Pusty wzrok, przekrwione, pełne łez oczy, błoto na twarzy, pogryzione usta, z których spływa strużka zmieszanej z brunatną mazią krwi.

– Kobieto! Byłaś tutaj! Musi być coś takiego!
– To bez sensu. Jest w szoku – stwierdza Hiszpan.
– Słyszysz? – mówię głośno, ale widzę, że nie mam co liczyć na odpowiedź.

Spłuwam na ziemię i trzaskam Udowenko otwartą dłonią.

Reakcja jest natychmiastowa. Zupełnie jakbym obudził kobietę ze snu. Krzyczy coś niezrozumiale, podnosi się z błota i rzuca się na mnie z pięściami. Chwytam ją za nadgarstki, igły bólu przesywają mi cały lewy bok, przed oczami pojawiają się setki białych plam. Łapię oddech i patrzę profesorce prosto w oczy.

– Ty skurwysynie – wrzeszczy.
– Przestań się rzucać, do cholery! – Wykręcam jej dłoń,

Udowenko nieruchomieje, po policzkach płyną jej łzy. – Nie zrobię ci krzywdy, rozumiesz? Jesteśmy od Kiryłowa!

– Gównu mnie to obchodzi, od kogo jesteś!

– Kobieto! Od Kiryłowa – powtarza głośno Hiszpan. – Mieliśmy po was iść do bunkra. Ale teraz nie czas na opowieści, zawijajmy się, bo robi się gorąco.

Opór Wolności słabnie z każdą minutą, pociski uderzają w ściany budynków, kilku wolnościowców wycofuje się spod muru.

Ilu było obrońców? Trzydziestu? Więcej? Mieli lepszą pozycję, a i tak nic im to nie dało. Najemnicy zdają się działać jak buldożer, który zmiata wszystko i wszystkich na swojej drodze. To pewne, że stracili ludzi, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale nie zniechęciło ich to do dalszych działań. Oto właśnie definicja żądzy pieniądza.

Kobieta wreszcie przestaje się miotać, ogniskuje na mnie spojrzenie i widzę, że odzyskała nieco rozumu.

– Do cholery, nie możemy tu zostać! – rzuca Hiszpan. – Przebijają się.

– Jesteście wojskowymi? – pyta Udowenko.

– Tak, do cholery. – Decyduję się na drobne kłamstwo. – Możesz chodzić?

– Nie wiem. – Postawa Udowenko zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Jak gdyby ktoś pociągnął za dźwignię, odpowiadającą za zmianę osobowości. – Może. Nie mam pojęcia. Strasznie boli. Chyba skręciłam.

– Jesteś z nami? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz, że musimy uciekać?

– Tak.

– Świetnie. Gdzie jest zbrojownia?

– Tam. – Wskazuje ręką na front stojącego kilkadziesiąt metrów od nas budynku. – Na górze.

– Dawać! – Hiszpan rozgląda się uważnie, podnosi karabin do ramienia, kieruje lufę ku najbliższej wyrwie w murze i szybkim krokiem rusza z miejsca. – Kryję.

Udowenko utyka wyraźnie i jęczy przy każdym stąpaniu. Łapię więc jej oblepioną błotem dłoń i prowadzę opierającą się

na moich ramionach kobietę. Ból z dokuczliwego zmienia się w ordynarny, dojmujący i ledwo co jestem w stanie wytrzymać cierpienie. Z drugiej strony wiem, że muszę jej pomóc. W końcu to dla niej w ogóle weszliśmy na tę cholerną ziemię.

Od strony umocnień słychać pojedyncze strzały, część obrońców wycofuje się do zabudowań, zza namiotów wyłania się spora grupa, niosąca rannych i nieprzytomnych kolegów. Zaczepią nas, myślę. Muszą. Przecież na pierwszy rzut oka wyglądamy na Wolność.

Ci jednak przechodzą, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Pokrzykują do siebie nawzajem, któryś z rannych wrzeszczy, trzymając się za zakrwawioną, niemal kompletnie oderwaną nogę. Oddział biegnie w stronę zostawionego za naszymi plecami budynku, słychać skrzypienie drzwi i nawoływanie lekarza. Mijają nas jeszcze pojedynczy, oglądający się za siebie maruderzy i choć mam wrażenie, że kilku spogląda na nas podejrzliwie, to jednak zostawiają nas w spokoju.

Zwyczajnie nie mają dla nas czasu.

A gdyby tylko wiedzieli...

– Po cholere pchają się w jedno miejsce? – dyszy Hiszpan, cały czas wodząc karabinem po umocnieniach.

– Przegrupowują się. Może mają coś w zanadrzu.

Budynek zbrojowni jest już kilka metrów od nas.

Może damy jednak radę?

* * *

Bezpieczne cztery ściany.

No prawdę mówiąc, relatywnie bezpieczne, zważywszy na trwające w dalszym ciągu oblężenie.

Pojedyncza żarówka zwisająca na długim kablu mruga nieregularnie, pokryte siatką pęknięć płytki trzaskają pod naporem butów, chroboczą kawałki gruzu walające się po całym obszernym pomieszczeniu. Na ścianach wiszą stare mapy, na środku, w sporej wielkości beczce płonie ogień, przypiekając i tak już spalony, solidny kawał szynki z mięsacza. Tuż obok rozłokowano kilka skleconych byle jak ławeczek, przy ścianach

zalegają różnorakie plecaki, w rogu, na wysokim blacie dostrzegam trzy egzemplarze rozebranych i przygotowanych do czyszczenia karabinów.

– Na górę! – Hiszpan podbiega do szerokiej klatki schodowej, kiwa głową i powoli rusza po schodach.

– Dasz radę? – pytam Udowenko.

– Postaram się.

Zerkam w tył, dostrzegam grubą, stalową zasuwę, łapię za nią zdrową ręką i opuszczam ze zgrzytem, blokując tym samym wejście.

Słysząc detonowane granaty, strzelanina nie słabnie, a wręcz przybiera na sile. Najemnicy musieli rozpocząć atak. Na ten moment powinniśmy być bezpieczni, ale w dłuższym rozrachunku, jeśli wolnościowcy choć na chwilę wyjdą ze swojej roli, będziemy w pułapce.

– Gazem – mówi Hiszpan, stojąc na schodach.

Piętro wita nas ciemnością, słysząc lejącą się z dachu wodę, przez pozbawione szyb okna widać błyskające w mroku automaty.

– Latarka. Macie latarkę? – pyta stalker.

Cholera, najemnicy wszystko nam zabrali.

– Mam dwa glow sticki – mówi Udowenko.

– Dawaj.

Kobieta grzebie w kieszeni spodni, pałeczka pyka w ciemności i po chwili rozjarza się lekkim czerwonym blaskiem.

– Gdzie teraz?

– Na lewo. Tam jest korytarz.

Wchodzimy w mrok, Hiszpan przodem, Udowenko tuż przede mną.

– Nikogo tutaj nie ma? Nie przyszli po amunicję? – dziwię się, przechodząc przez drzwi. – I zbrojownia na górze?

– Bo to nie jest, kurwa jego mać, żadna zbrojownia – stwierdza głośno Hiszpan, stając przy kolejnym wejściu. – To jakaś pieprzona sypialnia.

– Czyś ty na głowę, kobieto, upadła? Bóg cię opuścił? – pytam.

– Nie mamy amunicji. – Hiszpan uderza pięścią w ścianę. – Coś

ty sobie myślała? Przecież jak tutaj wpadną...

Udowenko wzdycha, odczepia się od mojego ramienia i kulejąc, idzie w kierunku drzwi.

– Musiałam.

– Co musiałaś? – wścieka się Hiszpan, łapie ją za ramiona i potrząsa mocno. – Co musiałaś? Wpakować nas w jeszcze większe gówno? Cholera, trzeba spieszyć! Słyszysz, co się dzieje na zewnątrz? Słyszysz?

– Zostaw mnie! – krzyczy kobieta i uderza Hiszpana w twarz. Ten, jakby w jednej sekundzie oprzytomniał, puszcza profesorkę, cofa się plecami do ściany i klnie jak szewc.

– Co musiałaś? – pytam twardo. – Po cholere tu przyszliśmy?

– Mówiłeś, że to Kiryłow was przysłał. Chyba powiedział wam, po co?

– Po was – mówię, czując, jak żołądka rodzi się wściekłość. – Po ciebie, Prochowa i... jak mu tam było? Zbieraka?

– Zbiraka. Oni... oni nie żyją.

Milkniemy wszyscy, słuchając dobiegających z zewnątrz odgłosów walki.

– Pięknie – kwituje Hiszpan. – Po prostu, kurwa, pięknie.

– Nic z tym nie zrobisz – stwierdzam, patrząc na omywaną przez czerwone światło twarz kobiety. – Skoro oni nie żyją, jesteś teraz numerem jeden na liście naszych priorytetów.

– A Siny? – wtrąca się stalker.

– Nie wiem. Za dużo, rozumiesz? Za dużo się dzieje, żebym mógł to przetrwać. Po kolei. Jak możemy stąd wyjść?

– Nie możemy. Przynajmniej nie teraz – stwierdza Hiszpan.

Udowenko rusza nagle do pomieszczenia, nie odzywając się ani słowem.

– Ej, gdzie idziesz?

Przechodzę przez drzwi, w nozdrza uderza kwaśny smród potu, kobieta klęka przy jednej z leżanek i sięga pod nią ręką.

– Wyjaśnij, po co nas tu ściągnęłaś, do cholery?

– Major Kiryłow dostał pod opiekę...

– Jaki, kurwa, major? – wtrąca się Hiszpan. – Przecież to sierżant.

– Major – mówi twardo Udowenko, wyciąga spod leżanki pokątną walizkę i jęcząc głośno, siada na posadzce. – Major Anton Kiryłow. Mówiliście, że jesteście wojskowymi.

– Outsourcing wkradł się i do wojska – mówię, siadając na skrzypiącej polówce. Nie mamy czasu na rozmowy ani odpoczynek, a jednak nie mogę oprzeć się pokusie. Powinniśmy przecież uciekać, starać się wybrnąć z tego bagna, ale z drugiej strony, wyjście na zewnątrz w tym momencie równałoby się otrzymaniu kulki. – Ale mów, o co chodzi.

– Nie mogę, jeśli nie macie...

– Kobieto! – Głos Hiszpana dudni echem, przebijając nawet dźwięki kanonady. – Jesteśmy, żeby was... ciebie wyciągnąć – poprawia się. – Przed chwilą mało nas nie zatłukli, Kojot jest ranny, nasz przyjaciel umiera chuj wie gdzie, a ty przejmujesz się jakimiś konwenansami? No nie wytrzymam.

– Nie mogę. To ściśle tajne! Jeśli ktoś się o tym dowie...

– Ale najemnicy jakoś wiedzą – mówię spokojnie. – Więc tajemnica i tak już nie jest zachowana. Mów, bo nie ma czasu. Chcę wiedzieć, na czym stoję.

Widzę, jak w blasku czerwonego światła zmienia się twarz Udowenko: rysy profesorki jakby twardnieją, zmarszczki wychodzą na wierzch, sińce pod oczami pogłębiają się i ciemnieją. Ile ona może mieć lat? Czterdzieści? Czterdzieści pięć? Z pewnością jest starsza ode mnie i dopiero teraz jestem w stanie to dostrzec.

– Trzy tygodnie temu, niedługo po wysłaniu prośby o eskortę, zostaliśmy zaatakowani. Myśleliśmy, że to ludzie Kiryłowa. Mieli wszelkie informacje, identyfikatory, więc Prochow wpuścił ich do bunkra. A potem zaczęli strzelać. Byłam w laboratorium. Boże – wzdycha Udowenko. – Widziałam to. Oni ich z zimną krwią, bez żadnej rozmowy...

Hiszpan wzdycha ciężko.

Wiem, że nie mamy czasu, ale jestem w stanie ją zrozumieć. Jest naukowcem, wcześniej śmierć widziała pewnie tylko w filmach sensacyjnych. A tu coś takiego? I jeszcze dzisiejsza noc. Pani profesor musi być w rozsypce.

– Nie byli w stanie wejść do laboratorium. – Kobieta zaczyna trząść się jak trzcina na wietrze. – Postrzelili mnie przez szybę, ale schowałam się i czekałam. Próbowali mnie dostać, ale nie dali rady. Jak zorientowali się, że nie sforsują śluzę, to rozbebeszyli bunkier i zabrali prototypy. Oprócz tego. – Kobieta wskazuje na aluminiową, oklejoną ostrzeżeniami, dziwnie znajomą walizkę.

– Jakże znowu prototypy? – pytam. – Czego prototypy?

– To skomplikowane...

Słychać krzyki, budynkiem wstrząsa eksplozja, szczęk metalowych zamków i huk prochu zdają się zbliżać z każdą upływającą niemiłosiernie chwilą.

– Trzeba uciekać! – krzyczy Hiszpan, chowając się przed spadającym tynkiem. – Może kilku położymy.

Czuję, jak kręci mi się w głowie, spoglądam na błyszczącą w czerwonym świetle walizkę, neurony, jak tryby w skomplikowanej, wielopoziomowej maszynie, pracują na najwyższych obrotach.

Niby większa, ale tak bardzo podobna: te same logotypy, faktura, nawet rączka wydaje się identyczna.

– Te prototypy – mówię, czując, jak zasycha mi w gardle. – One wszystkie w takich rozmiarach? Takich walizkach?

– Kurwa, Kojot? Chcesz taką kupić, to idź do sklepu. Spadajmy stąd!

– Nie – odpowiada Udowenko, ignorując uwagi Hiszpana, patrzy na mnie uważnie. – Dwa w takich rozmiarach. Jeden mniejszy.

– Kiedy był atak?

– Około trzech tygodni temu. Nie wiem, nie liczyłam dokładnie. O co chodzi?

O cholera. O jasna, bita cholera.

Czas się zgadza, walizka prawie identyczna... Zbieg okoliczności? Przypadek?

Rośnie ciśnienie, głowę wypełnia mi natłok myśli, zdrową ręką opieram się o aluminiową ramę przenośnego łóżka i oddycham miarowo: wdech – wydech, wdech – wydech. Tylko powoli, spokojnie.

Skup się, Kojot! – napominam się. Weź się w garść! Osłabniesz,

stracisz rezon i wszyscy umrzą. Trzeba znaleźć rozwiązanie!

– Kojot? Żyjesz? Stary, co jest?

– Nic. Później wyjaśnię – mówię głośno i zwracam głowę ku profesorce. – Co to za prototyp?

– Nie mogę...

– Przestań pieprzyć – mówię, czując, jak rośnie we mnie wściekłość. Wojsko, naukowcy, strzelaniny, mutanty, krew, śmierć – wszystkie zdarzenia, emocje i odczucia, jakie przyszło mi znieść przez ostatnie dni, zdają się przelewać z mózgu, pędzić gdzieś ku trzewiom, gotując jednocześnie krew w żyłach. – Sprowadziłaś nas tutaj, żeby zabrać to cholerstwo. Jesteśmy bezbronni, a jak słyhać, na zewnątrz nie jest za wesoło. Więc powiedz nam, do kurwy nędzy, co takiego jest w tej walizce!

– Nie wiem nawet, jak to wytłumaczyć! – krzyczy Udowenko. – Nie zrozumiecie.

– Spróbuj. Na zdrowy, chłopski rozum!

Kobieta wygląda, jakby siłowała się sama z sobą, otwiera usta, to znów je zamyka, uderza pięścią w posadzkę.

– Najprościej, jak tylko można, tak? To modułowy układ nadawczo-odbiorczy.

– Świetnie – wzdycham. – Da się? Da się. A teraz powiedz, co to robi?

– Trudno tak po prostu opowiedzieć. To najbardziej skomplikowane urządzenie, jakie kiedykolwiek zbudowaliśmy. Poza tym nie rozumiem do końca zasad jego działania. To Prochow był odpowiedzialny...

– Ale chyba wicie, do czego ma służyć, prawda?

– Cholera, to nie takie proste.

– Spróbuj.

Kobieta podwija nogawkę spodni, jęczy z bólu, w nikłym czerwonym świetle dostrzegam spuchniętą łydkę i ciemną plamę krwi.

– W największym uproszczeniu, urządzenie ma za zadanie uchronić przed emisją.

– Że, kurwa, co? – Hiszpan traci zainteresowanie ciemnym korytarzem i niczym uwolniona nagle ściśnięta sprężyna,

odwraca się w kierunku Udowenko. – Chyba coś zdrowo cię w głowę walnęło. Co to ma robić?

– To, co słyszałeś. Myślałam, że Kiryłow...

– Kiryłow nic nam nie powiedział o urządzeniach – mówię, czując dziwne mrowienie pod czaszką. – Mieliśmy was wyprowadzić. Wspomniał coś tylko o „czymś”, co macie mieć, ale nie wchodził w szczegóły. Ale mniejsza z tym. – Macham ręką. – To urządzenie, ten modułowy układ, działa?

– Robiliśmy tylko kilka prób. Nie sposób przewidzieć emisji, więc nie mieliśmy czasu dokładnie go przetestować. Ten egzemplarz jest najświeższy.

– Ale zaraz, chwila, moment. Jak to chronić? Czyli co? Mogę sobie wyjść ze schronu i nie mieć ugotowanego mózgu? – Wydaje się, że temat całkowicie pochłonął Hiszpana.

– Nie do końca. Testy pokazały, że wystawiony na działanie emisji organizm w mniejszym lub większym stopniu i tak ulega rozpadowi. Projekt nie jest ukończony. To jedynie prototyp. Należy wprowadzić poprawki, na które nie mogliśmy pozwolić sobie na miejscu. Do tego trzeba przeprowadzić jeszcze masę testów.

– I trzeba cały czas mieć walizkę przy sobie, co?

– I tak, i nie. Pracowaliśmy nad mniejszymi egzemplarzami. Do ochrony osobistej. Ten miał być testowany na pojeździe.

– Czyli idzie emisja, odpalasz sprzęt i chowasz się do byle jakiej ziemianki? To przecież rewolucja! Nie musisz bać się o własny tyłek! Kojot! To zrewolucjonizowałyby Zonę. Koniec z zapyziałymi piwnicami!

Myśli pędzą mi po głowie, gorące języki bólu ślizgają się po lewym ramieniu, żebra pulsują tępo i najchętniej zapadałbym teraz w głęboki, pozbawiony jakichkolwiek marzeń sen. Zbyt wiele się wydarzyło, bym mógł po prostu przyswoić informacje i przejść nad nimi do porządku dziennego.

Spoglądam na walizkę, zamykam oczy i przecieram twarz dłonią.

Tego chcą najemnicy? Innowacyjnej, wojskowej myśli technicznej? Kto im za nią zapłacił? Kto chce ją przejąć?

Oczami wyobraźni widzę siwego, uśmiechniętego staruszka, siedzącego za ogromnym drewnianym biurkiem.

Docent. To on wysłał mnie po towar, którym niemal na pewno był jeden z prototypów. Wszystko się zgadza: czas, miejsce... Nawet walizka wydaje się bliźniaczo podobna. Czy poczciwy staruch wysłał też morderców? Przecież dostał sprzęt. Doniosłem mu go i wręczyłem osobiście.

Pieniądze, myślę. Wszystko kręci się wokół nich. Jeśli masz szansę sprzedać coś takiego za grube setki tysięcy, nie poprzestaniesz na jednym biznesie. Chcesz więcej i więcej. Nieważne, jak wiele już masz.

To Docent pociąga za sznurki. Nie Kiryłow, nie Janczar, ale właśnie ten cholerny sukinsyn, siedzący na Dużej Ziemi.

– Jeśli najemnicy chcą dostać prototyp, oddajmy im go – proponuję, choć z góry wiem, jaka będzie odpowiedź.

– Nie ma mowy.

– To jedyna szansa na przeżycie.

– Nie! – krzyczy głośno Udowenko.

– Popatrz na naszą sytuację! – mówi głośno Hiszpan. – Kojot ma rację. Oddajmy i uciekajmy.

– Nie mogę!

– Jest jakiś haczyk – stwierdzam ponuro. – Jest coś jeszcze, dlatego tak bronisz tej przekłętej walizki. O co chodzi? Przecież można stworzyć drugi egzemplarz. Zresztą mówiłaś, że tamte i tak zabrali.

– Ten... ten prototyp jest inny. Bardziej zaawansowany. Nie mogę pozwolić, żeby dostał się w niepowołane ręce.

– Dlaczego? Co jest takiego niezwykłego w tym ustroju, że jesteś w stanie oddać za nie życie? Nie tylko swoje, ale i nasze.

– Proces można odwrócić – wzdycha Udowenko. – Na bardzo małą skalę, ale jednak.

– Odwrócić? W sensie co? – I nagle dociera do mnie, o czym mówi profesorka. – O kurwa. Czyli...

– Tak. Przez przypadek udało nam się wywołać emisję. Nie taką ogromną, ale całkowicie skuteczną. Punktowe zakłócenie noosfery skutkuje czymś w rodzaju gwałtownej reakcji

alergicznnej u człowieka. Tak jak z wulkanem. Nawet mały przedmiot wrzucony do środka może wywołać erupcję. Oczywiście nie zawsze, ale...

– Kurwa mać – wzdycha Hiszpan. – Czy wam się już całkiem w tych jajowatych łbach przewracało? Niech się chowają kemtrejsy, GMO i wszelkie inne dzieła Belzebuba! Konstruujeie tu coś takiego?

– Przez przypadek – mówi głośno kobieta. – Nie taki był nasz cel. Nie wiedzieliśmy, że noosfera może tak zareagować na działanie urządzenia. Chcieliśmy jedynie...

– Ale zbudowaliście jebaną broń, rozumiesz! Broń!

– Słuchajcie – wtrącam się do dyskusji, starając utrzymać się przy świadomości.

– Cisza – mówi Hiszpan i podnosi karabin do ramienia. – Nie słysząc strzałów.

Podnoszę się z polówki, zerkam jeszcze na krzywiącą się z bólu kobietę i podchodzę do stalkera.

– Rozumiesz, co to oznacza? – szepczę.

– Kurwa, Kojot. To miała być chodka po naukowców, a nie obrona Stalingradu. Nie pisałem się na to. Szczególnie że mamy ze sobą jakiś pieprzony rodzaj bomby atomowej. Bo tak to trzeba nazwać! To jest, do jasnej cholery, broń masowej zagłady.

– Nie oddamy tego najemnikom – mówię twardo. – Nie ma mowy. Wiesz, co oni zrobią z urządzeniem? Komu je sprzedadzą? Przecież nie biorą dla siebie. Ktoś im płaci. Pewnie nie wiedzą nawet, na co się połasaki.

– Cholera jasna! Ja mam żonę, człowieku! Dziecko! Co ja mam zrobić?

– Ile masz amunicji? – pytam, widząc, że Hiszpan powoli zaczyna popadać w obłąd.

– Za mało. Wziąłem jeszcze magazynek z ziemi, ale biednie to wygląda.

– Może jest coś w plecakach na dole.

– I co? We dwóch na całą grupę? Jak chcesz wygrać?

– Na razie sprawdzmy, co się dzieje. Potem będziemy się martwić.

Hiszpan wzdycha ciężko, widzę, że bije się z myślami.

– Jak to było? To twoje cholerne powiedzonko – pyta.

– *Let's cross that bridge when we come to it.*

W leciutkim świetle dostrzegam krzywiącego się Hiszpana. Widać nie wydaje się przekonany moimi słowami, ale ostatecznie kiwa głową.

– Niech to szlag. Idę przodem.

– Zostań tutaj – mówię w kierunku kobiety. – Idziemy sprawdzić, co się dzieje.

Bniemy po omacku, pod butami chrobocze gruz, na zewnątrz szumi deszcz. Nikt nie woła, nie słysząc strzałów, nawet wrzaski utonęły gdzieś w eterze. Najemnicy weszli na teren, czy może Wolność zdołała odeprzeć wroga?

Nagle, jak na zawołanie, słysząc krzyk i pojedynczy suchy trzask.

Drobię kroczyki, by nie potknąć się o żadną skrytą przed wzrokiem przeszkodę, prostokąty wybitych okien zbliżają się coraz bardziej, krople deszczu spadają z nieba, błyszczą odbitym światłem reflektorów.

– ...i oddajcie nam walizkę, a puścimy was wolno!

Hiszpan kuca przy ścianie, powoli unosi głowę ponad parapet, wygląda za okno i błyskawicznie chowa się z powrotem.

– Są w obozie. Nie widzę gdzie, ale chyba blisko – szepcze.

Idę za jego przykładem, wyglądam na zewnątrz, zalany wodą asfaltowy placzyk zdaje się kompletnie pusty, na piętrze sąsiedniego budynku dostrzegam kilka wystających poza obręb okien karabinów.

Wolnościowcy się bronią, myślę. Przegrupowali siły i choć najemnicy sforsowali mur, nie mają prostej drogi, by podejść do budynku bez strat własnych.

– Po pierwsze, nie wiem, o co wam chodzi – dobiega krzyk z budynku. – Po drugie, nie ma tu tej babki, a po trzecie, to nawet gdyby była, prędzej was wybijemy, niż cokolwiek oddamy po dobroci, zrozumieli? Wypierdalać stąd!

Następuje pełna napięcia chwila ciszy.

– Muszą pertraktować – mówię cicho do Hiszpana. – Nie będą

ryzykować.

– Zapytam po raz ostatni – dobiega do mnie głos Janczara. – Macie ją tam czy nie? Po prostu wyprowadźcie ją na zewnątrz, a się rozejdziemy.

– Gównu dostaniecie!

Dostrzegam szybujące w powietrzu małe, obłe kształty, które upadają na środek placu.

Granaty dymne.

– Będą szturmować – mówię do Hiszpana.

Słysząc trzaski, szara, gęsta chmura zaczyna podnosić się z ziemi, chowam głowę poza obrys okna i klnę pod nosem.

– Nie mamy szans – stwierdza Hiszpan. – Znajdą nas tutaj.

– Do sali!

Zaczynają terkotać karabiny, odruchowo wciskam głowę w ramiona i ruszam z miejsca. Po lewej mijam klatkę schodową, już jestem w korytarzu, gdy okolicę przesywa grzmot wybuchu, jęk stali i dźwięk kruszonego betonu. Wystrzały milkną kompletnie, ktoś wrzeszczy potępieńczo i czuję, jak przesywa mnie dreszcz.

– Granatnik – krzyczy Hiszpan. – Jebnęli im!

Odbijam się od ściany, wpadam do pomieszczenia, Udowenko patrzy na mnie z przerażeniem.

– Co... – zaczyna drżącym głosem.

– Atakują – przerywam jej natychmiast. – Dasz radę iść?

– Nie wiem. Na pewno nie dam rady biec.

Hiszpan zbliża do okna i wygląda na zewnątrz.

– Tędy nie uciekniemy. Za wysoko.

Słysząc uderzenie o stalowe drzwi, ktoś ewidentnie próbuje dostać się do budynku, Hiszpan przebiega przez pomieszczenie, kuca przy wejściu i wychyla się delikatnie zza węgła.

– Byłaś tutaj jakiś czas – mówię gorączkowo. – Jakie mamy pole manewru? Jest tutaj drugie wejście?

– Nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Mów, co tu jest. Po prostu.

Najemnicy dobijają się do drzwi budynku, głucho uderzenia o grubą stal rozchodzą się echem, Hiszpan dyszy niczym parowóz.

Nie uciekniemy. Wyjście obstawione, Udowenko ma skręconą

nogę i nie jest w stanie biec, po obozie buszują najemnicy, a my nie mamy nawet amunicji. Zresztą co nam po niej. Napastnicy to zawodowcy. Prędzej czy później będziemy musieli się poddać. Albo zginąć.

Zginąć – niemiłe, parszywe słowo obija się po czaszce, zsyłając na mnie przedziwny chłód.

I za co mam umierać? Za czyste papiery? Kiryłow przecież nie dotrzymałby umowy. Wiedziałem o tym od początku. Każdy z nas miał tę świadomość. Mamiliśmy się, że damy radę coś wymyślić, wykiwać wojskowych, spełnić ich oczekiwania, jednocześnie wychodząc przy tym na swoje, ale tak naprawdę żaden nie miał pomysłu, jak to osiągnąć. Siny wrócił do Zony dla córki, Hiszpan, by ochronić rodzinę. I to jestem w stanie zrozumieć. Ale co ze mną? Lepsza śmierć niż sąd i więzienie?

Oszukiwałem się. Cały ten czas wyobrażałem sobie, że chcę oczyścić swoje konto i żyć jak normalny człowiek. Z dala od Zony, strzelanin i ryzykowania życia dla kilku tysięcy. A przecież to nieprawda. Dopiero teraz to rozumiem.

To Ona mnie przyciąga. To właśnie Ona rzuciła na mnie zły urok.

Ileż razy drwiłem ze starszych stalkerów, pojawiających się w barze raz na jakiś czas? Gadają głupoty – mówiłem. Nie ma czegoś takiego jak ten słynny zew.

A teraz, w ciemnościach, okrążony i stłamszony jak wilk między fladrami, muszę odszczekać każdy śmiech i pukanie się w czoło. Bo mogłem zrezygnować, a jednak się zgodziłem. Przeszedłem nie z powodu Kiryłowa i strachu przed więzieniem, ale dlatego, że jakaś część mnie po prostu chciała tutaj wrócić.

Odwracam głowę ku Hiszpanowi, który wciąż obserwuje korytarz. Nagle całym budynkiem wstrząsa eksplozja, Udowenko kuli się w kłębek i krzyczy głośno, tynk sypie się z sufitu i ścian. Z dołu słychać pokrzykiwania, tupot butów odbija się echem od pustych ścian i zwiastuje zbliżających się przeciwników.

Oddycham ciężko, organizm działa chyba jedynie na oparach, sprawdzam magazynek zawieszonoego na szyi automatu, naliczam dziesięć pocisków kalibru pięć pięćdziesiąt sześć,

przełączam selektor ognia na sam dół i przytulam stopkę kolby do ramienia.

- Piwnica - głos Udowenko przebija się przez gęstą warstwę myśli. - To znaczy schron.

- No i co nam to da? - pytam cicho, słuchając echa kroków.

I nagle doznaję olśnienia. Odsuwam karabin od ramienia i podchodzę do profesorki.

- To działa?

- Co?

- Prototyp. Działa?

- Tak, ale...

- Dasz radę go włączyć?

- Co ty chcesz zrobić?

- Jedyne, co nam pozostaje. Potrafisz wywołać emisję? Jaki ma zasięg?

- Potrafię ale... Nie. Nie mogę. Nie zrobię tego.

- Musisz. Inaczej wszyscy pójdziemy do piachu. Jaki ma zasięg?

Patrzę jej w przerażone, załzawione oczy i wiem, że decyzja, którą musi podjąć, nie jest łatwa. Jeśli urządzenie faktycznie zadziałałoby tak, jak opisała Udowenko, moglibyśmy mieć szansę. Pod warunkiem że uda nam się w porę ukryć przed promieniowaniem. A to nie jest takie pewne.

- Ktoś tu jest! - słyszę z korytarza.

Hiszpan strzela nagle, trzaska zamek, łuska leci na posadzkę, gdzieś z dala dobiegają przekleństwa.

- Ktoś tu jest! Do mnie! - słychać z głębi budynku. - Strzelają!

Szlag. Za mało czasu. Za mało.

- Ryzykowaliśmy życie, żeby was stąd wyciągnąć - mówię najspokojniej, jak tylko mogę. - Ci kolesie przyszli tutaj po ciebie. Nas zabiją na miejscu. Rozumiesz?

- Nie mogę! To ludzie!

- Widzisz, co oni zrobili z wolnościowcami? Wytłukli ich. To samo zrobią ze mną i Hiszpanem. Ciebie na razie nie ruszą, ale chcesz się przekonać, do czego są zdolni?

Widzę, że kobieta walczy ze sobą.

- Nie ma czasu! Zaraz się tu zbiegną - mówi Hiszpan.

Ktoś strzela z korytarza, pociski uderzają w ścianę, stalker chowa się za drzwiami, dysząc ciężko.

– Kojot, są tutaj!

– Udowenko! – drę się na całe gardło. – Działaj, do cholery.

– Na to potrzeba czasu! – Kobieta chwyta walizkę, wyjmując z kieszeni dwa kluczyki, wkłada je w dwa zamki, przekręca jeden za drugim i otwiera pokrywę. – Może nie zadziałać. System ma wbudowaną baterię, ale do pełnej skuteczności potrzebuje zewnętrznego zasilania. Należałoby podłączyć urządzenie do jakiejś anteny.

– Jakie są szanse, że jednak da radę?

– Nie wiem. Zamontowaliśmy wewnętrzną antenę, ale nie mogę stwierdzić, czy to wystarczy. Najlepiej byłoby wynieść walizkę na zewnątrz i dosztukować choćby i kawałek drutu. Ale to prowizorka!

– Nie ma czasu – mówię, słysząc dobiegające z korytarza głosy.

– Ustaw wszystko tak, jak powinno być. Najwyżej spróbujemy z dachem. Ile czasu potrzebujesz?

– Kilka minut. Przywrócę ustawienia z testu, ale jak szybko będziemy mieć efekt, nie mam pojęcia.

– Hiszpan. Dajmy jej tyle czasu, ile możemy. Potem schodzimy do schronu.

– Jak chcesz to niby zrobić? Zaraz się zaroi od najemników.

– Chyba mam pomysł.

* * *

– Po prostu nam ją wydajcie – słyszę głos Janczara. – Panowie, po co to wszystko?

– Spróbujcie zaatakować, a rozjebię jej łeb, rozumiecie?

Zabawa w błąd to jedyne, co nam pozostało.

Siedzimy w pomieszczeniu, spoglądam na ustawiającą coś w prototypie Udowenko, Hiszpan cały czas kieruje lufę ku drzwiom i obleczonemu w ciemność korytarzowi.

Najemnicy nie decydują się na atak. Wiedzą, że sytuacja jest patowa. Nie zaryzykują zwykłego, prostego szturmu. Widać życie pani profesor jest jednym z głównych warunków zapłaty.

– Jak to możliwe, że wciąż działa? – mówię cicho. – Mnie nawet latarka z czasem wysiada.

– Ołowiana, specjalnie skomponowana obudowa – wyjaśnia skupiona na małym ekraniku kobieta. – Musieliśmy ją specjalnie zaprojektować.

– Panowie! Co wam zależy? Ja wiem, może źle zaczęliśmy, ale wszystko da się naprawić. Dacie nam panią profesor i pójdziecie wolno? Co wy na to? Przypominam, że mamy waszego kolegę.

– Boże – mówi cicho Udowenko. – Chyba wiem, jak czuł się Oppenheimer. – Kobieta odrywa ręce od klawiatury i patrzy wprost na mnie. – Przecież to ludzie.

– Mordercy – odpowiada Hiszpan.

– Ale wciąż ludzie. Boże, może jest inne wyjście. Przecież musi być. Ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Fakt, może i jest – przyznaję, czując, że jeśli nie przekonam jej teraz, cały plan posypie się jak domek z kart. – Ale z pewnością nie należy do takich, które chcemy rozpatrywać. Chcesz się poddać? Wydobędą od ciebie to, czego chce ich szef, a potem zabiją. Mnie z Hiszpanem zatłuką tutaj, na miejscu. Zobacz, co zrobili. Wyrznęli wolnościowców tylko po to, żeby cię dostać. Oni nie mają skrupułów. Musisz zrozumieć. Nie jesteśmy na Dużej Ziemi. Tu nie ma reguł. Jesteś żywa i nagle bach, koniec.

– Ale...

– Musisz zrozumieć, że to nie są ludzie. To przeciwnicy. Oni nie będą mieli tyle litości, ile ty masz dla nich.

Kobieta wzdycha i kładzie ręce na klawiaturze.

– Niech Bóg mi wybaczy.

– Boga nie ma – mówi nagle Hiszpan. – A nawet jeśli jest, to dawno zostawił to miejsce.

Mija kilkanaście sekund, Udowenko wciska przycisk, podkrążone, opuchnięte oczy patrzą wprost na mnie.

– Nie wiem, na ile wystarczy baterii, ale proces się zaczął.

– Dobra – krzyczę. – Zgoda! Oddamy ją wam, ale pod pewnymi warunkami!

– Czego chcesz?

– Wyjdziecie z budynku. Wszyscy!

- Po cholere?
- Bez dyskusji. Inaczej Udowenko leci do piachu. Zrozumieli?
- Muszę przyznać, że masz jaja, żeby stawiać warunki. Dobra, możemy tak zrobić.
- Drugi jest taki, że wypuścimy ją dopiero za bramą. Czy ją złapiecie, czy nie, to nie nasze zmartwienie. Do bramy idzie z nami i dopiero tam ją puszcze. I niech nikt nie waży się strzelić, bo ją zabije. Zrozumiano?
- Może jeszcze frytki do tego? - rozbawiony głos Janczara odbija się echem.
- Jestem pewien, że nie dotrzyma umowy. Nie znam go, a jednak instynkt mówi mi, żeby nie ufać ani jednemu jego słowu. Jeśli zgadza się na wyjście z budynku, na pewno któryś z najemników znajdzie miejsce, gdzie będzie mógł się ukryć i czekać na dogodną okazję do ataku. I nawet nie chodzi już o przejęcie Udowenko, ale o pokazanie, że byle stalker nie może wydawać mu poleceń. Chora ambicja i żądza pieniędzy - z pewnością dogadały się z Docentem.
- Trzeci warunek. Powiedzcie, gdzie jest Siny. Dalej w waszym obozie?
- Tak.
- Został ktoś przy nim?
- Tak.
- No to wypad z budynku. Jak tylko zobaczę, że coś jest nie tak, podcinam jej gardło.
- Spokojnie, kolego. Wszystko będzie w porządku. Panowie, zawijamy się.
- Działa? - pytam łypiącą na mnie spode łba kobietę.
- Tak. To naprawdę jedyne, na co wpadłeś? Szafować moim życiem?
- Inaczej by nie posłuchali. Można teraz przenieść walizkę?
- Tak. Tylko nie można jej zamykać - mówi Udowenko.
- Hiszpan. Tak jak ustaliliśmy.
- Stalker podnosi się z miejsca i wygląda za róg.
- Słysząc trzaskające stalowe drzwi, echo oddalających się kroków niknie po chwili całkowicie. Przejmuję od profesorki

światło chemiczne, przyczepiam jarzącą się na czerwono tubkę do kombinezonu i zbliżam się do urządzenia.

Coś strzyka mi w głowie, mrużę oczy, czuję, jak tył czaszki rozgrzewa się dziwacznie, woń zbutwiałego drewna uderza mnie w nozdrza.

Tylko nie to, myślę i opieram się o leżankę.

Nogi uginają się, jakby ktoś podciął znajdujące się w środku ścięgna, po kręgosłupie przebiega krótkie spięcie, w rogu pomieszczenia dostrzegam leżącego bez życia Świetlika. Tylko nie to. Nie teraz!

– Hiszpan, pomóż – mówię, czując, jak szczęka zaciska się samoistnie, a zęby niemal odcinają drętwiejący język.

– Co mu jest? – słyszę głos Udowenko.

– Kojot! – Hiszpan nachyla się nade mną i uderza z otwartej dłoni. – Kojot, do cholery, nie teraz!

Ból w policzku otrzeźwia mnie momentalnie, otwieram szeroko oczy, ciało dygocze, jakbym miał gorączkę. Wizja martwego stalkera znika równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Staram się podnieść z leżanki, ale lewa ręka ugina się pode mną i znów ładuję twarzą na śmierdzącym, dziurawym materiale.

– Kojot! Słyszysz mnie?

– Jestem – mówię z wysiłkiem. – Słyszę. Coś mi jest. Znowu miałem omamy.

– Co? – pyta Udowenko. – Jakie?

– Nieważne, nie czas na to. Trzeba wynieść sprzęt na dach. – Spoglądam na Hiszpana. – Sam nie dam rady.

– Sprawdź korytarz. Potem wrócę i weźmiemy to ustrojstwo we dwóch.

Stalker nie czeka nawet na odpowiedź, wychodzi z pomieszczenia i znika gdzieś w korytarzu. Opierając się zdrową ręką o ramę łóżka, podnoszę dygoczące wciąż ciało, słyszę narastający z każdą chwilą szum, myśli płaczą się i upadają, nie dając mi czasu na przyjrzenie się im z bliska. Z każdą upływającą sekundą tracę kawałek świadomości i powoli odpływam w czerń.

– Kojot, jesteś? – Udowenko nachyla się nade mną. – Co ci jest? Opisz to.

– Nie wiem – mówię z trudem. – Nie wiem. Wszystko jest takie dziwne, ciemne, zamglone.

– Czujesz zmianę potencjałów – mówi profesor z zachwytem. – Myśleliśmy, że to tylko teoria!

– Co?

– Prototyp oddziałuje na noosferę, a ty z kolei wyczuwasz wahanie potencjałów wynikające z zakłóceń! To niesamowite.

– Wprost, kurwa, wspaniale – jęczę.

Słyszę kroki, podnoszę lekko głowę i wśród tańczących mi przed oczami czarnych plam dostrzegam Hiszpana.

– Czysto. Faktycznie wyszli. Przynajmniej na górze nikogo nie ma. Cholera jasna, jak mnie łeb zaczął boleć.

– Ty też? – pyta Udowenko z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Co ja też?

– To krok naprzód! Trzeba by to zbadać, zastanowić się...

– Na razie musimy przeżyć – przerywa jej Hiszpan. – Kojot, dasz radę ustać?

Próbuję podnieść się do pionu, zawroty głowy nie mijają, żołądek buntuje się i zamierza wyrzucić z siebie całą zawartość, ból w ramieniu uderza mnie raz za razem.

Muszę łapię myśl i zaciskam na niej całą silną wolę. Ten jeden raz. Te kilkadziesiąt kroków.

Zagryzam wargi, wstaję z leżanki, nieomal potykam się o aluminiową ramę, ale kiwam głową na Hiszpana.

– Szybko. Nie wiem, ile wytrzymam.

* * *

Walizka jest cięższa, niż sądziłem i dziwię się, że Udowenko udało się przenieść ją taki kawał drogi. Nie wiem, jak to zrobiła, ale nie mam zamiaru tracić oddechu na pytania. I tak jestem już dostatecznie rozbity.

Stopień po stopniu wnosimy sprzęt po schodach, stawiamy urządzenie na półpiętrze, Hiszpan wchodzi po drabince i siłuje się z klapą.

Opieram się o zniszczoną barierkę, mam wrażenie, że cały świat wiruje w szaleńczym tańcu, w końcu nie wytrzymuję, zaciskam

oczy i wymiotuję.

– Kojot?

– Dam radę – mówię, biorę oddech i spluwam przed siebie. –
Dam radę.

W końcu drewniana kłapa ustępuje, słyszę uderzające o
szczeble buty i głos Hiszpana.

– Kojot. Musisz mi ją podać. Nie sięgnę stąd – wyjaśnia stalker.

Odsuwam się od barierki, zataczam jak pijak spod sklepu,
trącam butem walizkę i łapię za rączkę urządzenia.

– Ostrożnie! – upomina Udowenko, ale nie zwracam na nią
uwagi.

Wchodzę na drabinkę, lewe ramię protestuje stanowczo,
połykam krzyk i podnoszę ciężki pakunek nad głowę. Hiszpan
łapie uchwyt, wypuszczam powietrze z płuc, zaciśnięte na
szczeblach palce rozluźniają się nagle i lecę w dół. Uderzam
plecami o posadzkę, głowa napotyka pokruszone płytki, przed
oczami wybuchają setki kolorowych plam.

– Nic ci nie jest? – Profesorka błyskawicznie pojawia się nade
mną. – Kojot?

Nie jestem w stanie nic powiedzieć. Jakbym zapomniał, jak
składać głoski. Zaciskam mocno powieki i jęczę cicho, próbując
za wszelką cenę wyrzucić z siebie choćby pół sensownego zdania.

– Źle z nim, Hiszpan – słyszę.

Słyszę stąpanie butów, szybkie kroki i czuję uderzenie w
policzek.

– Cholera jasna. Kojot, nie mogę cię nieść i jeszcze osłaniać. Żyj!
Wiem, że jest ciężko, mi też głowa pęka, ale musisz wstać.

Mamłę w ustach odpowiedź, mam wrażenie, jakby ktoś
przypalał mi tylną część mózgu, uchylam powieki i dostrzegam
nachylające się nade mną, wykrzywione groteskowo twarze
Świetlika i Konia. Chcę wrzasnąć, ale powietrze grzęźnie gdzieś w
gardle, ciało nie słucha poleceń i nie mogę nawet odsunąć się od
zbliżających się postaci.

To nie są żadne zjawy! – pojawia się gorączkowa myśl. Oni
przyszli po mnie. Chcą się zemścić! Ja to wszystko zaczęłam.
Przeze mnie zginęli. Nie upilnowałem Świetlika, a grupa Konia

nigdy nie wybrałaby tej ścieżki. To wszystko moja wina! Moja!

Panika uderza do głowy, przed oczami pojawia się jeszcze jedna postać, tracę oddech, serce galopuje zawzięcie.

Nie! On żyje. Przecież żyje!

Siny nachyla się nade mną, siwe włosy opadają na kompletnie nieruchomą twarz, krew wypływa z szyi gęstym, lepkiem strumieniem i zalewa mi nozdrza. Chcę krzyczeć, odepchnąć go, uciec gdzieś daleko, ale nie jestem w stanie się poruszyć.

W powietrzu unosi się zapach zbutwiałego drewna, w panice rzucam spojrzeniem na boki, Świetlik czołga się w moją stronę, wyżarte przez anomalie kikuty topią się w oczach, skóra odpada całymi płatami i błyszcząc zielenią galarety, tonie w gęstej, czarnej krwi.

Dobiega do mnie śwąd spalenizny, w uszach rozbrzmiewa upiorny, przeszywający na wskroś krzyk. Koń stoi przede mną, łapie się za zwęglone tkanki i zatapia rękę we własne ciało.

Nie mogę złapać tchu, mózg krzyczy i błaga o tlen, serce uderza w żebra, jakby chciało je przebić i zrejterować z pozycji.

Nie wytrzymam. Nie dam rady.

Oczy zasnuwa ciemność, gasną dźwięki, wszystko przykrywa biały szum. Nie czuję nóg, ręce jak gdyby zniknęły kompletnie, głowa to pusta, choć ciężka kula, przyklejona do ciała w niewiadomym celu.

Odpywam.

* * *

– Kurwa mać, nie rób mi tego!

Słyszę głos, choć nie jestem w stanie zdefiniować, skąd dobiega. Jakbym znalazł się w ogromnej, ciemnej jaskini albo wielkim lotniczym hangarze. Byłem kiedyś w takim. Jeszcze za czasów wojska. Co ja tam robiłem?

Nie. Jednak nie. To było na wycieczce szkolnej. Ile miałem wtedy lat? Siedemnaście? Nie, osiemnaście. Kilka dni wcześniej obchodziłem urodziny i impreza się przedłużyła. Byłem na kacu, każdy dźwięk powodował ból, słońce świeciło zbyt jasno, krasnoludki w głowie kuły panczerze na bitwę. Było chyba lato.

Cały się wtedy spociłem.

– Oddycha! Szybko do piwnicy!

– Kojot!

Kojot? Coś mi się kojarzy. To nazwisko? Nie, chyba nie. Może ksywka? Dziwna taka i jakby znajoma. Ale skąd? Znowu szkoła? A może wojsko? Tak. W wojsku dostaje się ksywy. Tylko kto to był? Ten wysoki brunet, co potem poszedł do JWK, czy mikrus od pancernych?

– Kojot! Ocknij się, do cholery!

Dlaczego ktoś krzyczy? Po co? Przecież jest tak dobrze. Ciepło i miło jak pod grubym, miękkim kocem podczas długich zimowych wieczorów. Tylko napić się herbaty i patrzeć przez szybę na opadający z nieba śnieg. Głucho na ulicach i pusto.

Szedłem kiedyś w taką pogodę. Tylko kiedy? To było coś nieprzyjemnego. Biegłem. Ktoś mnie gonił. Tylko dlaczego? Po co ktoś miałby mnie ścigać?

– To na nic! Traci oddech. Trzeba masować.

Traci oddech? Masować? To chyba pierwsza pomoc. Takie mam przynajmniej skojarzenia. No niby miałem szkolenie, ale mało z niego pamiętam. Ranę potrafiłbym zaszyć, masaż serca też robiłem parę razy, zastrzyk podskórny czy domięśniowy też nie byłby problemem, ale nic poza tym.

Raz, drugi, trzeci – coś miarowo uderza mnie w klatkę piersiową.

– Kojot, kurwa, nie teraz!

Jakbym wynurzył się z oceanu.

Łapię haust powietrza i otwieram szeroko oczy.

Hiszpan nachyla się nade mną, Udowenko jest zaraz obok, staram się rozeznąć w sytuacji, pojąc, dlaczego leżę na posadzce, ale myśli grzęzną gdzieś po drodze, upadają i toną w bagnie, nie dając mi możliwości sięgnięcia po choćby najbliższą z nich.

Całe ciało pali żywym ogniem i dygocze niekontrolowanie. Kark jest sztywny, ciężka, mokra od potu głowa pulsuje bólem, lewe ramię dźgają setki ostrych sztyletów, nogi mam jak z waty.

– Kojot! Patrz na mnie! Patrz, mówię – wrzeszczy Hiszpan. – Rozumiesz, co się dzieje?

- T-t-a-a-k - wyduszam z siebie, zmuszając drętwy język do współpracy.

- Dasz radę wstać? - pyta nieco ciszej i łapie się za głowę. - Kurwa, mój łeb. Cholera jasna. Nie mówiłaś, że tak będzie.

- Bo nie wiedziałam o tym! - odzywa się Udowenko. - To coś nowego! Nigdy wcześniej...

- Skończ już - przerywa jej Hiszpan. - Kojot, nie mogę cię nieść - zwraca się do mnie. - Musisz się ogarnąć. Rozumiesz?

- Pomogę mu - oferuje Udowenko.

- Tak. Ze skrzyconą nogą. Obydwoje spadniecie ze schodów i tyle będzie.

Nagły, basowy ryk rozdziera powietrze, budynek trzęsie się lekko, tynk odpada ze ścian, wiruje w błyskach światła, dobiegającego od wejścia na dach, i opada całymi chmurami na zniszczoną podłogę.

- Zaczęło się! - Udowenko stara się przekrzyczeć okropny, dobiegający zewsząd jazgot. - Musimy iść!

Jeszcze przed chwilą było mi tak dobrze. Czułem, jakbym trafił do miejsca, gdzie wszystko wydaje się możliwe. Nie ma bólu, strachu, niemocy - syfu, który wypełnia mnie teraz po brzegi.

- Kojot! To emisja! Rusz się! - wrzeszczy Hiszpan.

Nie mogę. Nie mam jak. Ręce nie chcą współpracować, nogi wciąż mam jak z waty, podniesiona lekko głowa kolebie się na boki niczym rozbijany sztormową falą okręt.

Profesorka wymierza mi siarczasty policzek, igiełki bólu przebiegają po skórze, otwieram szeroko oczy i nagle dociera do mnie, gdzie się znajduję.

Dostrzegalem to wcześniej, wiedziałem, co się dzieje, ale świadomość jakby broniła się przed przyjęciem sytuacji. Najemnicy, Wolność, emisja, schron - słowa o pewnym specyficznym ładunku znaczeniowym, którego nie chciałem zidentyfikować. Ale teraz logiczne ciągi przyczyn i skutków wskakują na miejsce, mózg odpala zahibernowane procesy i budzę się z przedziwnego letargu.

Emisja.

Syczę przez zęby, zmuszam się do wstania z posadzki, cały

organizm wydaje się kłębkim cierpienia, ale mimo to dają radę utrzymać się na nogach. Wiem, że jeśli nie wyduszę z siebie stu procent, jeśli nie przyprę własnej świadomości do muru, cały trud i dotychczasowe starania pójdą na marne.

Chwytam się barierki, gdzieś między basowymi uderzeniami potwornego, rozsadzającego czaszkę grzmotu słyszę głośny trzask stali, ludzkie krzyki i pojedyncze, suche strzały z karabinu.

– Schron! Szybko! – krzyczy Hiszpan.

* * *

Pęka mi głowa, ruchy mam spowolnione, miałki i nijakie, ale mimo wszystko idę. Bo co innego mogę zrobić? Usiąść i czekać na potwornie bolesną śmierć?

Nie chcę tu skończyć. Nie chcę być jednym z tych, którzy bezwolnie naciskają spust, gdy tylko dostrzegą ruch. Nie chcę być nieświadomym, snującym się bez sensu trupem, szukającym dawno zapomnianego celu. Wolę zdechnąć teraz, od kuli najemnika, niż plątać się po ruinach bazy, czekając na definitywny, odwleczony w czasie koniec.

Brnę przed siebie, przed oczami pojawiają się czarne, rozlane niczym w teście Rorschacha plamy, pokonuję stopień po stopniu, z trudem utrzymuję karabin i marzę jedynie, by ten koszmar się zakończył. Nie czuję upływu czasu, mam wrażenie, że schodzimy po schodach już od kilku godzin, choć w rzeczywistości mijają sekundy. Pot leje się ze mnie ciurkiem i wiem, że jeśli szybko nie znajdę się w schronie, po prostu upadnę i nie wstanę. Tak po prostu, zwyczajnie zemdleję.

W dobiegających z zewnątrz błyskach światła dostrzegam kiwającą się na boki sylwetkę Hiszpana, ten wodzi lufą przed sobą, co chwilę przytyka głowę do ramienia, krzyczy głośno i ponownie wraca do pierwotnej pozycji.

– Prawie jesteśmy! – wrzeszczy, odbija się od barierki, niemal upada na posadzkę, w ostatnim momencie chwytą za metalową poręcz i odwraca się w moją stronę. – Już zaraz!

Patrzę w tył. Udowenko, utykając, zbliża się powoli do mojej pozycji. Profesorka chyba także odczuwa ryczący kataklizm, bo

wyglądem przypomina upiora: wykrzywione usta, cieknąca z nosa krew, przymknięte, otoczone sińcami oczy i zmarszczone mocno czoło.

- Nie dam rady! - krzyczy, przystaje i obejmuje dłońmi balustradę. - Nie mogę. Boże, jak boli.

- Dasz! - Odrywam się od barierki, najszybciej jak potrafię dopadam do kobiety, łapię ją za rękę i ciągnę w kierunku Hiszpana. - Musisz!

Schodzimy na półpiętro, w ostatniej chwili wyhamowuję, by nie wpaść na stojącego nieruchomo Hiszpana, i już mam wołać, żeby schodził dalej, gdy znajdująca się najbliżej nas ściana wybucha chmurą tynku i kurzu. Orientuję się, że powodem tej zawieruchy są świszczące w powietrzu kule. Daję krok w tył, potrącam Udowenko, ta łąduje z krzykiem na ziemi i bełkocze coś niezrozumiale. Podnoszę karabin, wystawiam go przed siebie i wypalam w mrok, rozpraszany jedynie dochodzącymi od strony stalowych drzwi błyskami emisji.

- Kurwa! - wrzeszczy kucający przede mną Hiszpan, przytula się do broni i idąc za moim przykładem, wysyła w ciemność pojedyncze wiązki ołowiu.

Miażdżąca nadzieję panika uderza we mnie niespodziewanie, galopujące serce zdaje się przyspieszać jeszcze bardziej, dłonie telepią się chorobliwie, jak u alkoholika na głodzie, i nie mam pojęcia, jak udaje mi się utrzymać w nich karabin. Wychylam się zza wiodących na piętro schodów i dopiero zaczynam w pełni pojmować, w jak beznadziejnej sytuacji się znaleźliśmy.

W błyskach ostrego światła dostrzegam kilku miotających się po posadzce najemników, przy wejściu do budynku widzę nieruchome ciała, obleczone w czarne jak noc kombinezony, trzy czy cztery postacie zmiierzają ku klatce schodowej, cały czas mierząc w naszą stronę.

Pociski w magazynku mógłbym policzyć na palcach jednej ręki, u Hiszpana jest zapewne tak samo i choć droga do schronu to raptem jedno piętro, dystans wydaje się zbyt wielki, byśmy mogli zdążyć na czas. Nawet fakt, że mimo rozkręcającej się na zewnątrz emisji, nadal żyjemy, nie przynosi wielkiej nadziei.

Zostało nam kilka chwil, żeby dotrzeć do schronu i spróbować uratować skórę, ale po drodze musielibyśmy poradzić sobie ze zmiatającym w tym samym kierunku wrogiem. A na to nie ma zbyt wielkich szans.



Wysyłane raz po raz kule najemników żłobią w ścianie miniaturowe kratery, Hiszpan krzyczy głośno i strzela w ciemność.

To już ten moment, ta chwila. Nic nie możemy zrobić. Wyjść teraz zza osłony to prosta droga do piekła.

Przekombinowaliśmy. Powinniśmy byli próbować prześlizgnąć się między najemnikami albo dogadać się z Janczarem. Może udałoby się coś wskórać, wyjaśnić sytuację, dojść do jakichś konkluzji. Ale teraz to tylko gdybanie – ostatnia wesoła ucieczka od gnijących w zastraszającym tempie myśli.

Zona sprowadziła, zasądziła i teraz wydaje wyrok. Nie ma apelacji czy drugich szans. Musimy przyjąć Jej wolę. Bo znaliśmy ryzyko.

Nie – myśl przebija ołowianą chmurę beznadziei i wciska się na pierwszy plan. Przecież najemnicy są blisko. Wystarczy jedna celna seria! Nie umrę tutaj, na półpiętrze, zastanawiając się, „co by było gdyby”. Tak, znaleźliśmy ryzyko, zdecydowaliśmy się na taki, a nie inny wariant, może i szaleje nad nami emisja, ale nie zamierzam ostatnich chwil spędzić na siedzeniu na tyłku i snuciu bezowocnych, kompletnie niepotrzebnych rozważań.

Jeśli mam zdechnąć, zabiorę ze sobą najemników. Będę psem ogrodnika. Sam nie przeżyję, ale im też tego nie ułatwię.

Wychyłam się zza osłony, w rozbłysku dostrzegam znikające w dole postacie, zaciskam zęby, klepię Hiszpana i jak w pijanym widzie rzucam się przed siebie.

– Bierz ją! Zabiję ich!

Nie myślę już logicznie – damę dojść do głosu czystemu, zwierzęcemu instynktowi. Przeskakuję po kilka schodków, docieram na parter, któryś z leżących napastników błaga o pomoc, jednocześnie naciskając spust, ale kule wbijają się w sufit. Ostatni raz spoglądam na półpiętro, gdzie Hiszpan podnosi Udowenko i zarzuca sobie ją na ramię, biorę głęboki wdech, zebra kłują ostrzegawczo, ale staram się to zignorować.

Niech się dzieje wola Strefy.

Chwytam za barierkę i rzucam się w kierunku bezpiecznej przystani schronu. Ciemność połyka mnie od razu, wzrok wyłącza się kompletnie, grzmoty coraz częściej wstrząsają budynkiem i zdają się rozrywać go na kawałki. Potykam się o coś, prawie lecę na ziemię, jakimś cudem utrzymuję równowagę i zbiegam dalej. Nie słyszę kroków ani krzyków, jeśli najemnicy wymieniają między sobą jakieś słowa, giną one we wrzawie emisji. Docieram na sam dół, dostrzegam blask latarki i oddalonych parę metrów ode mnie napastników, którzy właśnie otwierają grube wrota schronu.

Nie mogę się pomylić. Jeśli wejdą do środka, cały trud będzie na nic.

Klękam na jedno kolano, osłaniający tyły mężczyzna za późno orientuje się, że zjawił się ktoś jeszcze, światło latarki biegnie w moim kierunku. Pokryte trytem przyrządy celownicze zgrywają

się w jednej linii, paliczek naciska spust i mój karabin pluje ogniem.

Nie spodziewali się tego.

Pierwszy najemnik pada od razu, wypuszczając z dłoni latarkę. Przenoszę celownik na drugiego, ten, wrzeszcząc, strzela w moim kierunku, kule rykoszetują od ścian, coś szarpie mnie za nogawkę, igły bólu przeszywają łydkę, ale daję radę ponownie nacisnąć spust. Widzę rozprysk krwi, która zmienia się w lekką chmurkę i ginie wśród błysków światła.

Padam na zimną, pokrytą tynkiem posadzkę, dyszę ciężko, czując, jak ciało poddaje się i oficjalnie zaprzestaje popierać moje działania. Dostrzegam jeszcze kolejnego, przytulonego do ściany napastnika, który podnosi broń do ramienia.

Wiem, że trafi. Przy tak małym dystansie nie ma mowy o pomyłce.

Wszystko trwa ułamki sekund.

Świat wiruje w zawrotnym tempie, emisja zaczyna chyba pokazywać, na co ją stać, mam wrażenie, że włosy z tyłu głowy płoną najprawdziwszym, upiornie gorącym płomieniem, lewe ramię, które przygniotłem sobie podczas upadku, całkowicie drętwieje, ciepła krew zalewa nogę. Latarka oświetla karabin, czarna gardziel automatu kieruje się prosto na mnie, kątem oka dostrzegam czołgającego się ku mnie Świetlika, obok niego leży dyszący ciężko Koń, Siny pojawia się tuż za najemnikiem i choć nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy, mam wrażenie, że zdobi ją pokracyjny uśmiech.

Głowa opada na kafelki, a huk wystrzału przebija się przez ryk emisji.

To już? Czemu nic się nie zmienia? Powinienem chyba stracić przytomność. Chociaż co ja tam wiem? Nie jestem tak doświadczony w umieraniu.

– Kojot! – Ocieężała głowa nie chce współpracować, nie potrafię jej unieść, ale wiem, że słyszę Hiszpana. – Do schronu! Podnieś się, do kurwy nędzy!

Myślałem, że to koniec. Prosty, łatwy, bolesny, ale definitywny.

Ale się myliłem. I ten jeden raz jestem naprawdę szczęśliwy, że

moje przewidywania okazały się błędem.

– Wstawaj! – Hiszpan łapie mnie za chwyt ewakuacyjny kombinezonu. – Ruszaj się!

– Nie mogę – jęczę. – Noga.

– Kurwa mać. Idź, zaciągnę go!

Dostrzegam, jak Udowenko niczym pijak odbija się od ścian i kulejąc, zmierza do schronu. Próbuję się ruszyć, pomóc wlokącemu mnie stalkerowi, ale każda próba kończy się sromotną porażką. Czy to przez emisję, czy szok organizmu, stałem się kukiełką, której podcięto sznurki. Nic nie działa tak, jak powinno.

– Damy, kurwa, radę! – dyszy Hiszpan.

Odrzwia schronu zbliżają się powoli, coś wstrząsa budynkiem, czuję narastające ciśnienie w czaszce, ściany rozmazują się i giną za przedziwną, czarną kurtyną.

– *Jesteś idiotą* – słyszę w głowie. – *Zabiłeś mnie. Zabiłeś, zabiłeś, zabiłeś...*

Powtarzane słowa dudnią gdzieś w świadomości, basowy ton zmienia się w ostry pisk, z uszu płynie krew, Hiszpan krzyczy coś bezsensownie, zamykam oczy, zaczepiam o coś kombinezonem, stal uderza głucho, oddech gaśnie i zapadam się w sobie.

Zapeszyłem.

Tak blisko, a tak daleko.

Rozdział 9



Świadomość pojawia się nagle, niespodziewanie i niczym morską, wchodząca na ląd fala obmywa mnie kawałek po kawałku.

Najpierw pojawia się tępy, mdlący ból głowy, potem ostre rwanie w lewym ramieniu, żebra, jedno po drugim, dołączają do chóru protestujących, aż wreszcie dociera do mnie żar rozpalonej, opuchniętej łydki.

W ustach wyczuwam krew i kwaśny posmak wymiocin, wargi mam spękane, język jak kłoda leży nieruchomo, czekając na łyk życiodajnej wody. Klejące się powieki, jak ciężkie rolety, nijak nie chcą się unieść, by ukazać mi miejsce, w którym się znalazłem.

Oddycham płytko, z płuc dobiega dziwne, chorobliwe rżenie, kurz drażni nozdrza, kicham dwukrotnie, czując, jak udręczone żebra jęczą i trzeszczą ostrzegawczo, kładę głowę na twardym gruncie i zastygam w bezruchu.

Przeżyłem – tego jestem pewien.

Ale czy pozostałem sobą? Jakiś stary, nieznany mi z ksywy stalker opowiadał kiedyś o gościu, który przeżył emisję. Ponoć zatrzymał on poczucie własnego istnienia, ale stał się chodzącym trupem. Nie to, żebym wierzył takim opowieściom, w końcu alkohol robi swoje i czasem każdy gada od rzeczy, ale w tej chwili wszystko wydaje się możliwe.

Z trudem podnoszę prawą rękę, zbliżam ją do twarzy i przecieram oczy brudnymi, zakrwawionymi palcami. Rozwieram lekko powieki i mrugam kilkukrotnie.

Ciemność.

W schronie działała żarówka, błyska myśl. Co się z nią stało? Wysiadł prąd? A może się stłukła? Nieważne. Trzeba radzić sobie z tym, co mam.

Wyteżam słuch, coś strzyka mi w głowie, krzywię się z bólu, ale udaje mi się powstrzymać głośny, narodzony gdzieś w gardle jęk.

Słyszę parę oddechów – jeden głęboki i pełny, drugi natomiast płytki i o wiele szybszy. Jak u sprintera, który dopiero co zakończył bieg i próbuje złapać choćby i malutką porcję tlenu. To chyba Hiszpan i Udowenko. Nie mam pojęcia, czy nic im się nie stało. W końcu zbyt długo przebywaliśmy poza schronem, żeby jednoznacznie stwierdzić, że wszyscy wyszliśmy z tego cało.

Podniosłbym się, sprawdził ich stan, ale nie mam siły. Jestem kompletnie wykończony. Jeśli zobaczyłbym teraz mutanta, nawet nie zdołałbym chwycić za nóż.

Ale żyję. Mimo cierpienia nadal oddycham i jestem w stanie myśleć.

Zamykam oczy, układam ręce wzdłuż ciała, dopiero po chwili orientuję się, że po policzkach spływają mi słone łzy, i mimo wszystko uśmiecham się w mrok.

Przeżyłem.

Choć Zona chciała mnie połknąć, przemielić i wypluć, zdołałem uciec. Dałem radę. Jeszcze chwila, krótki moment, a leżałbym na zewnątrz schronu z wpakowaną w głowę kulą albo ugotowanym mózgiem. Czy to szczęście spowodowało, że Hiszpan pojawił się w odpowiednim miejscu i idealnym czasie? Ślepy traf?

A może Ona, mimo wszystko, postanowiła mnie oszczędzić?

Wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi wybieram tę ostatnią opcję. Bo czemu nie? Może faktycznie Zona żyje? Kim jestem, żeby to rozsądzać?

Nikt przecież nie wie, jak naprawdę wygląda rzeczywistość.

* * *

– Boże. Moja głowa – mówi Hiszpan, opierając plecy o ścianę schronu. – Jak okrutnie napierdala.

– Mnie powoli przechodzi – odpowiadam, poruszając opatrzonym ramieniem. – A ty jak się czujesz? – zwracam się w

kierunku siedzącej pod stalowymi szafkami kobiety.

Udowenko nie odpowiada, w świetle zwisającej z sufitu, uwiązanej na kablu latarki, widzę podniesioną w moją stronę dłoń i wykwitający na jej środku palec.

– Czyli nie najlepiej?

Odpowiada mi głośny jęk i odgłos wyrzucanej na zewnątrz treści żołądka.

– Jak ręka? – pyta Hiszpan, głaszcząc leżący na kolanach automat. – W porządku? A noga?

– Przeżyję – odpowiadam, spoglądając na rozerwane spodnie i krzywy, przechodzący przez skórę szew. – Dzięki za ogarnięcie mnie.

– Nie masz co dziękować. Jakby Wolność nie zaopatrzyła schronu, to gównem bym zrobił. – Hiszpan odpina magazynek karabinu, zagląda do środka, kręci głową z niezadowoleniem i wkłada go z powrotem na miejsce. – Mamy przesrane.

Patrzę na kompana, już mam się odezwać, ale w porę gryzę się w język. Bo co mam powiedzieć? Że wszystko będzie dobrze? Że wystarczy wrócić do Kiryłowa z przesyłką? Nie, to nie jest takie proste. Mamy Udowenko, ale pozostali naukowcy zostali zabici. Do tego najemnicy przechwycili dwa urządzenia i choć wiem, że jedno z nich było prawdopodobnie w moim posiadaniu, teraz równie dobrze może być na drugim końcu świata. Mamy niezbyt ciekawy wynik, a co za tym idzie marne szanse na powrót do normalności.

– Myślisz, że Siny żyje? – pyta nagle Hiszpan.

Patrzę przed siebie, metalowe szafki odbijają promienie latarki, opuszczam głowę i staram się pohamować rodzącą się gdzieś w środku złość.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Nie mam pojęcia. Udowenko? – Przenoszę wzrok na skuloną profesor. – Jaki miał być zasięg emisji?

– Nie wiem. To... to było większe, niż sądziłam.

– Szlag.

– Co mamy teraz robić? Siedzieć tutaj? – pyta Hiszpan.

Wsluchuję się w otoczenie, grube, betonowe ściany schronu

skutecznie izolują jakiegokolwiek dochodzące z zewnątrz dźwięki.

Emisja musiała się już zakończyć. Nic się nie trzęsie, nie buja, nie ryczy przeraźliwie, ale co dzieje się na zewnątrz – to jedna wielka niewiadoma. Nie wiem nawet, ile czasu spędziliśmy w schronie, bo wszystkie zegarki, jak jeden mąż, stanęły kilka minut przed pierwszą w nocy. Na zegar biologiczny też nie ma co patrzeć, bo nasz tryb życia daleko odbiega od tego naturalnego.

– Przede wszystkim nasza pani profesor musi przestać rzygać jak kot – mówię. – Po drugie, musimy coś zjeść, łyknąć jakieś antyrady i znaleźć amunicję. To przede wszystkim.

– Tyle to i ja wiem – wzdycha Hiszpan i podnosi się z miejsca. – Poszukam czegoś, bo ty chyba nie bardzo się nadajesz.

– To też jest problem – dodaję. – Niby kości mi nie strzaskało, ale nie wiem, czy będę mógł chodzić.

– Zobaczmy. – Hiszpan podchodzi do latarki, zdejmuje ją z kabla i rusza w głąb schronu. – Myślmy o tu i teraz.

– Znalazł się mistrz Jedi – jęczy Udowenko, słyszę, jak wciąga powietrze i ponownie wymiotuje.

– Mam coś – dobiega z sąsiedniego pomieszczenia. – To się chyba nazywa szczęście w nieszczęściu.

* * *

Odkładam zasobnik na beton i wzdycham.

Nie wiedziałem, jak bardzo jestem głodny, dopóki nie poczułem zapachu mielonki. Tłusta, parszywa, kosztująca grosze na Dużej Ziemi konserwa staje się prawdziwym pięciogwiazdkowym daniem.

Podnoszę metalowy, składany kieliszek, łykam sto gramów wódki, żołądek zaciska się nagle, ale po chwili wpuszcza alkohol i czuję, jak gorzki płyn rozgrzewa mnie od środka. Wydmuchuję powietrze, chwytam butelkę wody, wkładam czerwono-niebieskie tabletki antyrady do ust, połykam je z niesmakiem i zapijam medykamenty dużą ilością płynu.

O wiele przyjemniej jest wyganiać radionuklidy wodą niż zaawansowaną medycyną, ale po tym, co przeszedłem, nie mam zamiaru ryzykować. Emisja to nie przelewki. Tym bardziej jeśli

szaleje tuż nad tobą.

– Lepiej? – pytam bladej, skrobiącej po dnie puszkii profesorki.

– Trochę. Nadal mam zaburzenia widzenia i nudności. Ale tak, jest mi lepiej.

– Nie możesz się odwodnić. Łykneñas już antyrady?

– Wybacz, Kojot, ale nie ucz ojca dzieci robić – mówi kobieta, uśmiechając się lekko znad skromnego posiłku.

– No tak. Wielka pani profesor. Przepraszam, że śmiałem zapytać. – Oddaję uśmiech i po chwili obydwójce chichoczymy jak pijane nastolatki, które po raz pierwszy oglądają film porno.

– Jesteście jednak nienormalni – wtrąca się Hiszpan i kręci głową. – Mało nie zginęliśmy, a wam się na śmiechy zebrało.

– Nie, Hiszpan. – Udowenko odkłada puszkę, łyka tabletki i zapija je wodą z butelki. – Widzisz, śmiech to naturalna reakcja obronna organizmu. Wydzielają się endorfiny...

– Dobra, dobra – przerywa jej Hiszpan. – Rozumiem. Pani się zna, a ja ułomny. – Tym razem to stalker szczyrzy zęby.

Milkniemy wszyscy, każde patrzy w jakiś odległy, niezdefiniowany w czasie i przestrzeni punkt, Hiszpan opiera się o ścianę, uśmiech znika mu z twarzy.

– Możemy tu siedzieć i siedzieć, ale trzeba pomyśleć, co dalej. Nie unikniemy tego.

– Wiem – odpowiadam, a przykryty terażniejszością lęk wystawia łeb z jamy i zaczyna pełznąć po kręgosłupie wprost do ćmiącego bólem mózgu. – Trzeba się ruszyć. No i jest jeszcze Siny.

– Chcesz sprawdzić, czy stary żyje?

– Nie wiem. Może. Jeśli najemnicy faktycznie mu pomogli, jest szansa, że wydobrał. Z drugiej strony, mogli mu wpakować kulkę, gdy zorientowali się, że reszta nie wróci. No i emisja. Cholera wie, czy do nich doszła.

– Mielicie nas zabrać do Kiryłowa, tak? – wtrąca się Udowenko.

– Wynajął was, żebyśmy mogli wrócić z prototypami?

Wzdycham ciężko, patrzę na Hiszpana i zaczynam wyjaśniać naszą sytuację. Krok po kroku nakreślam jej sytuację, kobieta patrzy na mnie, nie przerywa. Hiszpan raz za razem dorzuca jakiś

szczegół, wreszcie dochodzę do momentu, kiedy zaczęła się strzelanina, i milknę.

– To... – zaczyna profesorka – to jawna kpina! Przecież tak nie można!

– Popatrz na nas? Kim my jesteśmy? – pyta smutno Hiszpan. – W Zonie nie ma ludzi. Są tylko mutanty. Oczywiście prawie każdy, kto interesuje się tematem, wie, jaka jest prawda, ale oficjalnie nie istniejemy. Przepadliśmy gdzieś. Wystrzelać nas to jak splunąć.

– Ale tak nie można! – Udowenko podnosi głos. – Cholera! Szantaż? Groźby? Przecież wojsko nie może robić takich rzeczy.

– Widzę, że w innej Zonie byłaś – stwierdzam. – Pamiętasz, co ci mówiłem? Tu nie ma zasad, policji czy biur skarg i zażaleń. Każdy dba tutaj o własny tyłek.

– Boże. – Kobieta chowa twarz w dłoniach. – Ja tych wszystkich ludzi, tam, na zewnątrz... A jeśli oni tak samo jak wy?

Wyrzuty sumienia. Kto by ich nie miał? Kiedy pierwszy raz szedłem w Strefę, też miałem opory. Nawet pomimo pobytu w wojsku. A ona? Pracowała na uniwersytecie, nigdy pewnie nie miała broni w rękach, a ze śmiercią obcowała tylko podczas oglądania filmów.

– Przestań – mówię twardo. – Nie zadręczaj się tym. Nie możesz. To cię zniszczy. To nie byli przypadkowi ludzie, ale zabójcy. Wyszkoleni, zdeterminowani i świetnie uzbrojeni. Tacy jak oni doskonale znają ryzyko. Większość z nich zabiłaby cię bez mrugnięcia okiem. Więc nie brnij w wyrzuty sumienia. Uratowałaś nam i sobie życie. Tylko tyle musisz wiedzieć. Reszta jest nieważna. Rozumiesz?

Kobieta pociąga nosem, podnosi głowę, spogląda przekrwionym i zeszkłonym wzrokiem.

Zaraz wybuchnie płaczem, myślę, ale ku mojemu zdziwieniu nic takiego się nie dzieje. Opuszkami palców rozciera łzy, próbujące wydostać się z kącików oczu, wzdycha i kiwa głową.

– Może i masz rację. – Uśmiecha się niemrawo.

– Dasz radę – wtrąca się Hiszpan. – Każdy miał kiedyś wątpliwości. One znikają. Musi minąć trochę czasu, ale w końcu

to zrozumiesz. Wiem, że jest ciężko, ale tutaj nie ma przebaczenia.

Siedzimy w milczeniu, Udowenko zdaje się pogrążona w myślach, Hiszpan obraca w palcach wyjęty z magazynka pocisk, powietrze jest ciężkie, przesycone smrodem wymiocin i kwaśnym odorem potu.

– Hiszpan – mówię, czując chorobliwe drżenie rąk. – Trzeba znaleźć Siniego i wymyślić, jak ułożymy się z Kiryłowem. Przecież wiesz, że on nas ot tak nie puści.

– Mogę wam pomóc – mówi nagle Udowenko.

– Niby w jaki sposób? – pytam.

– Mam kontakty. Major nie jest ani wyrocznią, ani ostateczną instancją. Mogę spróbować porozmawiać z górami.

– Z wojskowymi? – wtrąca Hiszpan. – Kobieto, oni pewnie dali na to zgodę. My dla nich nic nie znaczymy.

Udowenko zasępiea się na moment, ale po chwili podnosi głowę.

– Może i tak. Nie wiem, jak sytuacja wygląda z waszej perspektywy. Ale ze mną muszą się liczyć. Teraz... Teraz kiedy nie ma Prochowa, tylko ja wiem, jak działa prototyp. Potrzebują mnie. Oczywiście mogliby spróbować inżynierii wstecznej, ale to zajmie kolejne miesiące albo lata.

– Chcesz ich szantażować? – pytam ze zdziwieniem. – Ty?

– Nie wiem. Mogę spróbować. W końcu wypadałoby się wam jakoś odwdzięczyć.

– Dobra. – Wzruszam ramionami i czuję ostre igły bólu w lewym boku. – Zawsze to jakiś plan i więcej, niż mieliśmy do tej pory.

– A jak już znajdziemy Siniego, co dalej? – pyta Hiszpan. – Wracamy? I co z tym prototypem? To jeszcze działa?

– Nie mam pojęcia – mówi Udowenko. – Powinno. Było zaprojektowane z myślą o emisjach, więc nie widzę powodu, dla którego miałoby nie działać. Ale to teoria. Później sprawdzę.

– Więc wracamy?

– Tak – odpowiadam.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję, że coś zaczyna się układać. Może i chwytamy się brzytwy, mamimy się płonną nadzieją, ale lepsze to niż brnięcie w przód bez jakiegokolwiek

szansy na lepsze jutro.

Wracamy, powtarzam w myślach.

I liczę, że już nigdy tu nie wrócimy.

Dwa dni później. Okolice obozu najemników.

W dłoniach mam nowoczesny automat, w plecaku ciężką zdobytą w wyniku szabrowania zapasy, przypięta do kombinezonu, poznaczona krwią maska przeciwgazowa, kołysze się przy każdym kroku, zahaczając filtrem o załatane, choć wciąż wrażliwe ramię.

– Pusto – mówi Hiszpan, wychodząc spod rozlatującej się wiaty.

– Nikogo tu nie ma. Chodźmy już.

– Jeszcze chwilę – odpowiadam, przechodząc po błotnistym placu. – Może gdzieś tu jest.

– Kojot, tu nikogo nie ma – powtarza twardo Hiszpan. – Zbierajmy się.

Kiedy byłem tu parę dni temu, nawet nie zdążyłem się porządnie rozejrzeć. Przez większość czasu miałem na głowie worek, a kiedy już mi go zdjęli, wszystko skrywały egipskie ciemności.

Teraz, w blasku dnia, okolica wydaje się kompletnie obca. Jedyne, co rozpoznaję, to błotnisty placyk oraz schowane pod eternitowymi wiatami bale drewna, obok których przyszło nam z Hiszpanem czekać na rozkazy najemników. Reszta jest dla mnie zupełnie nieznamna: ustawione w karnym rzędzie, zdezelowane krazy, nieruchome truchło dawno niedziałającej koparki i zalegająca nieopodal, pozbawiona ścian parterowa rudera.

Odwracam wzrok, zerkam na kłęzącą nieopodal grawikoncentratu Udowenko i uśmiecham się pod nosem.

Naukowcy mają jednak nie po kolei w głowie. Każdy normalny stalker omijałby anomalie szerokim łukiem.

A Udowenko wręcz przeciwnie.

Mimo ostrzeżeń podeszła na sam skraj anomального pola, wrzuciła doń obwiązany bandażem, opróżniony zawczasu

magazynek i patrzy, jak grawitacja powoli wciska go w mokrą glebę.

– Chodź tutaj – mówię. – Koniec demonstracji. Przecież widziałaś dziesiątki podobnych.

Kobieta ostrożnie odsuwa się od grawikoncentratu, spogląda na mnie i po raz pierwszy od wyjścia ze schronu dostrzegam w jej oczach skaczące wesoło iskierki.

– I co z tego? Każda obserwacja się liczy. Nie zrozumiesz, Kojot.

Kręcę głową i wzdycham ciężko.

– No więc co? – pytam, opierając się o belkę podtrzymującą starą wiatę. – Zakopali go gdzieś? To nie w ich stylu.

– Może tak, może nie. Nie dowiesz się już – stwierdza Hiszpan. – Ja wiem, Kojot. Ja wiem, że ciężko jakoś, ale zrozum, że jemu już nie pomożemy. Była emisja, cholera wie co się tutaj działo, a nie możemy siedzieć na miejscu i rozmyślać. Ruszmy wreszcie. Długa droga przed nami.

Rozglądam się uważnie, lustruję każdy szczegół, ale okolica wydaje się kompletnie martwa. Nie mam pojęcia, co stało się z najemnikami. Janczar wyraźnie wspominał, że ktoś tutaj został. Czyżby wystraszyli się emisji? To całkiem prawdopodobne. Mogli przecież uciec. Tyle że gdzie w takim razie podział się Siny? Nawet gdyby stał się zombie, przecież nie poszedłby w dal. Więc co? Zabraliby go ze sobą? Przecież to absurd.

Wiem, że powinniśmy ruszyć, czas gra przecież na naszą niekorzyść, ale trudno tak po prostu odwrócić się i odejść. Choć z drugiej strony, co innego mogę zrobić? Kręcić się w kółko, szukając nieistniejących tropów? Wywróżyć z kawałków rdzy możliwe rozwiązania? Muszę pogodzić się z myślą, że Siny zginął. Nieważne, czy go pochowali, rzucili gdzieś w rów albo z jakiegoś irracjonalnego powodu zabrali ze sobą. To już się nie liczy.

Niech mu Zona lekką będzie.

Wzdycham ciężko i patrzę na Hiszpana.

– Mieliśmy wyjść razem. Pamiętasz?

– To nie jest bajka, Kojot. Nie wszystko ma happy end.

– Wiem, do cholery. Przecież wiem.

Hiszpan zrzuca plecak, stawia na ziemi obłożoną kocem walizkę

z prototypem, poprawia paski, gmera coś przy jednej z kieszeni i wyjmując napoczętą jeszcze w schronie flaszkę.

– Za Sinego – mówi stalker, bierze łyk i podaje mi butelkę.

– Za Sinego – wtóruję mu i wlewam alkohol do ust.

Ciepła wódka szczypie podniebienie, pali gardło i rozlewa się ciepłym strumieniem po żołądku. Chcę przekazać naczynko Udowenko, ale dopiero teraz orientuję się, że ta kieruje się w stronę ceglanej ruiny budynku.

– Hej! Gdzie idziesz?

– Spokojnie, przecież nie jestem małym dzieckiem. – Udowenko pokonuje zmurszałe, obrośnięte mchem stopnie. – Coś tutaj jest – krzyczy.

– Zostaw. Pewnie jakieś śmieci.

– Nie! Broń jakaś. I pojemnik na artefakty! Zaraz wam...

Trzask pękającego drewna przeszywa powietrze, Udowenko krzyczy przeraźliwie, Hiszpan wyskakuje niczym z procy i rzuca się w kierunku budynku.

Nie myślę za wiele, po prostu biegnę za stalkerem, przeklinając własną głupotę.

Piwnica! Cholera jasna! Jak ostatni kretyn założyłem, że maluteńka chałupka nie będzie jej posiadać! Żadnych okien wychodzących na zewnątrz, żadnych wyraźnych śladów. Daliśmy łaźić profesorce po niesprawdzonym terenie. Za bardzo zająłem się Sinym, żeby nawet zwrócić na to uwagę.

– Udowenko! – wrzeszczy Hiszpan. – Kurwa jego mać!

O mało co nie wpadam w zalegający niemal na środku placu grawikoncentrat, Hiszpan jest już przy miejscu, w którym zniknęła profesorka, gdy nagle słysząc stłumioną kawalkadę wystrzałów.

Momentalnie zalewa mnie pot, adrenalina uderza w żyły, w dwóch susach docieram do ziejącej czernią dziury, chcę wskoczyć do środka, dłoń trzymam na automacie, ale Hiszpan łapie mnie za kombinezon i powala na ziemię.

– Co ty robisz? – wrzeszczę na niego, plując i próbując wyszarpać się z chwytu. Nie czuję nawet bólu. Wszystko tonie w morzu paniki. – Puść mnie!

– Przestań!

Huk wystrzałów nie gaśnie ani na moment, kula strachu ściska gardło i uświadamiam sobie, że gdybym wskoczył tam za Udowenko, zostałoby ze mnie sito.

Bo wiem, że to nie ona ściąga spust.

W ten sposób strzelają tylko trupy.

Kawalkada gaśnie równie nagle, jak się pojawiła, a okolica wypełnia się jednolitą, chorobliwą ciszą.

Serce galopuje niestrudzenie, jestem spocony i rozedrgany, w głowie mi dzwoni od nagłego uderzenia stresu. Hiszpan przeładowuje karabin, patrzy w dół, krzyczy wściekle, opuszcza nogi w ciemność i znika pod powierzchnią gruntu.

Próbuję oddychać, w myślach bębnią setki przekleństw, które wylewam na siebie niczym wiadro pomyj. Biję dłonią o mokrą ziemię, dobiegają do mnie pojedyncze wystrzały i krzyk Hiszpana.

Podnoszę się powoli, cały świat zdaje się wirować, jakbym znalazł się w oku cyklonu, ponownie opadam na glebę. Krzyczę na całe gardło, zaciskam zęby, czołgam się ku czarnej otchłani piwnicy i zaglądam do środka.

W nikłym świetle dostrzegam klęczącego nad kobietą Hiszpana i trzy leżące ciała.

Dwóch najemników i Siny.

Siny...

Wstrząsa mną dreszcz, rzeczywistość przygniata swoim ciężarem, odwracam się na plecy i patrzę w niebo.

A wszystko zaczynało się powoli układać. Mieliśmy plan i nadzieję – szansę na normalne życie. I w ciągu jednej sekundy wszystko zniknęło.

– Nie żyje – dobiega z dołu głos Hiszpana.

Czuję strzyknięcie gdzieś z tyłu głowy, zalewa mnie bezkresna ciemność i tracę kontakt z rzeczywistością.

I dobrze. Już nic nie chcę czuć.

Zona i tak już nas zabiła.

Koniec tomu pierwszego

FABRYCZNA ZONA



POLSKIE POSTAPO

ROSYJSKIE POSTAPO



SURVARIUM

ANTYMR



WWW.FABRYCZNAZONA.PL

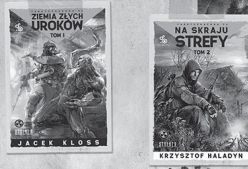
FABRYCZNA

ZONA




S.T.A.L.K.E.R.

S.T.A.L.K.E.R.



WWW.FABRYCZNAZONA.PL



Co mam mu powiedzieć? Spoglądam na resztki wyżartych przez kwas nogawek spodni i wystające spod nich krwawe kikuty, robi mi się niedobrze, z trudem powstrzymuję odruch wymiotny i wzdycham ciężko.

Gdybyśmy byli na Dużej Ziemi, może i byłaby jakaś szansa. Karetka, szpital, leki, profesjonalna opieka – tak, wtedy może udałoby się mu pomóc. A tutaj? Zużyłem wszystko, co mieliśmy w apteczkach, uśmierzyłem ból, założyłem opaski uciskowe, porobiłem zastrzyki, ale to nadal za mało.

– Dasz radę – kłamię mu prosto w oczy. – Dasz radę, ale musisz odpocząć.

– To już nawet nie boli. Chyba nawet mogę ruszać – mówi. Zaciska zęby i widzę, jak stara się unieść lewą nogę. – O, widzisz?

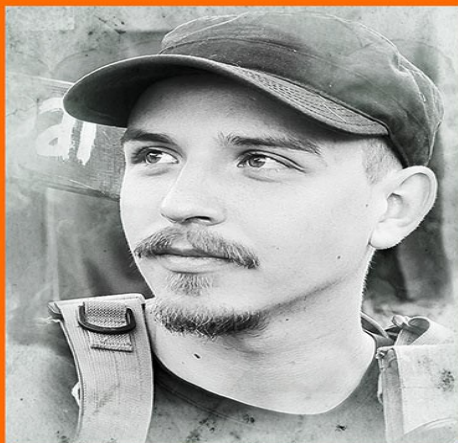
Kończyna drga lekko, wyżarte kwasem, przyklejone do spodni tkanki odklejają się cicho, krwista maź wypływa z ran jak ze źródelka. Wstaję błyskawicznie, odsuwam się kilka kroków i ostatkiem sił hamuję górką, rodzącą się gdzieś w żołądku kulę.

– Zostaw. Odpocznij. Jeśli mamy mieć jakąś szansę, musisz odpocząć.

Chłopak kiwa głową, opiera ją o podniszczony, wypchany sprzętem plecak i wzdycha.

– Matka zawsze mi mówiła, żebym szkołę skończył. Na studia poszedł. – Oddech Świetlika jest płytki i niepokojąco szybki. – Teraz chyba będę miał okazję. No nawet nie pójść, ale pojechać. – Śmieje się pokracznie, z trudem łapiąc haust powietrza. – Będę miał sporo czasu. Skończy się łażenie na piwo, imprezy do białego rana i podrywanie przyjezdnych dziewczyn. Która mnie zechce? Takiego inwalidę.

„Ziemia złych uroków” – fragment



JACEK KLOSS

Młody wielbiciel Zony z Lublina.

Jako dziecko marzył, by zostać żołnierzem. Ostatecznie został tłumaczem, ale marzenie z dzieciństwa nie umarło, skanalizowało się jedynie w innej formie. Jacek jest zaangażowanym członkiem Lubelskiej Zony, czyli grupy wielbicieli i odtwórców uniwersum S.T.A.L.K.E.R.a

Uwielbia żeglarstwo, kendo, wypadki na strzelnicę i gorzką herbatę pitą w domowym zaciszu.

Sam o sobie mówi, że jest autonomiczną machiną autoironii. Może dlatego w rubryce „znaki szczególne” wpisał: pompa insulinowa.

Gdy już zarobi krocie na swoich bestsellerowych powieściach, będzie jeździł astonem martinem DB6, jaguarem F Type albo chevroletem impala z '67.

ZIEMIA ZŁYCH UROKÓW

Książka napisana z pompą

Ostatnia wyprawa chyba wyczerpała pokłady szczęścia Kojota – mógł zginąć w anomalii, ale trafiło na kogoś innego. Ta sama anomalia pomogła mu wyjść cało z ataku mutanta. Pocisk, który **powinien urwać mu nogę**, ledwie go drasnął. To powinno dać mu do myślenia, bo przecież nie można ciągle wygrywać. A może sam zasabotował swoje powodzenie zadawaniem nieodpowiednich pytań?


Tak czy inaczej, fart Kojota właśnie go opuścił. Więcej – wyszedł, trzaskając drzwiami, a **Kojota zostawił sam na sam z żołnierzami z Kordonu**.

Dla stalkera to towarzystwo równie miłe, co wataha ślepych psów. A jeśli całe spotkanie

kończy się złożeniem propozycji nie do odrzucenia i wycieczką do Zony na zlecenie wojska, to wniosek może być tylko jeden.

Kojot właśnie wpadł w szambo. Po szyję.



 /fabryka

 Polub
Fabryczną Zonę


fabryka słów
WYDAWALNIA